ISAAC
ASIMOV

Wydawnictwo Poznańskie

DRUGA FUNDACJA

DRUGA FUNDACJA

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Po latach umacniania władzy Muł postanawia odkryć wreszcie położenie Drugiej Fundacji i rozprawić się ze swoim największym wrogiem. Generał Pritcher wpada jednak w pułapkę i wciąga w nią również mutanta. Druga Fundacja triumfuje, lecz nie na długo. O jej istnieniu dowiadują się konspiratorzy z Pierwszej Fundacji i decydują się walczyć o suwerenność. Na przeszkodzie stają im jednak nie tylko mentaliści, lecz także następca Muła — Stettin. Rozpoczyna się krwawa wojna…

- Isaac Asimov
  - Prolog
  - CZĘŚĆ I
    - 1. DWOJE LUDZI I MUŁ
    - 2. DWOJE LUDZI BEZ MUŁA
    - 3. DWOJE LUDZI I WIEŚNIAK
    - 4. DWAJ LUDZIE I STARSI
    - 5. JEDEN CZŁOWIEK I MUŁ
    - 6. JEDEN CZŁOWIEK, MUŁ… I INNY CZŁOWIEK
  - CZĘŚĆ II
    - 7. Arkadia
    - 8. PLAN SELDONA
    - 9. KONSPIRATORZY
    - 10. NADCIĄGAJĄCY KRYZYS
    - 11. PASAŻERKA NA GAPĘ
    - 12. WŁADCA
    - 13. LADY CALLIA
    - 14. TRWOGA
    - 15. PRZEZ SIEĆ
    - 16. POCZĄTEK WOJNY
    - 17. WOJNA
    - 18. ZAPOMNIANY ŚWIAT
    - 19. KONIEC WOJNY
    - 20. JA WIEM…
    - 21. ODPOWIEDŹ, KTÓRA WYSTARCZYŁA
    - 22. ODPOWIEDŹ, KTÓRA BYŁA PRAWDZIWA

Isaac Asimov
Druga Fundacja

Prolog

Pierwsze Imperium Galaktyczne przetrwało dziesiątki tysięcy lat. Objęło ono systemem scentralizowanej władzy wszystkie planety Galaktyki. Władza ta była niekiedy surowa, niekiedy łagodna, lecz zawsze panował porządek. Ludzie zapomnieli, że mogą istnieć jeszcze inne formy egzystencji.

Zapomnieli o tym wszyscy, z wyjątkiem Hariego Seldona. Hari Seldon był ostatnim wielkim uczonym Pierwszego Imperium. To on właśnie doprowadził psychohistorię do najwyższego stadium rozwoju. Psychohistoria była kwintesencją socjologii, nauką o ludzkim zachowaniu sprowadzonym do równań matematycznych.

Jednostka ludzka jest nieobliczalna, ale — jak odkrył Seldon — reakcje wielkich zbiorowisk ludzkich są przewidywalne, gdyż można je ująć statystycznie. Im większe zbiorowisko, tym większa dokładność takich wyliczeń. A zbiorowisko, którym zajmował się Seldon, równało się ludności całej Galaktyki, która za jego czasów liczona była w trylionach.

Seldon był tym, który — wbrew powszechnym mniemaniom i opinii potocznej — odkrył, iż owo świetne Imperium, które wydawało się tak potężne, znajdowało się w istocie w stanie rozkładu i chyliło się ku upadkowi, któremu nie można było zapobiec. Przewidział również (czy też wyliczył za pomocą swoich równań, co na jedno wychodzi), że pozostawiona samej sobie, Galaktyka musi przetrwać liczący trzydzieści tysięcy lato okres nieszczęść i anarchii, nim ponownie dojdzie do jej zjednoczenia.

Postawił sobie za cel nie dopuścić do takiej sytuacji i stworzyć taki stan rzeczy, by możliwe stało się przywrócenie lądu i spokoju oraz odrodzenie cywilizacji w ciągu tysiąca lat. Założył dwie kolonie naukowców, które nazwał Fundacjami. Zgodnie ze starannie obmyślonym planem, umieścił je na „przeciwnych końcach Galaktyki". Utworzeniu jednej z nich towarzyszył wielki rozgłos i zainteresowanie środków masowego przekazu. Istnienie innej, Drugiej Fundacji, spowite było milczeniem.

Fundacja oraz Fundacja i Imperium opowiadają o pierwszych trzech wiekach istnienia Pierwszej Fundacji. Zaczynała ona jako niewielka społeczność Encyklopedystów, rzucona w pustkę najodleglejszych peryferii Galaktyki. Co pewien czas stawała w obliczu kryzysu, spowodowanego czynnikami społecznymi i gospodarczymi, który groził jej unicestwieniem. Podczas każdego z tych kryzysów jej swoboda działania była tak ograniczona, że możliwa była tylko jedna droga wyjścia. Kiedy wkraczała na tę drogę, otwierały się przed nią nowe horyzonty i perspektywy dalszego rozwoju.

Wszystko to zostało zaplanowane przez od dawna już nieżyjącego Hariego Seldona.

Pierwsza Fundacja, dysponując nieporównanie bardziej rozwiniętą nauką, zapanowała nad otaczającymi ją barbarzyńskimi planetami. Stawiła czoła wojowniczym władcom, którzy oderwali się od dogorywającego Imperium i pokonała ich. Za czasów ostatniego silnego imperatora stawiła czoła resztkom samego Imperium i pokonała je.

A potem stanęła wobec czegoś, czego Seldon nie mógł przewidzieć — wobec nadludzkiej mocy. jednego człowieka, mutanta. Człowiek ten, znany pod przydomkiem Muła, posiadał wrodzoną zdolność kształtowania uczuć innych ludzi według swojej woli i kierowania ich umysłami. Swych najzagorzalszych wrogów przemieniał on w całkowicie oddane mu sługi. Nie mogła mu nic zrobić żadna armia. Ugięła się przed nim i padła Pierwsza Fundacja, a wraz z tym część Planu Seldona legła w gruzach.

Pozostała owa tajemnicza Druga Fundacja, ceł wszystkich poszukiwań. Muł musi ją znaleźć, aby zakończyć podbój Galaktyki. Ludzie wierni temu, co pozostało z Pierwszej Fundacji, muszą ją znaleźć z zupełnie innego powodu. Ale gdzie się ona znajduje? Tego nie wie nikt.

A zatem, oto historia poszukiwań Drugiej Fundacji.

CZĘŚĆ I
MUŁ PROWADZI POSZUKIWANIA

1. DWOJE LUDZI I MUŁ

MUŁ — konstruktywne aspekty reżimu Muła stały się. widoczne po upadku Pierwszej Fundacji. To właśnie Mułowi udało się, po raz pierwszy od ostatecznego rozpadnięcia się Imperium Galaktycznego, zjednoczyć tak duży obszar przestrzeni, że, w odniesieniu do jego państwa można było bez przesady użyć określenia „imperium". Bowiem, mimo wsparcia psychohistorii, wcześniejsze imperium handlowe podbitej przez Muła Fundacji składało się z różnorodnych i luźno ze sobą powiązanych światów. „Imperium" Fundacji nie można w ogóle porównywać z trzymanym przez Muła twardą ręką Związkiem Światów, który w tak zwanym „Okresie Poszukiwań" obejmował jedną dziesiątą przestrzeni Galaktyki, zamieszkałą przez jedną piętnastą jej populacji…

Encyklopedia Galaktyczna

Encyklopedia podaje o wiele więcej informacji na temat Muła i jego Imperium niż zawarte jest w cytowanym fragmencie, ale prawie nic z tego nie wiąże się z problemem, którym się teraz zajmiemy. W każdym razie znajdujące się tam dane są zbyt suche i nie nadają się do naszej relacji. W miejscu, w którym urywa się cytowany wyżej fragment hasła „Muł", zaczynają się rozważania dotyczące warunków gospodarczych, które doprowadziły do utworzenia stanowiska Pierwszego Obywatela Związku, jak brzmiał oficjalny tytuł Muła, i ekonomicznych konsekwencji tego stanu rzeczy.

Jeśli podczas pisania tego hasła zaskoczyła w którymś momencie jego autora niezwykła szybkość, z którą Muł w ciągu zaledwie pięciu lat doszedł od niczego do potężnego dominium, to starannie i skutecznie ukrył on ten fakt. I podobnie — jeśli zdziwiło go nagłe zaprzestanie ekspansji na rzecz ściślejszego zespolenia i umocnienia zdobytych już terytoriów, co zajęło Mułowi dalszych pięć lat, to w treści hasła nie znajdziemy nawet najmniejszego śladu tego wrażenia.

Zostawmy zatem Encyklopedię i kroczmy dalej naszą własną drogą. Zajmiemy się okresem wielkiego interregnum między epokami Pierwszego i Drugiego Imperium Galaktycznego, a ściślej końcem wspomnianego wyżej pięcioletniego okresu konsolidacji państwa Muła.

W Związku Światów panuje spokój. Gospodarka rozwija się pomyślnie. Niewiele znalazłoby się osób, które by zamieniły silne rządy Muła na poprzedzający je okres chaosu i rozprzężenia. Światy, które przed pięciu laty znajdowały się w orbicie wpływów Fundacji, mogą czuć nostalgię za dawnymi czasy, ale nic poza tym. Tych spośród przywódców Fundacji, którzy okazali się nieużyteczni, nie ma już wśród żywych, ci, którzy mogli się przydać, zostali odmienieni.

Najbardziej użytecznym z odmienionych był Han Pritcher, obecnie generał-porucznik.

W czasach Fundacji Han Pritcher był kapitanem, a jednocześnie członkiem podziemnej Opozycji Demokratycznej. Kiedy Fundacja poddała się bez walki, Pritcher toczył z Mułem swą prywatną wojnę. To znaczy walczył do czasu, dopóki nie został odmieniony.

Odmiana ta nie dokonała się za sprawą perswazji, nie była skutkiem uznania jakiejś wyższej racji czy siły argumentów. Han Pritcher doskonale o tym wiedział. Odmienił się, a raczej został odmieniony, dlatego iż Muł był mutantem obdarzonym niezwykłymi zdolnościami psychicznymi, pozwalającymi mu na swobodne manipulowanie uczuciami normalnych ludzi. Mimo to, Han Pritcher czuł się zupełnie zadowolony. Było tak, jak być powinno. Właśnie to zadowolenie z odmiany było jej głównym symptomem, ale Han Pritcher nie zaprzątał sobie tym głowy.

Teraz, powracając ze swej piątej, ważnej wyprawy w bezmiar Galaktyki rozciągający się za granicami Związku, ów doświadczony kosmonauta i pracownik wywiadu doznawał uczucia niemal naturalnej radości na myśl o czekającym go rychłym spotkaniu z Pierwszym Obywatelem. Jego surowa, jak wyciosana z kawałka ciemnego drewna twarz, która — wydawało się — musiałaby pęknąć, gdyby Han Pritcher spróbował się uśmiechnąć, nie pokazywała tego, ale zewnętrzne oznaki były zbyteczne. Muł dostrzegał uczucia tam, gdzie się rodziły, we wnętrzu człowieka, w taki rzec można sposób, w jaki zwyczajny człowiek dostrzega ściągnięcie brwi u innej osoby.

Pritcher zostawił swój wóz w starych hangarach wicekrólewskich i zgodnie z wymogami regulaminu wszedł na teren pałacu pieszo. Przeszedł milę pustą i cichą aleją. Wiedział, że na całym obszarze liczącej wiele mil kwadratowych posiadłości nie ma ani jednego strażnika, ani jednego żołnierza, ani jednego uzbrojonego człowieka.

Muł nie potrzebował żadnej ochrony. Muł sam był swoim najlepszym strażnikiem i obrońcą.

Ciszę przerywał tylko miękki odgłos kroków Pritchera. Po chwili oczom jego ukazały się lśniące, niewiarygodnie lekkie, a przy tym niewiarygodnie mocne metalowe ściany pałacu o śmiałych, płomienistych, rozedrganych — zdało się — gorączkowo łukach, charakterystycznych dla architektury Późnego Imperium. Budowla górowała majestatycznie nad otaczającym ją pustkowiem i nad miastem stłoczonym na horyzoncie.

Wewnątrz mieszkał w zupełnym odosobnieniu człowiek, od którego ponadludzkich cech psychicznych zależała nowa elita i cała struktura Związku.

Przed generałem rozsunęły się bezgłośnie potężne, gładkie drzwi. Przekroczył próg i wszedł na szerokie, ruchome schody, które szybko i cicho poniosły go w górę. Stanął przed niewielkimi, odbijającymi swą prostotą od reszty pełnego przepychu wnętrza drzwiami, które prowadziły do gabinetu Muła.

Drzwi otworzyły się…

Bail Channis był młody. Bail Channis nie należał do odmienionych. To znaczy, mówiąc prościej, jego struktura emocjonalna nie została zmieniona przez Muła. Pozostała dokładnie taka, jak ją uformowały geny, a następnie zmodyfikował wpływ środowiska. On również czuł się zupełnie zadowolony.

Nie miał jeszcze trzydziestki, a już cieszył się sporym rozgłosem w stolicy. Ponieważ był przystojny i dowcipny, świetnie radził sobie w towarzystwie. Ponieważ był inteligentny i opanowany, świetnie radził sobie z „Mułem. I jedno, i. drugie było bardzo przyjemne.

Teraz, po raz pierwszy, Muł wezwał go na prywatną audiencję.

Nogi same go niosły po długiej, lśniącej alei, prowadzącej prosto jak strzelił do wyniosłej, zwieńczonej wieżyczkami i iglicami budowli, który była niegdyś rezydencją wicekrólów Kalgana rządzących w imieniu imperatora, później siedzibą udzielnych książąt na Kalganie, władających planetą w swym własnym imieniu, a teraz stała się domem Pierwszego Obywatela Związku, który sprawował stąd rządy nad swym imperium.

Channis nucił pod nosem. Nie miał wątpliwości, że chodzi tu o Drugą Fundację. O to tak przejmujące wszystkich lękiem widmo, że wystarczyła sama wzmianka o nim, by Muł raptownie skończył ze swą polityką nieprzerwanej ekspansji i zaczął mieć się na baczności. Oficjalnie nazywało się to „konsolidacją”.

Teraz pojawiły się plotki — nic nie jest w stanie powstrzymać plotek. Muł ma na nowo podjąć ofensywę. Muł odkrył położenie Drugiej Fundacji i wkrótce na nią uderzy. Muł doszedł do

porozumienia z Drugą Fundacją w sprawie podziału Galaktyki. Muł doszedł do wniosku, że Druga Fundacja nie istnieje i chce zająć całą Galaktykę. „ Nie ma sensu wyliczać wszystkich wersji, które można usłyszeć w poczekalniach i przedpokojach gabinetów. Zresztą, nie pojawiły się po raz pierwszy. Teraz jednak wydawały się opierać na solidniejszych podstawach, i wszystkie wolne, niespokojne duchy, które rozkwitały w czasach wojny, niebezpiecznych kampanii i chaosu politycznego, a więdły i usychały w okresie stabilizacji i pokoju, radowały się.

Bail Channis. był jednym z nich. Nie bał się tajemniczej Drugiej Fundacji. Jeśli już o tym mowa, to nie bał się również Muła i szczycił się tym. Być może ci, którzy zazdrościli mu, że jest tak młody, a jednocześnie ma takie szczęście i powodzenie, czekali z cichą nadzieją na to, że Muł rozprawi się z bawidamkiem, który ot warcie stroi sobie żarty z niedostatków jego urody i ascetycznego trybu życia. Nikt nie śmiał przyłączyć się do tych żartów i tylko nieliczni nie bali się śmiać z nich, ale kiedy nic się nie stało, reputacja Channisa znacznie wzrosła.

Channis dobierał na poczekaniu słowa do melodii, którą nucił. Była to improwizacja bez sensu z refrenem „Druga Fundacja zagraża narodowi i wszelkiemu rodzajowi”.

Stanął przed pałacem.

Rozsunęły się przed nim potężne, gładkie drzwi. Przekroczył próg i wszedł na szerokie ruchome schody, które szybko i cicho poniosły go w górę. Stanął przed niewielkimi, odbijającymi swą prostotą od reszty pełnego przepychu wnętrza drzwiami, które prowadziły do pokoju Muła.

Drzwi otworzyły się…

Człowiek, który nie miał innego imienia niż Muł i innego tytułu niż Pierwszy Obywatel, patrzył przez jednostronnie przejrzystą ścianę na rzęsiście oświetlone, dumne miasto na horyzoncie.

W gęstniejącym mroku pojawiły się gwiazdy na niebie. Wszystkie były posłuszne jego woli.

Uśmiechnął się gorzko. Były posłuszne osobie, którą niewielu oglądało.

On, Muł, nie był osobą, na którą można było patrzeć, nie był osobą, na którą można było patrzeć bez ironicznego czy szyderczego uśmiechu. Przy swoich pięciu stopach i ośmiu calach ważył zaledwie sto dwadzieścia funtów. Z tyczkowatego ciała sterczały niczym uschnięte badyle długie, kościste kończyny o spiczastych łokciach i kolanach. Chuda twarz niemal ginęła w cieniu potężnego, mięsistego nosa, wystającego z niej na dobre trzy cale. Tylko oczy nie pasowały do tej karykatury człowieka, jaką był Muł. W ich łagodnym spojrzeniu, dziwnie nie pasującym do obrazu najpotężniejszego zdobywcy w

Galaktyce, krył się ustawiczny smutek.

W mieście można było znaleźć wszystkie rozrywki i uciechy, jakich mogła dostarczyć luksusowa stolica luksusowego świata. Mógł ustanowić stolicę na Fundacji, najpotężniejszym z podbitych ostatnio światów, ale leżała ona zbyt daleko, na samym skraju Galaktyki. Kalgan, położony bliżej jej centrum, tradycyjne miejsce wypoczynku i zabawy dla arystokracji całej Galaktyki, odpowiadał mu bardziej pod względem strategicznym. On sam, przebywając na tym wesołym, prosperującym jak nigdy dotąd świecie, nie mógł zaznać spokoju.

Bano się go i słuchano, być może nawet szanowano — ale z daleka. Któż mógł patrzeć na niego bez odrazy? Tylko ci, których odmienił A jaką wartość miała ich sztuczna lojalność? Brak jej było smaku, jak każdej namiastce. Mógł sobie nadawać godności i przyjmować tytuły, mógł stworzyć osobliwy rytuał i wymyślać wyszukane ceremonie, ale to niczego by nie zmieniło. Lepiej, a przynajmniej nie gorzej, było zostać po prostu Pierwszym Obywatelem i ukryć się.

Opanowało go nagle silne uczucie buntu. Nawet jedna cząstka Galaktyki nie może pozostać poza sferą jego władzy. Już pięć lat minęło od czasu, jak zaprzestał podbojów i zagrzebał się tu. na Kalganie, a wszystko z powodu odwiecznej, niejasnej groźby ataku ze strony Drugiej Fundacji, której nikt nigdy nie widział, o której nikt nigdy nie słyszał nic pewnego i o której w ogóle nic nie było wiadomo. Miał trzydzieści dwa lata. Nie był więc stary, ale czuł się staro. Aczkolwiek dysponował niezwykłą siłą psychiczną, ciało miał wątłe.

Wszystkie gwiazdy, wszystkie gwiazdy, które może dostrzec i wszystkie, których stąd nie widać — wszystkie muszą być jego!

Musi się zemścić na wszystkich. Na ludzkości, do której nie należy. Na Galaktyce, do której nie pasuje.

Zapaliło się umieszczone u góry światełko ostrzegawcze. Do pałacu ktoś wszedł. Widział jak zbliża się do jego pokoju, a jednocześnie, jak gdyby zapadający zmierzch jeszcze bardziej wyostrzył jego zmutowane zmysły, wyczuwał dokładnie stan emocjonalny przybysza. Rozpoznał go bez trudu. Był to Pritcher.

Kapitan Pritcher z nieistniejącej już Fundacji. Ten sam kapitan Pritcher, którego nie potrafił docenić zbiurokratyzowany rząd murszejącej Fundacji. Ten sam kapitan Pritcher, którego on, Muł, wyciągnął z błota i wyniósł do godności pułkownika, a następnie generała, czyniąc obiektem działalności dawnego podrzędnego pracownika wywiadu całą Galaktykę.

Pritcher, który zaczynał jako jego zdeklarowany wróg, teraz był wzorem wierności i posłuszeństwa. Wierność ta nie wypływała jednak ani z wdzięczności, ani z chęci odwzajemnienia się za uznanie i

awans, ani z nadziei uzyskania korzyści materialnych. Była to sztuczna wierność Odmienionego.

Muł doskonale rozpoznawał tę solidną i niezmienną zewnętrzną warstwę osobowości Hana Pritchera, którą tworzyły wierność i posłuszeństwo panujące niepodzielnie nad pozostałymi uczuciami, warstwę, którą sam tam zaszczepił pięć lat temu. Jednak głęboko pod tą warstwą znajdowały się pokłady, w których tkwiły w niezmienionym stanie dawne, naturalne cechy osobowości jego generała — upór, indywidualizm, niesubordynacja i idealizm — do których nawet on, Muł, nie był w stanie przeniknąć.

Otworzyły się drzwi znajdujące się za jego plecami. Odwrócił się. Przezroczysta dotąd ściana zmętniała i powoli straciła przejrzystość, a szkarłatne światło zmierzchu ustąpiło miejsca białemu, ostremu blaskowi żarówki jądrowej.

Han Pritcher usiadł na wskazanym miejsca. Podczas prywatnych audiencji u Muła nie trzeba było giąć się w ukłonach, przyklękać ani używać napuszonych tytułów. Muł był po prostu „Pierwszym Obywatelem". Zwracano się do niego przez „pan". Można było siedzieć w jego obecności, a nawet — jeśli zaszła potrzeba — odwrócić się tyłem.

W oczach Hana Pritchera wszystko to świadczyło o spokojnej pewności siebie i poczuciu własnej siły. Czuł z tego powodu wyraźne zadowolenie.

— Wczoraj otrzymałem twój ostatni meldunek, Pritcher. Nie będę ukrywał, że wydał mi się nieco przygnębiający.

Generał ściągnął brwi.

— Tak, tak przypuszczam — ale nie sądzę, żebym mógł dojść do innych wniosków, niż doszedłem. Po prostu nie ma żadnej Drugiej Fundacji.

Muł zastanowił się chwilę, a potem wolno pokręcił głową, jak tyle już razy przedtem.

— Mamy świadectwo Eblinga Misa. Zawsze jeszcze pozostaje świadectwo Eblinga Misa.

To była stara historia.

— Mis mógł być największym psychologiem na Fundacji, ale w porównaniu z Harim Seldonem był dzieckiem — rzekł stanowczym tonem Pritcher. — W czasie kiedy wertował dzieła Seldona, był pod pana presją psychiczną. Może naciskał pan zbyt mocno. Mógł się pomylić. Musiał się pomylić.

Muł westchnął, pochylając głowę na swej podobnej do badyla szyi.

— Gdyby żył minutę dłużej… Już — już miał mi powiedzieć, gdzie znajduje się Druga Fundacja. Wiedział to, mówię ci. Nie powinienem był wycofywać się. Nie powinienem był czekać tyle

czasu. Pięć lat poszło na marne.

Pritchera nie mogło irytować ani niecierpliwić długie dumanie jego pana — nie pozwalała na to jego kontrolowana przez Muła struktura psychiczna. Zamiast tego ogarnął go nieokreślony niepokój — czuł się nieswojo.

— Ale czy możliwe jest jakieś inne wyjaśnienie? Pięć razy wylatywałem na zwiady. Pan sam wyznaczał trasy tych podróży. Przeszukałem wszystko — nie pominąłem ani jednego asteroidu. Mija już trzysta lat od czasu, jak Hari Seldon ze starego Imperium założył rzekomo dwie Fundacje, żeby stały się zalążkami nowego imperium, które miało zastąpić tamto, dogorywające, już. Sto lat po Seldonie Pierwsza Fundacja była znana na całych Peryferiach. Sto pięćdziesiąt lat po Seldonie — wtedy, kiedy stoczyła ostatnią bitwę ze starym Imperium — była znana już w całej Galaktyce. Minęło trzysta lat — no i gdzie jest ta tajemnicza Druga Fundacja? Nie słyszano niej w żadnym. zakątku Galaktyki.

— Ebling Mis powiedział, że utrzymuje swoje istnienie w tajemnicy. Tylko pozostawanie w ukryciu może sprawić, że jej słabość stanie się siłą.

— Niemożliwe, żeby to, co naprawdę istnieje, można było utrzymać w tak głębokiej tajemnicy.

Muł podniósł głowę i zmierzył go ostrym przenikliwym spojrzeniem.

— Nie — rzekł. — Druga Fundacja istnieje naprawdę. — Wzniósł w górę chudy, kościsty palec. — Nastąpi lekka zmiana w taktyce.

Pritcher zmarszczył brwi.

— Chce pan sam wyruszyć? Nie radziłbym tego robić.

— Ależ skąd, oczywiście, że nie. Będziesz musiał polecieć jeszcze raz — ostatni raz. Ale z kimś, z kim podzielisz się dowództwem.

Po chwili ciszy Pritcher spytał twardym głosem:

— Z kim, panie?

— Jest tu, na Kalganie, pewien młody człowiek. Nazywa się Bail Channis.

— Nic o nim nie słyszałem.

— Tak myślę. Jest bystry, ambitny i nie jest Odmienionym.

Pritcher drgnął lekko.

— Nie rozumiem jaki z tego pożytek.

— Jest pewien pożytek, Pritcher. Jesteś bystry i masz doświadczenie. Oddałeś mi duże usługi. Ale jesteś odmieniony. Twoim działaniem kieruje sztuczna, wymuszona przeze mnie wierność. Tracąc swoje naturalne pobudki, straciłeś jednocześnie coś, czego w żaden sposób nie mogę zastąpić — coś trudno uchwytnego, co można by nazwać przedsiębiorczością.

— Nie czuję tego — odparł ponuro Pritcher. — Pamiętam siebie

całkiem dobrze z czasów, kiedy byłem pana wrogiem. Absolutnie nic czuję się teraz gorszy.

— Naturalnie — Muł wykrzywił usta w uśmiechu. — Trudno oczekiwać, żeby twój sąd w tej sprawie był obiektywny. Otóż ten Channis jest ambitny, ale nie chodzi mu o to, żeby się wykazać — on dba tylko o siebie. Jest całkowicie godny zaufania, ale nie dlatego, że jest lojalny wobec mnie, lecz dlatego, że obchodzi go tylko jego własny interes. On dobrze wie, że jego pomyślność zależy od moich sukcesów i zrobi wszystko, żeby umocnić moją władzę, bo dzięki temu sam zyska. Jeśli poleci z tobą, to będzie go zachęcała do wytrwałych poszukiwań ta właśnie dbałość o własny interes.

— Wobec tego — powiedział Pritcher, nie dając za wygraną — dlaczego nie cofnie pan mojej odmiany, jeśli myśli pan, że dzięki temu stanę się lepszym wywiadowcą? Teraz chyba może mi pan ufać.

— Nigdy w życiu, Pritcher. Dopóki będziesz w zasięgu mojej władzy, pozostaniesz Odmienionym. Gdybym w tej chwili cofnął swój wpływ, to w następnej byłbym już martwy.

Generał poczerwieniał.

— Rani mnie pan, myśląc o mnie w ten sposób.

— Nie chcę cię zranić, ale jest po prostu niemożliwe, żebyś mógł przewidzieć, jakie będziesz żywił uczucia, kiedy cofnę swój wpływ i będziesz się mógł kierować swoimi naturalnymi pobudkami. Umysł ludzki nie cierpi kontroli i manipulacji. Z tego właśnie powodu zwykły hipnotyzer nie potrafi wprawić w trans żadnej osoby bez jej dobrowolnej zgody. Ja potrafię, gdyż nie jestem hipnotyzerem, ale, wierz mi. Pritcher, odraza, której teraz nie jesteś w stanie okazać, a nawet nie wiesz o tym, że ją w głębi czujesz, jest czymś, czemu naprawdę nie chciałbym stawić czoła.

Pritcher z rezygnacją opuścił głowę. Czuł się, jakby mu przybyło kilkadziesiąt lat.

— Ale czy może pan ufać temu człowiekowi? — rzekł z wysiłkiem. — To znaczy, czy może mu pan całkowicie ufać — tak jak mnie teraz, kiedy jestem Odmieniony?

— Ha, myślę, że nie mogę mu ufać bez zastrzeżeń. Właśnie dlatego musisz z nim polecieć. Widzisz, Pritcher — Muł zagłębił się w wielkim fotelu, w którego miękkim wnętrzu wyglądał jak żywa wykałaczka — gdyby natknął się na Drugą Fundację i gdyby przyszło mu do głowy, że bardziej opłaca się trzymać z nimi niż ze mną… Rozumiesz?

W oczach Pritchera pojawił się błysk zadowolenia.

To brzmi lepiej.

— Właśnie. Ale pamiętaj, że o ile to tylko będzie możliwe, on musi mieć swobodę ruchów.

— Oczywiście.

— I… e… Pritcher. Ten młodzieniec ma miłą powierzchowność, jest uprzejmy i w ogóle czarujący. Nie daj się na to nabrać. To niebezpieczny typ, pozbawiony jakichkolwiek skrupułów. Nie wchodź mu w drogę, jeśli nie będziesz do tego odpowiednio przygotowany. To wszystko.

Muł znowu został sam. Światło zgasło, a ściana ponownie stała się przezroczysta. Niebo miało purpurowy kolor, a smuga światła na horyzoncie wskazywała, gdzie jest miasto.

Po co to wszystko? Powiedzmy, że zostanie panem całej Galaktyki… Co dalej? Czy to spowoduje, że ludzie tacy jak Pritcher stracą pewność siebie, prostolinijność, siłę i opanowanie i staną się zgarbionymi słabeuszami? Czy Bail Channis straci swą urodę? Czy on sam stanie się inny?

Żachnął się. Skąd te wątpliwości? O co mu właściwie chodzi?

Zapaliło się umieszczone u góry światełko. Do pałacu wszedł człowiek. Muł widział, jak zbliża się do jego pokoju i, niemal wbrew swej woli, odkrywał stan emocjonalny przybysza.

Rozpoznał go bez trudu. Był to Channis. W jego strukturze psychicznej Muł nie dostrzegał tej jednolitości uczuć, która charakteryzowała Pritchera. Miał przed sobą surowe, bogate i różnorodne spectrum uczuć wytworzone przez silny, nietknięty obcym oddziaływaniem umysł, na który wywarły wpływ jedynie sprzeczności targające wszechświatem. Cała struktura falowała i pulsowała. Jej powierzchnię tworzyła ostrożność pokrywająca całość cienką, gładką warstwa,, w ukrytych zakąskach tworzyły się wiry cynizmu i grubiaństwa. Pod powierzchnia, płynął silny prąd egoizmu i interesowności, z którym tu i ówdzie łączyły się strumyki okrucieństwa. Na samym spodzie, w głębi, zalegała nieruchomo niczym nie zaspokojona ambicja.

Muł wiedział, że w każdej chwili może wtargnąć w ten przestwór, zburzyć powierzchnię i zamieszać w głębi, zmienić kierunek prądu albo zniszczyć go i stworzyć inny. Ale co z tego? Czy gdyby Channis chylił przed nim głowę i wpatrywał się w niego z uwielbieniem, zniknęłaby groteskowość jego własnej postaci, groteskowość, która sprawiła, że unikał światła dziennego i kochał noc, że żył samotnie, jak odludek, w środku imperium, które całkowicie należało do niego?

Otworzyły się drzwi znajdujące się za jego plecami. Odwrócił się. Przezroczysta dotąd ściana zmętniała i powoli straciła przejrzystość, a ciemność ustąpiła białemu, ostremu światłu żarówki jądrowej.

Bail Channis usiadł swobodnie i rzekł:

— Nie jest to dla mnie zupełnie niespodziewany zaszczyt.

Muł potarł czterema palcami swój wydatny organ powonienia i spytał z lekką irytacją w glosie:

— A dlaczegóż to, młodzieńcze?

Myślę, że to przeczucie. Jeśli nie brać pod uwagę tego, że doszły do moich uszu pewne plotki.

— Plotki? A które konkretnie? Jest ich całe mnóstwo.

— Te, według których przygotowuje się ofensywę galaktyczną. Mam nadzieję, że tak jest istotnie i że będę w niej mógł odegrać odpowiednią rolę.

— A więc myślisz, że Druga Fundacja istnieje?

— A dlaczego nie? To by czyniło Galaktykę ciekawszą.

— Uważasz, że to interesujące?

— Oczywiście. Właśnie ta tajemnica, która ją otacza. Czy można znaleźć lepszy temat dla snucia domysłów? Ostatnio dodatki do gazet nie zajmują się niczym innym, prawdopodobnie świadczy to o znaczeniu tej sprawy. Jeden z głównych autorów piszących do „Kosmosu" wymyślił historię o świecie, gdzie żyją istoty będące czystą inteligencją — chodzi o Drugą Fundację — które dysponują tak potężną energią psychiczną, że można ją porównywać tylko z energią, jaka zajmują się nasze nauki fizyczne. Jest ona w stanie niszczyć statki kosmiczne odległe o całe lata świetlne, zmieniać orbity planet…

— Owszem, ciekawe. A co ty o tym myślisz? Masz jakąś własną koncepcję czy zgadzasz się z tą hipotezą o energii psychicznej?

— Na Galaktykę, nie! Myśli pan, że takie istoty ograniczyłyby swe posiadanie do swojej ojczystej planety? Nie, proszę pana. Uważam, że Druga Fundacja pozostaje w ukryciu, ponieważ jest słabsza, niż sądzimy.

— Wobec tego nie muszę długo tłumaczyć o co mi chodzi. Co byś powiedział na objęcie dowództwa wyprawy, której celem jest zlokalizowanie Drugiej Fundacji?

Przez chwilę wydawało się, że Channis zapomniał języka w gębie. Najwyraźniej nie był przygotowany na tak szybki bieg wydarzeń. Milczenie przedłużało się.

— No więc? — spytał sucho Muł. Channis zmarszczył czoło.

— Oczywiście, zgadzam się. Ale gdzie mam lecieć? Czy uzyskał pan jakieś informacje?

— Będzie z tobą generał Pritcher…

— A wiec nie będę dowodził?

— Osądzisz sam, kiedy skończę. Słuchaj, nie pochodzisz z Fundacji. Jesteś Kalgańczykiem, prawda? Tak. No więc pewnie niewiele wiesz o Planie Seldona. Kiedy pierwsze Imperium Galaktyczne chyliło się ku upadkowi, Hari Seldon z grupą psychohistoryków, analizując przy pomocy narzędzi matematycznych, jakich w naszej zdegenerowanej epoce próżno szukać, przyszły bieg historii, założył na dwóch przeciwległych krańcach Galaktyki dwie Fundacje, tak dobierając warunki, żeby wolno zmieniające się

czynniki społeczne i gospodarcze doprowadziły do ich przekształcenia się w zalążki Drugiego Imperium. Zgodnie z Planem Seldona miało to trwać tysiąc lat — bez Fundacji okres ten wydłużyłby się do trzydziestu tysięcy. Ale Seldon nie mógł liczyć na to, że pojawię się ja. Jestem mutantem, i psychohistoria, która zajmuje się, zgodnie z prawem wielkich liczb, jedynie reakcjami wielkich populacji, nie mogła przewidzieć takiej sytuacji. Rozumiesz?

— Doskonale. Ale gdzie tu jest miejsce dla mnie?

— Zaraz się dowiesz. Mam zamiar zjednoczyć Galaktykę już teraz i osiągnąć cel, który przyświecał Seldonowi, nie w ciągu tysiąca, lecz w czasie trzystu lat. Jedna Fundacja — świat specjalistów od fizyki i techniki — wciąż rozwija się i kwitnie pod moimi rządami. Rozwój gospodarczy oraz ład i spokój panujący w Związku pozwoliły im stworzyć broń jądrową, której nie oprze się nic, z wyjątkiem może Drugiej Fundacji. Muszę więc zdobyć o niej więcej informacji. Generał Pritcher jest święcie przekonany, że Druga Fundacja nie istnieje. Ja wiem, że to nieprawda.

— Skąd pan to wie? — spytał ostrożnie Channis.

— Stąd, że ktoś ingeruje w umysły ludzi, którzy do tej pory znajdowali się pod moją wyłączną kontrolą! — wybuchnął nagle Muł. — Delikatnie, subtelnie, ale nie aż tak subtelnie, żebym nie był w stanie tego zauważyć. Co więcej, ta ingerencja się wzmaga, a ofiarami jej padają wartościowi ludzie i to w ważnych momentach. Dziwi cię teraz, że przez tyle lat wolałem siedzieć spokojnie?

Dlatego jesteś mi potrzebny. Generał Pritcher jest najlepszy z tych, którzy mi zostali, a więc jest w niebezpieczeństwie. Oczywiście, on o tym nic nie wie. Ale ty nie jesteś Odmienionym i dlatego trudno by było od razu stwierdzić, że jesteś moim człowiekiem. Możesz zwodzić Drugą Fundację dłużej niż którykolwiek z. moich ludzi — może nawet tak długo, jak będzie potrzeba. Rozumiesz?

— Hmm. Tak. Ale proszę mi wybaczyć jeszcze jedno pytanie. Muszę wiedzieć, w jaki sposób objawia się ta ingerencja, żebym potrafił wyśledzić zmianę w zachowaniu generała Pritchera, gdyby do tego doszło. Czy to likwiduje ich odmianę? Czy stają się zdrajcami?

— Nie. Mówiłem już, że ta zmiana jest delikatna. Dlatego trudno ją wykryć i nieraz muszę wstrzymywać się z działaniem, bo nie mam pewności czy człowiek, który jest na kluczowym stanowisku, zachowuje się dziwnie z jakichś naturalnych powodów, czy jest manipulowany. Ich wierność pozostaje nienaruszona, ale tracą pomysłowość i inicjatywę. Pozostawia mi się osobę na pozór normalną, ale zupełnie bezużyteczny. W ostatnich latach spotkało to sześciu ludzi. Sześciu spośród najzdolniejszych — uniósł w górę kącik ust. — Teraz dowodzą bazami szkoleniowymi i pragnę tylko jednego — żeby nie znaleźli się w krytycznej sytuacji, która wymagałaby od

nich podjęcia natychmiastowej decyzji.

— Przypuśćmy… przypuśćmy, że to nie jest sprawa Drugiej Fundacji. A gdyby to był ktoś taki jak pan — inny mutant?

— To ostrożna i dokładna robota, obliczona na wiele lat. Jeden człowiek bardziej by się spieszył. O nie, w tym bierze udział wielu ludzi, cały świat, i ty będziesz bronią, której przeciw nim użyję.

— Czuję się zaszczycony, że to mnie pan wybrał.

Muł zauważył nagłą zmianę w jego strukturze emocjonalnej.

— Tak, najwyraźniej myślisz sobie, że skoro masz wykonać dla mnie specjalne zadanie, to należy ci się równie specjalna zapłata — może nawet mianowanie cię — moim następcą. Masz rację. Ale musisz wiedzieć, że są też specjalne kary. Moja gimnastyka psychiczna nie ogranicza się do wytwarzania uczuć wierności i posłuszeństwa.

Na jego wąskich wargach pokazał się lekki uśmiech, a Channis podskoczył z trwogą na krześle.

Na ułamek sekundy, ułamek krótszy niż mgnienie oka. Channis poczuł osaczające go, przenikliwe, trudne do opisania przygnębienie. Miał wrażenie, że zamyka się nad nim, miażdżąc mu niemal mózg, hermetyczna czasza. Ogarnęła go znienacka zupełna ciemność, a całe ciało przeszył potworny, niemożliwy do zniesienia ból. Wszystko to znikło równie szybko, jak się pojawiło, pozostawiając tylko wściekły gniew.

— Złość nic tu nie pomoże… — rzekł Muł. — No tak, teraz starasz sieją ukryć, co? Nie przede mną. A więc pamiętaj — to wrażenie może być jeszcze bardziej intensywne i trwałe. Zabijałem już w ten sposób i — zapewniam — nie ma Straszniejszej śmierci. — Przerwał, a po chwili dodał: — To wszystko!

Muł znowu został sam. Światło zgasło, a ściana ponownie stała się przezroczysta. Niebo było ciemne, a wyłaniający się zza horyzontu roziskrzony gwiazdami soczewkowaty kształt Galaktyki rysował się coraz wyraźniej na jego aksamitnym tle.

Cała ta mgławica składała się z takiej masy gwiazd, że ich lśnienie stapiało się w jeden wielki świetlny obłok.

Wszystko to miało należeć do niego…

Jeszcze tylko jedno, Ostatnie już posunięcie i będzie mógł spokojnie zasnąć.

Pierwsze interludium

Trwało posiedzenie Zarządu Drugiej Fundacji. Dla nas są to tylko głosy. Nie jest tu istotna ani dokładna znajomość miejsca spotkania, ani jego uczestników.

Zresztą, ściśle biorąc, nie możemy nawet dokładnie odtworzyć żadnej części obrad. Chyba że zdecydowalibyśmy się poświęcić w tym celu to minimum zastosowanych w naszej relacji, a ogólnie używanych środków przekazu informacji — których przecież mamy prawo oczekiwać — i narazić się na zupełne niezrozumienie.

Zajmujemy się tu psychologami, a właściwie niezupełnie psychologami. Powiedzmy raczej — naukowcami o psychologicznej orientacji. To znaczy ludźmi, którzy swoją koncepcję filozofii nauki oparli na podstawach zupełnie różnych od wszystkich znanych nam orientacji. „Psychologia" stworzona przez uczonych bazujących na aksjomatach i twierdzeniach obserwacyjnych przyjmowanych w naukach fizycznych ma niewiele wspólnego z PSYCHOLOGIĄ.

To mniej więcej tak, jakbym próbował wyjaśnić ślepemu, co to kolor, będąc przy tym równie ślepy jak on.

Chodzi o to, że mózgi uczestników zebrania doskonale znały się i rozumiały nawzajem nie tylko dzięki tłumaczącej ich pracę jakiejś ogólnej teorii, ale również dzięki długotrwałemu stosowaniu konkretnych teorii w codziennej praktyce. Mowa — taka, jaką znamy — była zbyteczna. Nawet fragment zdania wyrażony przy pomocy słów był w porównaniu z ich metodą porozumiewania się pełen zbytecznego gadulstwa. Gest, chrząknięcie, nieznaczny grymas, a nawet odpowiednio wyważona pauza niosły potężną, dawkę informacji.

Pozwalamy tu sobie zatem na przytoczenie części owej konferencji w swobodnym przekładzie na specyficzne kombinacje słów, niezbędne dla przekazu informacji między mózgami nastawionymi od dzieciństwa na filozofię opartą na naukach fizycznych, zdając sobie jednak sprawę, że narażamy się w ten sposób na ryzyko niedostrzeżenia i pominięcia bardziej subtelnych niuansów.

Jeden „głos" górował nad innymi. Należał on do człowieka zwanego po prostu Pierwszym Mówcą. Właśnie mówił:

— Teraz wiemy już dostatecznie jasno, co powstrzymało Muła. Nie mogę powiedzieć, żeby świadczyło to dobrze o… hmm… o naszej zręczności w rozegraniu tamtej sytuacji. Jasne jest, że był o włos od odkrycia naszej siedziby, wykorzystawszy sztucznie spotęgowany potencjał mózgu osoby określanej w Pierwszej Fundacji mianem „psychologa". Psycholog ten został zabity w momencie, kiedy miał poinformować Muła o swoim odkryciu. W świetle wyliczeń poniżej Trzeciej Fazy, do zabójstwa tego prowadził zupełnie przypadkowy łańcuch wydarzeń. Może przejmiesz głos.

Ton, którym zostały wypowiedziane ostatnie słowa, wskazywał na Piątego Mówcę. Podjął on ponuro:

— Pewnym jest, że w tamtej sytuacji nie popisaliśmy się. Jesteśmy, oczywiście, prawie zupełnie bezbronni wobec zmasowanego

ataku, szczególnie prowadzonego przez armię pod wodzą takiego fenomenu psychicznego jak Muł. Krótko po podboju Pierwszej Fundacji, dzięki czemu zaczął się liczyć w Galaktyce, mówiąc dokładnie — w pół roku potem, był już na Trantorze. Jeszcze pół roku i byłby tutaj, a nasze szansę byłyby przerażająco nikłe, mówiąc dokładnie — 3,7% z dokładnością do 0,05%. Poświęciliśmy wiele czasu na analizę sił, które go powstrzymały. Wiemy, oczywiście, co nim kierowało. Wewnętrzny związek między jego fizycznym upośledzeniem a wyjątkowymi zdolnościami psychicznymi jest oczywisty dla nas wszystkich. Jednak dopiero przeszedłszy do Trzeciej Fazy mogliśmy stwierdzić — i to dopiero po fakcie — że w obecności osoby, która żywi w stosunku do niego szczere, przyjazne uczucia może się on zachować w sposób dla siebie nietypowy. A zatem całe to zdarzenie było przypadkowe w tym sensie, że było uwarunkowane obecnością takiej właśnie osoby w odpowiednim momencie.

Według informacji uzyskanych przez naszych agentów psycholog pracujący dla Muła został zabity przez dziewczynę, przez dziewczynę, której — ze względu na jej uczucia — Muł całkowicie ufał i której dlatego nie objął swą kontrolą psychiczną.

Od czasu tego wydarzenia, które było dla nas ostrzeżeniem — ci, którzy chcieliby zapoznać się ze szczegółami całej sprawy, znajdą ich matematyczną analizę w Bibliotece Głównej — powstrzymujemy Muła stosując nietypowe dla nas metody, przez co codziennie ryzykujemy, że cały dokładnie opracowany przez Seldona plan historii skończy się fiaskiem. To wszystko.

Pierwszy Mówca czekał chwilę, by zebrani zdali sobie sprawę z wszystkich konsekwencji przedstawionej sytuacji. Potem ponownie zabrał głos:

— A więc sytuacja jest w wysokim stopniu niepewna. Wydarzenia odbiegły tak daleko od linii nakreślonej przez Seldona — tu muszę jeszcze raz podkreślić, że popełniliśmy karygodny błąd nie przewidując w porę ich biegu i dając się zaskoczyć — że jeśli nie podejmiemy odpowiednich kroków, cały Plan nieuchronnie się załamie. Czas biegnie nieubłaganie i zostajemy w tyle. Myślę, że pozostało nam tylko jedno wyjście, a i to niepewne… Musimy pozwolić, żeby Muł nas znalazł… w pewnym sensie. Przerwał na chwilę, aby zapoznać się ze stanowiskiem pozostałych i dodał:

— Powtarzani — w pewnym sensie.

2. DWOJE LUDZI BEZ MUŁA

Statek był gotowy do drogi. Nie brakowało niczego oprócz celu podróży. Muł sugerował powrót na Trantora, na leżącą w ruinach metropolię największego imperium w dziejach ludzkości, na martwy świat będący ongiś stolicą całej Galaktyki.

Pritcher był temu przeciwny. Jego zdaniem był to ślad wiodący donikąd — stara, dokładnie spenetrowana ścieżka.

W kabinie nawigacyjnej zastał Baila Channisa. Kędzierzawa czupryna młodzieńca była zwichrzona, ale nie zanadto. Akurat na tyle, by opadł mu na czoło wijący się kosmyk włosów. Nawet najbardziej staranne zabiegi nie dałyby lepszego efektu. Do tej fryzury znakomicie pasował szeroki uśmiech ukazujący lśniące białe zęby. Sztywny generał poczuł nieokreśloną niechęć do towarzysza wyprawy.

Channis był wyraźnie podniecony.

— Pritcher, to nie może być zbieg okoliczności!

— Nie rozumiem, o czym mówisz — odparł zimno generał.

— Och… dobra, bierz krzesło i siadaj, stary. Przeglądałem twoje notatki. Uważam, że są Świetne.

— To bardzo miłe z twojej strony.

— Ale zastanawiam się, czy doszedłeś do takich samych wniosków jak ja. Próbowałeś kiedy zabrać się za ten problem dedukcyjnie? To znaczy, owszem, przeczesywanie wybranych losowo partii przestrzeni to całkiem niezła metoda i podczas tych pięciu wypraw odwaliłeś niezły kawałek roboty, to jasne. Ale czy zastanowiłeś się kiedy, ile trzeba by czasu, żeby przy takim tempie oblecieć wszystkie znane światy?

— Owszem, parę razy — Pritcher nie miał najmniejszej ochoty ułatwiać Channisowi rozmowy, ale musiał zorientować się, co myśli jego kompan. Jego mózg znajdował się przecież poza kontrolą Muła, a więc nie można było przewidzieć, co mu przyjdzie do głowy.

— W porządku. Wobec tego może teraz postaralibyśmy się wspólnie przeanalizować tę sprawę i odpowiedzieć na pytanie, czego właściwie szukamy?

— Drugiej Fundacji — odparł szorstko Pritcher.

— Fundacji zamieszkałej przez psychologów — poprawił go Channis — którzy są tak samo słabi w fizyce jak Pierwsza Fundacja w psychologii. Myślę, że konsekwencje tego stanu rzeczy są dla ciebie zupełnie oczywiste. W końcu to ty, nie jji, pochodzisz z Pierwszej Fundacji. Musimy znaleźć świat, który sprawuje rządy nad przestrzenią za pomocą sił psychicznych, a jednocześnie jest zacofany w dziedzinie techniki.

— Czy aby na pewno? — spytał spokojnie Pritcher. — Nasz

Związek Światów nie jest bynajmniej zacofany pod względem techniki, minio że nasz władca zawdzięcza swą potęgę własnym siłom psychicznym.

— Bo może korzystać z osiągnięć Pierwszej Fundacji — odparł z lekka już zniecierpliwiony Channis — która jest jedyną oazą wiedzy w Galaktyce. Druga Fundacja znajduje się gdzieś wśród szczątków Imperium Galaktycznego. Tam nie ma skąd czerpać wiedzy.

— A więc zakładasz, że dysponują siłą psychiczną wystarczającą do tego, żeby objąć rządy nad grupą światów, a jednocześnie że fizycznie są bezbronni?

— Względnie bezbronni. Potrafią się obronić przed zacofanymi technicznie sąsiadami. Ale siłom Muła, z ich zapleczem technicznym oferowanym przez rozwinięty przemysł jądrowy, nie są w stanie się oprzeć. Jeśli jest inaczej, to dlaczego miejsce ich zamieszkania było trzymane w takim sekrecie przez Hariego Seldona i teraz przez nich samych? Wasza Fundacja nigdy nie czyniła tajemnicy ze swego istnienia i nikt nie ukrywał tego faktu trzysta lat temu, kiedy ograniczała się do jednego bezbronnego miasta na samotnej planecie.

Gładką, ogorzały twarz Pritchera wykrzywił ironiczny uśmiech.

— Skoro przeprowadziłeś tak dogłębną analizę, to może chciałbyś teraz otrzymać listę wszystkich tych królestw, republik, państw planetarnych i dyktatur wszystkich możliwych odmian i odcieni, które pasują do twojego opisu, z uwzględnieniem jeszcze paru czynników, których nie zdążyłeś wymienić?

— A zatem to wszystko zostało już uwzględnione? — Channis nie stracił nic ze swej pewności siebie.

— Naturalnie tutaj nie znajdziesz żadnych materiałów, ale dysponujemy dokładnym i kompletnym przewodnikiem po organizmach politycznych przeciwległych kresów Galaktyki. Naprawdę myślałeś, że Muł działa bez przygotowania, całkowicie zdając się na los szczęścia?

— No tak. Wobec tego — rzekł Channis podnosząc głos w nagłym przypływie energii — co powiesz o Oligarchii Tazendy?

Pritcher potarł w zamyśleniu ucho.

— Tazenda? A tak, zdaje się, że wiem o co chodzi. To nie jest państwo kresowe, prawda? Zdaje się, że leży o jedną trzecią drogi od środka Galaktyki.

— Tak. Co o niej wiesz?

— Zapiski, którymi dysponujemy, umiejscowiają Drugą Fundację na przeciwnym krańcu Galaktyki. Przestrzeń jedna wie, że to jedyna informacja, na której możemy się oprzeć. Tak czy owak, szkoda gadać o Tazendzie. Jej odchylenie kątowe od radiana Pierwszej Fundacji waha się od około stu dziesięciu do stu dwudziestu stopni. W każdym razie nigdy nawet się nie zbliża do stu osiemdziesięciu.

— Jest jeszcze inna wzmianka w zapiskach. Druga Fundacja została założona na „Krańcu Gwiazdy".

— Nie znaleziono dotąd w Galaktyce regionu o tej nazwie.

— Bo była to nazwa lokalna, której przestano później używać, żeby zachować głębszą tajemnicę. Może zresztą Seldon i jego zespół wymyślili tę nazwę specjalnie na tę okazję. Jest jednak pewien związek między Tazendą a Krańcem Gwiazdy, nie sądzisz?

— Zbliżone brzmienie końcówek obu nazw? To ma być związek? Bzdura!

— Byłeś tam kiedy?

— Nie.

— Ale jest o niej wzmianka w twoich notatkach.

— Gdzie? Ach tak, ale zatrzymaliśmy się tam tylko po to, żeby uzupełnić zapasy wody i żywności. Ten świat z całą pewnością nie wyróżnia się niczym szczególnym.

— Wylądowaliście na planecie rządzącej? Na tej, gdzie znajduje się ośrodek władzy?

— Tego nie wiem.

Channis zamyślił się. Pritcher patrzył na niego zimno. Nagle Channis ocknął się i spytał:

— Możesz przez chwilę popatrzeć ze mną na obraz z Projektora?

— Oczywiście.

Projektor był najnowszym osiągnięciem myśli technicznej i należał do wyposażenia krążowników międzygwiezdnych. W rzeczywistości, wbrew nazwie, była to skomplikowana maszyna licząca połączona z rzutnikiem pokazującym na ekranie daną część nieba widzianego nocą z dowolnie wybranego miejsca w Galaktyce.

Channis wybrał odpowiednie współrzędne i zgasił światła w kabinie pilota. W przyćmionym czerwonym świetle padającym znad pulpitu sterowniczego Projektora jego twarz połyskiwała różowo. Pritcher usiadł w fotelu pilota, zakładając nogę na nogę. Jego twarz była niewidoczna w ciemności.

Powoli, w miarę jak mijał okres indukcji, na ekranie pojawiały się świetlne punkciki. Po pewnym czasie było ich już tak wiele, że od ich lśnienia rozjarzył się cały ekran. Przedstawiały gąszcz gęsto zaludnionych zbiorów gwiazd w centrum Galaktyki.

— Oto — rzekł Channis — obraz nieba widziany zimową nocą z Trantora. To jest właśnie ten ważny szczegół, którego — o ile mi wiadomo — nie brałeś do tej pory pod uwagę w swoich poszukiwaniach. Każda próba określenia położenia Drugiej Fundacji powinna przyjmować Trantor za punkt wyjścia. Przecież był on centrum Imperium Galaktycznego. Zresztą bardziej nawet centrum naukowym i kulturalnym niż politycznym. I dlatego w dziewięciu przypadkach na dziesięć znaczenie każdej używanej wówczas nazwy

opisowej powinno odzwierciedlać jakiś związek pomiędzy określanym przez nią miejscem a Trantorem. Trzeba też pamiętać, że chociaż sam Seldon pochodził z Helikona, leżącego bliżej Peryferii niż centrum, to jego zespół pracował na Trantorze.

— Co chcesz mi pokazać? — lodowaty głos Pritchera ostudził nieco zapał Channisa.

— Wyjaśni to mapa. Widzisz tę ciemną mgławicę? — cień jego ramienia padł na ekran, na którym widać było roziskrzone niebo. Palec wskazujący prawie dotykał niewielkiego pasemka czerni, które wyglądało jak dziura w lśniącej tkaninie. — W rejestrze gwiazdowym figuruje pod nazwą Mgławicy Pellota. Przyjrzyj się jej. Zaraz powiększę obraz.

Pritcher miał już nieraz okazję przyglądać się zabiegowi powiększania obrazu przez Projektor, ale mimo to za każdym razem na nowo zapierało mu dech. Zawsze miał przy tym wrażenie, że patrzy na ekran monitora statku mknącego przez straszliwie zatłoczoną Galaktykę bez wchodzenia w nadprzestrzeń. Z jakiegoś punktu w głębi ekranu wystrzeliwały całe masy gwiazd i pędziły w ich kierunku. Po drodze rozdzielały się, tworząc jakby ogromny lej, a kiedy statek weń wpadał, przepadały za krawędziami ekranu. Pojedyncze punkty podwajały się, a potem przybierały kuliste kształty. Ukazujące się tu i ówdzie mgliste plamy zmieniały się w miliony świetlistych punkcików. I cały czas trwało to złudzenie ruchu. Dotarł do niego głos Channisa:

— Zwróć uwagę, że poruszamy się wzdłuż linii prowadzącej z Trantora wprost do Mgławicy Pellota, w wyniku czego uzyskujemy obraz przestrzeni równoważny obrazowi widzianemu z Trantora. Prawdopodobnie jest między nimi niewielka różnica spowodowana odchyleniem światła w polu grawitacji, ale nie znam na tyle matematyki, żebym mógł skorygować ten błąd. W każdym razie jestem pewien, że ta różnica nie jest istotna.

Ciemna plama wypełniała coraz większą część ekranu. Kiedy Channis zwolnił tempo powiększania, wydawało się, że gwiazdy, niczym żywe istoty, ociągają się z odejściem i niechętnie nikną w rogach ekranu. Na brzegach rosnącej mgławicy rozbłyskiwały na krótko, nim skryły się za nią, roje gwiazd, jakby dając świadectwo temu, że za morzem wirujących, nie emitujących promieni świetlnych atomów sodu i wapnia, które wypełniały całe parseki sześcienne przestrzeni, też istnieje światło.

Obraz zatrzymał się i Channis znowu zbliżył palec do ekranu.

To miejsce mieszkańcy regionu nazwali „Ustami”. Jest to o tyle ważne, że ten fragment przestrzeni przypomina usta tylko wtedy, kiedy ogląda się go z Trantora — mówił wskazując na szczelinę w mgławicy wypełnioną światłem i wyglądającą na ciemnym tle jak

nieregularne, wyszczerzone w uśmiechu usta.

— Patrz uważnie na „Usta” — ciągnął. — Patrz tam, gdzie gardziel zwęża się i przechodzi w wąską, rozszczepioną smugę światła.

Obraz znowu ruszył. Mgławica zniknęła z pola widzenia i cały ekran wypełniły „Usta”. Podczas zbliżenia Channis w milczeniu wodził palcem po ekranie, a kiedy obraz znieruchomiał, zatrzymał go w miejscu, gdzie widać było samotną gwiazdę — za nią rozciągała się nieprzenikniona ciemność.

— Kraniec Gwiazdy — powiedział po prostu. — W tym miejscu materia mgławicy jest rzadka i światło tej gwiazdy przenika akurat w tym jednym kierunku — w kierunku Trantora.

— Próbujesz mi powiedzieć, że… — zaczął podejrzliwie Pritcher i urwał.

— Nie próbuję. To jest Tazenda — Kraniec Gwiazdy.

Zapłonęły światła. Ekran zgasł. Pritcher trzema długimi susami znalazł się przy Channisie.

— Jak na to wpadłeś?

Channis odchylił głowę na oparcie krzesła. Na jego twarzy widać było dziwne zakłopotanie.

— Przez przypadek. Wolałbym to przypisać swojej bystrości, ale to był czysty przypadek. Zresztą nieważne jak do tego doszedłem, ważne, że to pasuje. Według posiadanych przez nas informacji, Tazenda jest oligarchią. Włada dwudziestoma sześcioma planetami. Nie ma wysoko rozwiniętej nauki. I, co najważniejsze, jest światem mało znanym, któremu obce są dążenia ekspansjonistyczne i który zachowuje ścisłą neutralność i nie miesza się do polityki nawet w swoim regionie. Myślę, że powinniśmy poznać ten świat.

— Czy poinformowałeś o tym Muła?

— Nie. I nie poinformujemy go. Jesteśmy już w przestrzeni i przygotowujemy się właśnie do pierwszego skoku.

Pritcher rzucił się przerażony do ekranu monitora. Kiedy nastawił ostrość, jego oczom ukazała się zimna otchłań otwartej przestrzeni. Patrzył jak skamieniały w ciemność. Wreszcie oderwał się od monitora. Jego ręka machinalnie powędrowała w stronę miotacza. Uspokoił się, czując pod palcami twardą, zakrzywioną kolbę.

— Z czyjego rozkazu? — spytał.

— Z mojego, generale… — Channis po raz pierwszy użył jego tytułu. — Wystartowaliśmy akurat wtedy, kiedy zajmowałem cię tu tym pokazem. Prawdopodobnie wcale nie zdałeś sobie sprawy ze wzrostu przyspieszenia, bo akurat w tym momencie robiłem zbliżenie mgławicy i na pewno uważałeś, że jest to złudzenie wywołane pozornym ruchem gwiazd na ekranie.

— Dlaczego to zrobiłeś? Co ty wyprawiasz? I wobec tego w jakim celu wygadywałeś te bzdury o Tazendzie?

— To nie bzdury. Mówiłem zupełnie poważnie. Właśnie tam lecimy. Wystartowaliśmy dzisiaj dlatego, że odlot był zaplanowany dopiero za trzy dni. Ty, generale, nie wierzysz w istnienie Drugiej Fundacji, ale ja wierzę. Ty wypełniasz po prostu rozkazy Muła i robisz to bez przekonania, natomiast ja dostrzegam realne niebezpieczeństwo. Druga Fundacja miała pięć lat na przygotowanie się. Nie wiem jak to wykorzystali, ale może mają agentów na Kalganie? Przy swoich zdolnościach mogliby się zorientować, że znam. poi ożenię ich siedziby. Moje życie znalazłoby się w niebezpieczeństwie, a ja bardzo dbam o swoją skórę. Jest to, co prawda, bardzo mało prawdopodobne, ale mimo to wolałem się ubezpieczyć. Dzięki temu moich domysłach nie wie nikt prócz ciebie, a i ty dowiedziałeś się dopiero wtedy, kiedy znaleźliśmy się w przestrzeni. Zresztą i tak pozostaje kwestia załogi.

Na twarzy Channisa znowu pojawił się uśmiech, tym razem ironiczny, bo całkowicie panował nad sytuacją.

Dłoń Pritchera zsunęła się z kolby miotacza. Do głowy cisnęły mu się przykre myśli. Co powstrzymało go przed działaniem? Co odebrało mu energię? Nie tak odległe były przecież czasy, kiedy był krnąbrnym, odrzucającym utarte schematy i z tego powodu pozbawiony możliwości awansu kapitanem w służbie imperium handlowego Pierwszej Fundacji, kiedy to raczej on niż Channis podjąłby tak śmiałą i szybką decyzję. Czyżby Muł miał rację? Czyżby jego umysł, znajdujący się we władzy Muła, był tak pochłonięty myślą o posłuszeństwie, że stracił inicjatywę? Opanowało go przygnębienie, pod wpływem którego poczuł się dziwnie znużony.

— Dobra robota — powiedział. — Jednak w przyszłości masz się konsultować ze mną przed podjęciem decyzji tego rodzaju.

W tym momencie jego uwagę zwróciło mrugające światełko kontrolne.

— To maszynownia — rzekł niedbałym tonem Channis. — Rozgrzali się w ciągu pięciu minut prosiłem ich, żeby dali znać, gdyby mieli jakieś kłopoty. Chcesz przejąć dowództwo?

Pritcher kiwnął głową bez słowa i zostawszy sam zamyślił się nad smutnymi konsekwencjami zbliżania się do pięćdziesiątki. W ekranie monitora migotały z rzadka rozsiane gwiazdy. Z jednej strony widok zakrywał mglisty kształt jądra Galaktyki Co by było, gdyby nie znajdował się pod wpływem Muła…

Na samą myśl o tym otrząsnął się z przerażeniem.

Główny inżynier Huxlani przyglądał się bacznie młodemu mężczyźnie w cywilnym ubraniu, który zachowywał się z taką pewnością siebie, jak gdyby był oficerem floty i który rzeczywiście zdawał się mieć tu władzę. Huxlani, który był zawodowym żołnierzem

od czasu, kiedy przestało mu kapać mleko z brody, zawsze kojarzył władzę z odpowiednimi insygniami Ale tego człowieka wyznaczył sam Muł, a do Muła należało, oczywiście, ostatnie słowo. Właściwie jedyne słowo. Huxlani nawet podświadomie nie kwestionował tego. Władza nad uczuciami sięgała głęboko.

Bez słowa wręczył Channisowi mały, owalny przedmiot. Channis zważył go w ręku i uśmiechnął się zachęcająco.

— Jesteś z Fundacji, szefie, co?

— Tak, proszę pana. Kiedy Pierwszy Obywatel przejął władzę, miałem już za sobą osiemnaście lat służby we flocie Fundacji.

— I szkołę inżynierską w Fundacji?

— Dyplom wykwalifikowanego technologa pierwszej klasy zrobiony w Szkole Głównej na Anakreonie.

— Nieźle. I znalazłeś to tam, gdzie ci poleciłem szukać — w segmencie łączności?

— Tak, proszę pana.

— Czy to należy do normalnego wyposażenia?

— Nie, proszę pana.

— No to co to jest?

— Hiperindykator.

— To mi nic nie mówi. Nie jestem z Fundacji. Co to jest?

To urządzenie pozwala śledzić ruch statku w nadprzestrzeni.

— Inaczej mówiąc, można nas mieć cały czas na oku.

— Tak, proszę pana.

— W porządku. To nowy wynalazek, co? Dzieło któregoś z instytutów badawczych założonych przez Muła, tak?

— Tak sądzę.

— A jego działanie objęte jest tajemnicą państwową. Zgadza się?

— Tak sądzę.

— A jednak znalazło się to tutaj. Zastanawiające.

Channis obracał hiperindykator w ręku. Nagle zwrócił go inżynierowi.

— Wobec tego zabierz to i umieść z powrotem tam, gdzie znalazłeś i dokładnie w takim położeniu jak przedtem. Rozumiesz? A potem zapomnij o tym. Zupełnie!

Huxlani automatycznie podniósł rękę, aby zasalutować, ale cofnął ją w pół ruchu, obrócił się szybko i odszedł.

Statek posuwał się skokami przez Galaktykę. Jego szlak znaczył na mapie łańcuch dość znacznie oddalonych od siebie kropek. Kropki oznaczały krótkie, mierzące od dziesięciu do sześćdziesięciu sekund świetlnych odcinki drogi w normalnej przestrzeni; przerwy między nimi — etapy o długości stu i więcej lat świetlnych, pokonywane podczas skoków przez nadprzestrzeń.

Bail Channis siedział przy pulpicie sterowniczym Projektora i jak zwykle w tej sytuacji czuł przepełniający go, niezależny od jego woli i graniczący niemal z bałwochwalczym uwielbieniem podziw dla tego cudu techniki. Nie pochodził z Fundacji i uruchamianie, poprzez przekręcenie gaiki czy wciśnięcie guzika lub klawisza, różnych, oddziałujących na siebie wzajemnie sił nie było jego drugą naturą.

Nie znaczy to bynajmniej, że Projektor był urządzeniem, przy obsłudze którego wynudziłby się śmiertelnie człowiek z Fundacji. Bowiem nawet stary wyjadacz nie mógłby skwitować obojętnym wzruszeniem ramion tej wprost niewiarygodnie zminiaturyzowanej maszyny cybernetycznej, w której wnętrzu mieściło się dosyć obwodów elektronicznych, by określić ż maksymalną dokładnością wzajemne położenie miliona gwiazd. Co więcej, jakby tego było jeszcze mało, urządzenie to mogło przesunąć obraz dowolnego fragmentu Pola Galaktycznego wzdłuż każdej z trzech osi przestrzeni kosmicznej lub obrócić obraz dowolnego fragmentu pola w stosunku do jego centrum.

Właśnie z tego powodu wynalezienie Projektora spowodowało niemal przewrót w podróżach międzygwiezdnych. Wcześniej obliczenie parametrów każdego skoku przez nadprzestrzeń zajmowało co najmniej dzień, a bywało, że i cały tydzień, przy czym większą część tego czasu pochłaniało mniej lub bardziej precyzyjne obliczenie pozycji statku względem pewnych punktów odniesienia w Galaktyce. W praktyce oznaczało to dokładną obserwację przynajmniej trzech, położonych w dużej odległości od siebie, gwiazd, których pozycje w odniesieniu do arbitralnie ustalonego galaktycznego potrójnego punktu zero były znane.

Właśnie to ostatnie słowo zawiera haczyk. Dla każdego, kto dobrze zna pole gwiezdne widziane z pewnego konkretnego miejsca w przestrzeni, poszczególne gwiazdy, zupełnie jak ludzie, mają cechy indywidualne. Wystarczy jednak przeskoczyć dziesięć parseków, żeby nie — potrafić rozpoznać nawet słońca ojczystego systemu. Zresztą może być ono nawet z tamtego miejsca niewidzialne.

Rozwiązaniem problemu była oczywiście analiza spektroskopowa. Przez wiele wieków głównym zadaniem techniki międzygwiezdnej była możliwie najbardziej szczegółowa analiza widma światła i ustalenie „sygnatur świetlnych” jak największej liczby gwiazd. W miarę postępu badań i doskonalenia metod samego skoku, który można było planować i wykonywać z coraz większą precyzją, wytyczano stałe szlaki podróży przez Galaktykę, dzięki czemu pilotowanie statku międzygwiezdnego stawało się w coraz mniejszym stopniu sztuką, a w coraz większym nauką.

Jednak mimo to nawet w czasach Fundacji, która wprowadziła do użytku udoskonalone maszyny liczące i opracowała nową metodę

mechanicznego penetrowania pola gwiezdnego w poszukiwaniu znanej „sygnatury świetlnej", zdarzało się nieraz, że znalezienie trzech gwiazd o znanych pozycjach i obliczenie położenia statku w rejonie, w którym pilot znalazł się po raz pierwszy, zajmowało wiele dni.

To wszystko zmieniło się wraz z wynalezieniem Projektora. Po pierwsze, wystarczyła teraz tylko jedna gwiazda o znanej pozycji. Po drugie, z Projektora mógł korzystać nawet tak zupełny amator jak Channis.

Zgodnie z wyliczeniem parametrów skoku, najbliższą gwiazdą dużej wielkości miała być w tej chwili Vincetori. Faktycznie, pośrodku ekranu monitora widać teraz było jasną gwiazdę. Channis miał nadzieję, że to jest Vincetori.

Skierował obiektyw Projektora na ekran znajdujący się obok płyty monitora i ostrożnie wciskając klawisze podał współrzędne Vincetori. Uruchomił przekaźnik obrazu i na ekranie pojawiła się jasna gwiazda. Ona również znajdowała się pośrodku ekranu, ale poza tym wydawało się, że oba obrazy nie mają ze sobą nic wspólnego. Ustawił obraz z Projektora wzdłuż osi Z i dopóty powiększał, aż fotometr wykazał, że obie gwiazdy są jednakowej jasności!

Następnie poszukał drugiej, odpowiednio jasnej gwiazdy na ekranie monitora i stwierdził, że odpowiada jej jedna z gwiazd na obrazie przekazywanym przez Projektor. Wolno obrócił obraz o kilkanaście stopni, aby uzyskać takie same odchylenie kątowe. Skrzywił się z niezadowoleniem, patrząc na wynik tych zabiegów. Obrócił obraz jeszcze o kilka stopni i druga gwiazda znalazła się na właściwym miejscu, a chwilę potem trzecia. Uśmiechnął się. To było to. Może fachowiec, wyćwiczony w rozpoznawaniu związków między gwiazdami z przekazywanego przez monitor obrazu rzeczywistej przestrzeni i ich przedstawieniami tworzonymi przez Projektor, zrobiłby to za pierwszą próbą, ale trzy podejścia to — jak na niego — też niezły wynik.

Obraz wytworzony przez Projektor był teraz zestrojony z tym, który przekazywał monitor. Przeniósł go na ekran monitora. Odwzorowanie nie było jednak precyzyjne, gdyż obrazy nie zaszły dokładnie na siebie i na ekranie widać było podwójne kontury gwiazd. Wprowadził ostatnie poprawki. Podwójne gwiazdy zlały się w jedno, obraz nabrał ostrości i można było wreszcie odczytać na tarczach przyrządów pozycję statku. Cała operacja nie zajęła nawet pół godziny.

Channis znalazł Hanna Pritchera w jego kabinie. Generał szykował się właśnie do snu. Spojrzał pytająco na Channisa.

— Jakieś nowiny?

— Niezupełnie. Jeszcze jeden skok i znajdziemy się na Tazendzie.

— Wiem o tym.

— Skoro chcesz się położyć, nie będę ci zawracał głowy. Chciałbym tylko spytać, czy obejrzałeś ten film, na który udało się nam natrafić w Cii?

Hań Pritcher obrzucił lekceważącym spojrzeniem taśmę w czarnej kasecie leżącą na niskiej półce.

— Tak — odparł.

— I co o tym myślisz?

— Myślę, że jeśli w ogóle kiedyś istniała naukowa historia, to w tym rejonie Galaktyki nie zostało po niej śladu.

Channis wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

— Rozumiem co masz na myśli. Raczej jałowe zajęcie, tak?

— Może nie dla kogoś, kto lubi kronikarskie opowieści o życiu władców. Prawdopodobnie relacje o swoich i o wrogach mają tak samo mało wspólnego z prawdą. Kiedy historia zajmuje się głównie osobami władców i przywódców, obraz jest czarno-biały, a co jest narysowane jakim kolorem zależy tylko od tego, jaki w tym ma interes ten, co to pisze. Według mnie cały ten film jest zupełnie bezużyteczny.

— Ale mówi się tam o Tazendzie. Dlatego ci go dałem. Nie udało mi się znaleźć żadnego innego filmu, w którym byłaby chociaż drobna wzmianka o jej istnieniu.

— No, dobra. Mają zarówno dobrych, jak i złych władców. Podbili parę planet, wygrali v kilka bitew, a kilka przegrali. Nie wyróżniają się niczym szczególnym. Nie przemawia do mnie twoja teoria, Channis.

— Parę spraw uszło twojej uwagi. Nie zastanowiło cię, że nigdy nie tworzyli żadnych koalicji? Zawsze trzymali się na uboczu, z dala od polityki tego kąta Galaktyki. Mówisz, że podbili parę planet… faktycznie, ale na tym poprzestali, mimo że nie spotkała ich żadna straszliwa klęska. Zupełnie jakby chcieli poszerzyć swoje posiadanie na tyle, by się skutecznie osłonić przed ewentualnym atakiem, ale nie na tyle, żeby zwrócić na siebie uwagę.

— No dobrze — odparł beznamiętnie Pritcher. — Nie mam nic przeciwko temu, żeby tam wylądować. W najgorszym razie stracimy trochę czasu.

— O nie! W najgorszym razie przegramy z kretesem. Jeśli to jest Druga Fundacja. Nie zapominaj, że to świat zamieszkały przez przestrzeń wie ilu Mułów.

— Jaki masz plan działania?

— Wylądować na którejś z mniejszych planet. Najpierw dowiedzieć się ile się da o Tazendzie, a potem improwizować.

W porządku. Zgadzam się. A teraz, jeśli nie masz nic przeciw temu, chciałbym zgasić światło.

Channis wyszedł machnąwszy ręką.

Generał Han Pritcher został sam. Leżał w ciemności, ale nie mógł

zasnąć. W głowie kłębiły mu się dziwne myśli.

Jeśli wszystkie wnioski, do których doszedł z takim trudem, były prawdziwe — a wszystkie fakty zaczynały pasować do tej teorii — to Tazenda była siedzibą Drugiej Fundacji. Nie było innego wyjaśnienia. Ale jak to możliwe? Jak?

Czyżby naprawdę była to Tazenda? Taki zwykły, niczym się nie wyróżniający świat? Świat zagubiony niczym nędzna buda pośród ruin wspaniałego Imperium? Przypominał sobie, jak z oddali, ściągniętą twarz Muła i piskliwy głos, którym zwykł opowiadać o starym psychologu z Fundacji, Eblingu Misie — jedynym człowieku, który być może odkrył tajemnicę Drugiej Fundacji.

Przypominał sobie napięcie obecne w jego głosie, gdy mówił po raz kolejny:

— Wydawało się, że Mis oniemiał ze zdumienia. Wydawało się, jakby coś dotyczącego Drugiej Fundacji przekroczyło jego wszelkie oczekiwania, jakby skierowało jego wzrok w zupełnie innym kierunku, niż się spodziewał. Gdybym mógł czytać w jego myślach zamiast w uczuciach! Ale te uczucia były oczywiste, a dominującym było wielkie zaskoczenie.

Zaskoczenie było tym uczuciem, które zabarwiło pozostałe. Musiało w tym być coś w najwyższym stopniu zdumiewającego! I oto teraz pojawił się ten chłopak, ten ustawicznie szczerzący zęby, pewny siebie młokos z tym swoim gadaniem o Tazendzie i o jej nierzucającej się w oczy niezwykłości. I co więcej, musiał mieć rację. Musiał. W przeciwnym razie wszystko było bez sensu.

Zasypiając pomyślał jeszcze o jednym. Ten hiperindykator w segmencie łączności był nadal na swoim miejscu. Sprawdził to godzinę wcześniej, upewniwszy się przedtem, że nie ma nigdzie w pobliżu Channisa.

Drugie interludium

Było to przypadkowe spotkanie w przedpokoju Sali Posiedzeń — na kilka chwil przed wejściem obu osób do sali, gdzie miały się zająć sprawami bieżącymi — ale wystarczyło to do wymiany kilku myśli.

— A więc Muł jest już na tropie.

— Słyszałem to samo. Ryzykowne! Bardzo ryzykowne!

— Nie takie ryzykowne, jeśli sprawy ułożą się zgodnie z naszym wyliczeniem.

— Muł nie jest zwykłym człowiekiem i trudno jest manipulować tymi, którzy są narzędziami w jego ręku tak, żeby tego nie spostrzegł. Trudno jest działać na mózgi, które są pod kontrolą. Mówią, że

zorientował się w paru przypadkach.

— Tak, nie widzę sposobu, żeby tego uniknąć.

— Mózgi nie będące pod kontrolą są podatniejsze. Ale niewielu takich znajduje się na kluczowych stanowiskach w jego państwie…

Weszli do sali. Za nimi inni mieszkańcy Drugiej Fundacji.

3. DWOJE LUDZI I WIEŚNIAK

Rossem jest jednym z tych niepozornych światów, które zazwyczaj trzymają się na uboczu wielkich wydarzeń w historii Galaktyki i które raczej nie narzucają się ludziom z milionów szczęśliwszych planet.

W schyłkowym okresie Imperium Galaktycznego zamieszkiwało jego pustkowia kilku więźniów politycznych, a obserwatorium i niewielki garnizon obsadzony oddziałem floty wojennej nie pozwalały mu popaść w zupełne zapomnienie. Później, w ciężkich czasach walk o władzę w Imperium, jeszcze przed epoką Hariego Seldona, słabsi ludzie, mający dość powtarzających się okresów zamieszek i terroru, łupienia planet oraz upiornego szeregu imperatorów, którzy krwawo wydzierali cesarską purpurę z rąk swych poprzedników po to jedynie, by po kilku latach niegodziwych rządów stracić ją na rzecz nowych uzurpatorów, opuszczali gęsto zaludnione światy i szukali schronienia w zapadłych kątach Galaktyki.

Na zimnych pustkowiach Rossema pojawiły się rozrzucone bezładnie wioski. Jego małe, czerwone słońce trzymało, niczym skąpiec, swój skromny zapas ciepła dla siebie i na Rossemie przez dziewięć miesięcy w roku sypał śnieg. Miejscowe odporne na chłód zboże spoczywało przez cały ten czas uśpione w ziemi, a kiedy słońce podniosło, jakby z ociąganiem, temperaturę powietrza do blisko piętnastu stopni i śniegi stopniały, gwałtownie budziło się do życia, rosło i dojrzewało. Małe, podobne do kóz, zwierzęta skubały trawę na pastwiskach, wygrzebując ją spod śniegu trójdzielnymi kopytkami.

Mieszkańcy Rossema mieli więc chleb i mleko, a nawet — kiedy mogli na to poświęcić bez zbytniego uszczerbku jedno zwierzę — mięso. Ciemne, groźne lasy, które pokrywały połowę obszaru strefy równikowej, dostarczały twardego, drobnoziarnistego drewna na budowę domów. Drewno to, jak również niektóre futra i kopaliny, nadawało się nawet na eksport, więc co jakiś czas przybywały po nie statki Imperium, zostawiając w zamian maszyny rolnicze, piece atomowe, a nawet telewizory. Te ostatnie nie były wcale tak nieodpowiednim sprzętem jak mogłoby się wydawać, gdyż długa zima zmuszała miejscowych wieśniaków do równie długiej bezczynności.

Wielkie wydarzenia omijały mieszkańców Rossema. Statki handlowe zawijające na planetę przywoziły nowiny i pośpiesznie odlatywały z powrotem, niekiedy przybył nowy uciekinier — raz nawet przyleciała i została tu względnie liczna, zorganizowana grupa — a z nią najświeższe wieści o tym, co dzieje się w szerokiej przestrzeni.

Wtedy Rossemici słuchali opowieści o krwawych walkach i

zdziesiątkowanej ludności wielu planet lub o okrutnych imperatorach i zbuntowanych wicekrólach. Wzdychali i kręcili głowami, a potem, głębiej wtuliwszy brodate twarze w futrzane kołnierze swych okryć, zbierali się na wiejskim placyku i grzejąc się w anemicznym blasku słońca toczyli filozoficzne dysputy o złu kryjącym się w człowieku.

Potem statki w ogóle przestały się pokazywać i życie stało się cięższe. Skończyły się dostawy zagranicznych, delikatesowych artykułów żywnościowych, tytoniu, maszyn. Z niejasnych wzmianek w telewizji, ze strzępów nadawanych przez nią programów wyłaniał się coraz bardziej niepokojący obraz wydarzeń, aż w końcu rozeszła się wiadomość, że Trantor został zdobyty i splądrowany. Wielki Trantor, stolica całej Galaktyki — wspaniała, opiewana przez pisarzy, niedostępna i nieporównywalna z niczym siedziba imperatorów została złupiona i całkowicie zniszczona.

Było to zdarzenie tak nieprawdopodobne i niepojęte, że wielu wieśniakom z Rossema, pracowicie grzebiącym w swojej ziemi, wydawało się, że zbliża się koniec Galaktyki.

Minęło wiele czasu i oto któregoś dnia, nie różniącego się niczym od innych dni, znowu przyleciał statek. Starcy we wszystkich wioskach kiwali głowami, robili mądre miny i powiadali, że tak właśnie bywało w dniach ich ojców, ale nie była to prawda.

Nie był to statek Imperium. Na jego burcie nie było Kosmolotu i Słońca — znaku Imperium. Był to niezgrabny pojazd sklecony ze szczątków starszych statków, a ludzie, którzy nim przybyli, podawali się za żołnierzy Tazendy.

Wieśniacy byli zmieszani. Nigdy nie słyszeli o Tazendzie, ale zgodnie ze starymi zwyczajami przyjęli żołnierzy gościnnie. Przybysze wypytywali dokładnie o charakter planety, liczbę mieszkańców i liczbę miast — to ostatnie słowo Rossemici poczytali, ku ogólnej konfuzji, za synonim wsi — o rodzaj gospodarki i tak dalej.

Potem pojawiły się inne statki i mieszkańcy Rossema dowiedzieli się, że Tazenda obejmuje władzę nad planetą i że w strefie równikowej — jedynym zamieszkałym rejonie — zostaną założone placówki pobierające podatki, do których co roku mają obowiązek dostarczać taki a taki procent zboża i futer, obliczony według odpowiednich norm.

Rossemici z zakłopotaniem spoglądali po sobie, nie będąc pewni znaczenia słowa „podatki". Kiedy nadszedł czas ich zbierania, wielu z nich płaciło lub patrzyło bezradnie, jak umundurowani przybysze z obcego świata ładują na szerokie platformy zebrane przez nich w pocie czoła zboże i skóry wyhodowanych w ciężkim trudzie zwierząt.

Tu i ówdzie oburzeni chłopi wydobywali z zakamarków swych chat starożytną broń myśliwską i zbierali się w kupy, ale na tym się

kończyło, bo gdy pojawiali się żołnierze z Tazendy, niedoszli powstańcy wycofywali się do domów, złorzecząc pod nosem. Ciężkie i przedtem życie rolników z Rossema stało się jeszcze cięższe.

Jednak po pewnym czasie wszystko wróciło do równowagi. Gubernator tazendzki rezydował w wiosce Gentri, do której Rossemici mieli wzbroniony wstęp. Natomiast on sam, a także podlegli mu urzędnicy nader rzadko opuszczali swą siedzibę. Rossemici widywali tylko odwiedzających ich w stałych odstępach czasu poborców podatków — zresztą swoich krajan, tyle że w służbie Tazendy — ale zdołali już przywyknąć do tych wizyt i nauczyli się zawczasu chować zboże i wypędzać bydło do lasu. Dbali też o to, by ich chaty nie wyglądały zbyt okazale. Potem przyjmowali poborców z tępym wyrazem twarzy i niewinnym spojrzeniem, a na ich natarczywe pytania odpowiadali wskazując ręką swój nędzny dobytek.

Wreszcie nawet wizyty poborców stały się rzadkie i podatki prawie przestały wpływać, jak gdyby Tazendzie sprzykrzyło się wydzieranie marnych groszy z takiego świata.

Rozwinął się handel i być może Tazenda uznała, że jest on bardziej zyskowny niż ściąganie podatków. Co prawda mieszkańcy Rossema nie otrzymywali już w zamian za produkty rolne lśniących wytworów przemysłu Imperium, ale nawet tazendzkie maszyny i konserwy były lepsze niż produkty miejscowe. A dostawali też odzież damską uszytą z innych materiałów niż szary samodział, co bardzo się liczyło.

Tak więc raz jeszcze los okazał się dla — nich łaskawy, pozostawiając ich na uboczu wielkich wydarzeń. Mogli, jak dawniej, wydzierać z mozołem, lecz w spokoju ziemi jej plony.

Wyszedłszy z chaty, Narovi westchnął i pogłaskał brodę. Na zmarzniętą ziemię padały pierwsze płatki śniegu, a niebo zaciągnięte było bladoróżowymi chmurami. Zerknął w górę i stwierdził, że na razie nie zanosi się na prawdziwą śnieżycę. Mógł bez specjalnych kłopotów dojechać do Gentri i wymienić nadwyżkę zboża na tyle konserw, żeby starczyło na całą zimę.

Odwrócił się, uchylił nieco drzwi i ryknął przez szparę:

— Hej, chłopcze! Bak jest pełen?

Z chaty odpowiedział mu równie podniesiony głos, a potem w drzwiach pojawił się najstarszy syn Naroviego i stanął obok ojca. Jego krótka, ruda bródka nie zdążyła jeszcze nabrać męskiej gęstości.

— Bak — rzekł opryskliwie — jest pełen, a wóz ciągnie dobrze, tylko osie wysiadają. Nic na to nie poradzę. Mówiłem już, że to robota dla fachowca.

Stary cofnął się o krok, przyjrzał się uważnie synowi spod zmrużonych powiek, a potem wypiął brodę i spytał:

— A może to moja wina? Gdzie ja mam znaleźć fachowca? I skąd na to wezmę? Może przez ostatnie pięć lat miałem dobre zbiory, co? Może mojego bydła nie ruszyła zaraza, co? Może skóry same się…

— Narovi! — Na dźwięk dobrze znanego głosu dobiegającego z wnętrza chaty umilkł w pół słowa. — Dobra, dobra — mruknął. — Twoja matka musi zawsze wtykać nos w nasze sprawy. Wyprowadź wóz i sprawdź czy przyczepy dobrze się trzymają.

Zatarł ręce i ponownie spojrzał w górę. Nad głową nadał ciągnęły bladoróżowe chmury. W przerwach między nimi przeświturywało szare, chłodne niebo. Słońca nie było widać.

Miał już opuścić głowę, kiedy jego wzrok nagle coś pochwycił. Niemal automatycznie uniósł palec w górę i zupełnie nie zwracając uwagi na przenikliwy ziąb szeroko otwarł usta.

— Stara! — krzyknął gromkim głosem. — Kobito, chodź no tu!

W oknie pojawiła się skrzywioną niechętnie twarz żony. Jej spojrzenie powędrowało w kierunku, który wskazywał uniesiony palec męża. Rozdziawiła usta z wrażenia, krzyknęła i szybko zbiegła po drewnianych schodach, chwytając po drodze stary szal i lnianą chustę. Wypadła z chaty zawiązując w biegu chustę pod brodą. Dyndające końce szala zwisały jej z ramion.

— To statek z głębi przestrzeni — wysapała.

— No a niby co by to mogło być? — odparł zirytowany Narovi. — Mamy gości, kobito, mamy gości.

Statek schodził wolno do lądowania na nagim, zamarzniętym polu w północnej części gruntów Naroviego.

— Ale co my teraz zrobimy? — rzekła urywanym głosem. — Albo to możemy ich przyjąć? Może mamy ich wprowadzić do tej naszej brudnej szopy i ugościć resztkami placka z zeszłego tygodnia?

— No to może mają iść do sąsiadów? — Czerwona z zimna twarz Naroviego stała się zupełnie purpurowa. Wyciągnął gwałtownie ręce i chwycił żonę za krzepkie, szerokie ramiona.

— Słuchaj, kobito powiedział uroczyście — zniesiesz na dół obydwa krzesła z naszego pokoju, dopilnujesz, żeby zabito tłustego cielaka i upieczesz go z bulwami. I upieczesz świeży placek. Ja pójdę teraz powitać tych ludzi z głębi przestrzeni… i… — przerwał, zsunął na bok czapę i podrapał się z namysłem w głowę. — Tak, i przyniosę dzban piwa. Dobry trunek poprawia humor.

Podczas tej przemowy usta kobiety lekko drżały, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Odezwała się dopiero kiedy skończył mąż, ale nie zdobyła się na nic więcej niż nieskładny skrzek.

Narovi podniósł palec.

— No, stara, co to tydzień nazad mówili nasi Starsi? Co? Nie pamiętasz? Sami chodzili od zagrody do zagrody. Wyobrażasz sobie, jaka to musi być ważna sprawa? Fatygowali się osobiście, żeby

wszystkim powiedzieć, że w razie jakby wylądował jaki statek z głębi przestrzeni, trzeba im natychmiast donieść, i że to polecenie gubernatora!

I ja mam teraz przegapić taką okazję, żeby się przypochlebić władzy? Widziałaś kiedy taki statek? Ludzie z dalekich światów są bogaci i dużo mogą. Sam gubernator się nimi interesuje i wysyła takie pilne polecenia, że Starsi chodzą w taki ziąb po wszystkich zagrodach. Pewnie już na całym Rossemie wiadomo, że z tymi ludźmi pilno się spotkać panom z Tazendy, a oni lądują na moim polu! — Prawie podskakiwał z emocji. — Ugości się ich porządnie… oni powiedzą o tym gubernatorowi — to czego się wtedy nie da załatwić?

Kobieta poczuła nagle, że mróz kąsa ją przez cienkie domowe ubranie. Skoczyła do drzwi, krzycząc przez ramię:

— No to leć szybko!

Ale Naroviemu nie trzeba było tego mówić. Pędził już w stronę, gdzie za horyzontem zniknął lądujący statek.

Generał Han Pritcher nie przejmował się ani przenikliwym zimnem panującym na tym świecie, ani rozpościerającą się wokół niegościnną, pustą i ponurą równiną. Nie przejmował się też ubogim otoczeniem ani nawet spoconym chłopem. Trapiło go tylko pytanie, czy obrali mądrą taktykę. Byli tu tylko on i Channis.

Statek, który zostawili w przestrzeni, nie potrzebował w normalnych warunkach dowódcy na pokładzie, ale mimo to Pritcher był niespokojny. Oczywiście za to posunięcie odpowiedzialny był Channis. Pritcher spojrzał na siedzącego naprzeciw młodzieńca, mrugającego akurat wesoło do kobiety, której zaciekawiony wzrok i otwarte z przejęcia usta mignęły na chwilę w otworze w przepierzeniu ze skór.

Przynajmniej Channis wydawał się zupełnie spokojny. Pritcher skonstatował ten fakt ze złośliwą satysfakcją. Ta gra już niedługo przestanie się toczyć po jego myśli. Na razie jednak ich ręczne radiostacje ultrafalowe były jedynym środkiem łączności ze statkiem.

W tym momencie chłop uśmiechnął się szeroko, skłonił kilka razy głowę i powiedział głosem pełnym szacunku i uniżoności:

— Szlachetni panowie, proszę pokornie o wybaczenie, że ośmielam się odzywać nieproszony, ale mój pierworodny — zacny chłopak i mądry jak rzadko, ale niekształcony, bo bieda u nas — właśnie przyleciał i mówi, że tylko patrzeć jak przyjdą Starsi. Chyba, panowie, było wam u mnie dobrze… czym chata bogata, tym rada… biedny ja, ale uczciwy… ciężko pracuję…

— Starsi? — spytał Channis od niechcenia. — Najważniejsi ludzie u was?

— Tak jest, szlachetny panie, a jeden w drugiego zacni ludzie i uczciwi, bo na całym Rossemie wiedzą, że u nas jest sprawiedliwie,

chociaż życie ciężkie i niedużo się zbiera z pola i z lasu. Jakby panowie tak byli łaskawi wspomnieć Starszym, z jakim szacunkiem się u mnie przyjmuje gości, to może by poprosili dla mnie o nowy wóz, bo stary ledwie ciągnie, a bez wozu nie ma życia, bo tyle roboty w gospodarstwie i aż strach pomyśleć, jak nawali…

Patrzył na nich z pokorą i nadzieją, więc Pritcher skinął głową z wyniosłą łaskawością, jakiej można było oczekiwać od szlachetnego pana, w roli którego niespodziewanie się znalazł.

— Wieść o waszej gościnności na pewno dotrze do uszu Starszych.

Korzystając z tego, że znaleźli się sami, Pritcher rzekł do Channisa, który zdawał się drzemać:

— Nie zachwyca mnie specjalnie perspektywa spotkania z tymi Starszymi. A co ty o tym sądzisz?

Channis wyglądał na zaskoczonego.

— Co cię martwi?

— Wydaje mi się, że mamy ważniejsze sprawy do załatwienia niż zwracać tu na siebie uwagę.

— Zwracanie na siebie uwagi może się okazać konieczne przy naszych dalszych posunięciach, Pritcher — rzekł cicho Channis. — Takich ludzi, jakich szukamy, nie znajdzie się wkładając rękę do worka i obmacując jego zawartość. Ludzie, którzy rządzą, za pomocą sztuczek psychicznych, wcale nie muszą się rzucać w oczy. Przede wszystkim psychologowie z Drugiej Fundacji stanowią prawdopodobnie tylko niewielką część całej populacji, tak jak uczeni i inżynierowie na twojej Fundacji. Pozostali mieszkańcy są prawdopodobnie właśnie zwykłymi ludźmi. Psychologowie mogą się nawet trzymać w głębokim cieniu i ludzie, którzy pozornie znajdują się na kierowniczych stanowiskach, mogą być szczerze przekonani, że naprawdę sprawują władzę. Rozwiązanie naszego problemu może się znajdować tutaj, na tym zamarzniętym okruchu planety.

— Zupełnie tego nie rozumiem.

— Przecież to całkiem jasne. Tazenda to prawdopodobnie olbrzymi świat, liczący wiele milionów, a może nawet wiele setek milionów mieszkańców. Jak bylibyśmy w stanie znaleźć wśród nich psychologów i uczciwie donieść Mułowi, że odkryliśmy Drugą Fundację? Natomiast tutaj, na tej podrzędnej planecie, na tym chłopskim świecie, wszyscy tazendcy władcy mieszkają — jak nas zapewnia nasz gospodarz — w głównej wiosce, w Gentri. Nie może być tam ich więcej niż kilkuset, Pritcher, a między nimi musi być jeden albo kilku ludzi z Drugiej Fundacji. W końcu do nich dotrzemy, ale najpierw spotkajmy się ze Starszymi — to krok, który logicznie prowadzi do celu.

Odsunęli się od siebie, kiedy ich czarnobrody gospodarz,

wyraźnie podniecony, ponownie wpadł do pokoju.

— Szlachetni panowie, Starsi już idą. Błagam o wybaczenie, że razjeSzcze ośmielam się prosić, byście raczyli rzec słowo w mojej sprawie… — tu niemal zgiął się wpół, bijąc pokłony i dosłownie płaszcząc się przed nimi.

— Na pewno będziemy o tym pamiętać — rzekł Channis. — To są wasi Starsi?

Było oczywiste, że tak. Było ich trzech. Jeden z nich wystąpił do przodu. Skłonił się z pełnym godności szacunkiem i powiedział:

— Jesteśmy zaszczyceni. Pojazd już czeka, czcigodni panowie, i mamy nadzieję, że wyrządzicie nam przyjemność i udacie się z nami do Budynku Zebrań.

Trzecie interludium

Pierwszy Mówca spoglądał z zadumą na nocne niebo. Płynące po nim drobne chmurki przesłaniały na chwilę słabe lśnienie tej czy innej gwiazdy. Przestrzeń wyglądała zdecydowanie wrogo. Zawsze była zimna i odpychająca, ale teraz kryła jeszcze tego niesamowitego stwora, Muła i jego obecność zdawała się potęgować mrok i przekształcać go w złowieszczą groźbę.

Posiedzenie skończyło się. Nie trwało długo. Poświęcone było rozpatrzeniu wątpliwości i pytań, które nasuwał trudny matematyczny problem uporania się z mutantem psychicznym o niepewnej strukturze. Trzeba było przeanalizować wszystkie ekstremalne permutacje.

Czy teraz byli bardziej pewni swego? Gdzieś tam, w tamtym rejonie przestrzeni — w bliskim zasięgu, jak na odległości galaktyczne — znajdował się Muł. Co teraz zrobi?

Było dosyć łatwo kierować jego ludźmi. Reagowali zgodnie z planem. Ale jak zachowa się on sam?

4. DWAJ LUDZIE I STARSI

Starsi, w tym przynajmniej rejonie Rossema, nie byli dokładnie tacy, jak można ,było się spodziewać. Nie byli zwykłą ekstrapolacją chłopstwa — ani starsi, ani bardziej oficjalni, ani mniej przyjaźni niż reszta.

Nic z tych rzeczy.

Wrażenie cechującej ich powagi, które Pritcher i Channis odnieśli podczas pierwszego spotkania, stawało się w miarę upływu czasu coraz silniejsze, aż w końcu spotęgowało się do tego stopnia, że powaga wydała się ich dominującą cechą.

Siedzieli wokół owalnego stołu, skupieni i oszczędni w ruchach, jak przystało mędrcom. Większość z nich miała już najlepsze lata za sobą, chociaż tych kilku, którzy nosili brody, przystrzygało je krótko i starannie pielęgnowało. Było wśród nich jednak dość takich, którzy wydawali się nie mieć jeszcze czterdziestki, by stało się jasne, że tytuł „starsi" był raczej wyrazem szacunku ze strony pozostałej ludności niż dosłownym określeniem ich wieku.

Przybysze z głębi przestrzeni siedzieli u szczytu stołu i w uroczystej ciszy towarzyszącej raczej skromnemu obiadowi, który wydawał się bardziej ceremonialny niż pożywny, kontemplowali nową, odmienną od panującej w zagrodzie atmosferę.

Po posiłku i jednej czy dwu pełnych szacunku uwagach, które były zbyt krótkie i zbyt proste, by można je było nazwać przemówieniami, wygłoszonych przez tych spośród Starszych, którzy najwyraźniej cieszyli się największym poważaniem, zebranie zupełnie straciło oficjalny charakter i przerodziło się w towarzyską, nieskrępowaną rozmowę. Wyglądało na to, że sympatyczne, typowe wiejskie cechy — ciekawość i życzliwość — wzięły w końcu górę nad sztywną powagą, która — w mniemaniu wieśniaków — winna była towarzyszyć powitaniu zagranicznych gości.

Wszyscy stłoczyli się wokół przybyszów i zasypywali ich gradem pytań. Czy trudno jest prowadzić statek kosmiczny? Ilu do tego trzeba ludzi? Czy można zrobić lepsze silniki do samochodów? Czy to prawda, że na innych światach, tak jak podobno na Tazendzie, rzadko pada śnieg? Ilu ludzi żyje na ich świecie? Czy jest tak duży jak Tazenda? Jak daleko stąd do. niego? W jaki sposób utkano ich ubrania i co im nadaje taki metaliczny połysk? Dlaczego nie noszą futer? Czy golą się codziennie? Co to za kamień w pierścieniu Pritchera? I wiele, wiele innych.

Prawie wszystkie pytania kierowane były do Pritchera, jak gdyby Rossemici przypisywali mu automatycznie, jako starszemu, większą władzę i autorytet. Musiał udzielać coraz to nowych i dłuższych

odpowiedzi. Czuł się tak, jakby znalazł się pośród tłumu dzieci. Ich ciekawość i zdumienie, z jakim przyjmowali jego wyjaśnienia, były tak rozbrajające, że nie mógł odmówić ich prośbom.

Wyjaśniał więc cierpliwie, że statki kosmiczne nie są trudne w obsłudze, że liczebność załogi waha się, w zależności od wielkości statku, od jednej osoby aż do wielu dziesiątek, że co prawda nie zna szczegółów budowy silników ich samochodów, ale niewątpliwie można je udoskonalić, że różnorodność klimatyczna światów Galaktyki jest prawie nieskończona, że na jego świecie żyje wieleset milionów ludzi, ale że nie może się on równać z wielkim imperium Tazendy, że ich ubrania zrobione są z tworzyw silikonowych, a metaliczny połysk zawdzięczają odpowiedniemu ustawieniu cząsteczek wierzchniej warstwy tkaniny, i że są od wewnątrz sztucznie ogrzewane, dzięki czemu ci, którzy je noszą, nie potrzebują futer, że golą się codziennie, że kamień w pierścieniu to ametyst, i tak dalej. W końcu stwierdził, że w rozmowie z tymi prostodusznymi kmiotkami pozbył się, wbrew swej woli, zwykłej, chłodnej rezerwy.

Po każdej odpowiedzi podnosił się wśród Starszych gwar, jakby żywo komentowali uzyskane informacje. Trudno było zrozumieć te ich wewnętrzne dyskusje, gdyż przechodzili w takich chwilach na miejscowy dialekt uniwersalnego języka galaktycznego, który rozwijając się przez tak długi czas w izolacji od centrów Galaktyki, brzmiał dla przybyszów z zewnątrz zupełnie archaicznie.

Można by powiedzieć, że krótkie uwagi, które wymieniali między sobą, były na granicy zrozumiałości, ale wymykały się za każdym razem próbom zrozumienia.

W końcu wtrącił się Channis.

— Teraz, drodzy panowie — powiedział — wasza kolej. Bardzo chcielibyśmy dowiedzieć się od was czegoś o Tazendzie.

Zapanowała cisza, jak nożem uciął, a tak gadatliwi do tej pory Starsi nabrali wody w usta. Ich ręce, które jeszcze przed chwilą gestykulowały żywo, jakby nadając słowom nowe, subtelniejsze odcienie znaczeń, nagle opadły bezwładnie. Każdy z nich rozglądał się ukradkiem, najwyraźniej pragnąc, aby któryś z sąsiadów zabrał głos.

Pritcher postanowił ratować sytuację. — Mój towarzysz pyta o to w przyjaznych zamiarach — rzeki szybko — bo Tazenda słynie w Galaktyce. Nie omieszkamy, oczywiście, powiadomić gubernatora o wierności i miłości, jaką żywią Rossemici do Tazendy.

Nie było co prawda słychać głośnego westchnienia ulgi, ale oblicza Starszych rozpogodziły się. Jeden z nich pogładził brodę dwoma placami i rzekł:

— Jesteśmy wiernymi poddanymi Panów z Tazendy.

Irytacja, którą wzbudziło w Pritcherze obcesowe pytanie Channisa, ustąpiła miejsca uczuciu pewnego zadowolenia. Okazało się

przynajmniej, że czas, którego szybkie mijanie tak wyraźnie ostatnio odczuwał, nie pozbawił go jeszcze umiejętności naprawiania gaf popełnianych przez innych.

— W naszym, odległym rejonie wszechświata — podjął na nowo — niezbyt dobrze znamy historię Panów z Tazendy. Przypuszczam, że sprawują tu swe łaskawe rządy od wielu lat.

Odpowiedział mu ten sam człowiek, który przedtem zabrał głos. Niejako automatycznie został przedstawicielem Starszych.

— Nawet dziad najstarszego z nas nie pamięta czasów, kiedy nie było tu Panów z Tazendy — rzekł.

— To był czas pokoju?

To był czas pokoju! — Zawahał się. — Gubernator to możny i potężny pan i nie zwlekałby ani chwili z ukaraniem zdrajcy. Oczywiście, nikt z nas nie jest zdrajcą.

— Wyobrażam sobie, że w przeszłości ci, którzy na to zasłużyli, zostali przykładnie ukarani.

Starszy znowu się zawahał.

— Nigdy nie było zdrajców, ani wśród nas, ani wśród naszych ojców, ani wśród ojców naszych ojców. Ale na innych światach zdarzali się i śmierć dosięgła ich szybko. Nie warto o tym myśleć, bo jesteśmy pokornymi ludźmi — biednymi rolnikami i nie zajmujemy się polityką.

Lęk, który wyczuwało się w jego głosie i zaniepokojone spojrzenia pozostałych mówiły same za siebie.

— Czy moglibyście nam powiedzieć, w jaki sposób załatwić, posłuchanie u gubernatora? — spytał łagodnie Pritcher.

To niewinne pytanie zupełnie oszołomiło Starszych. Po dłuższej przerwie rozmówca Pritchera rzekł:

— Jak to, nie wiecie nic? Gubernator będzie tu jutro… Oczekiwał was. To był dla nas wielki zaszczyt. Mamy… mamy szczerą nadzieję, że zapewnicie go o naszej wierności i oddaniu.

Usta Pritchera lekko drgnęły, ale nie zszedł z nich uśmiech.

— Oczekiwał nas?

Starszy spoglądał ze zdziwieniem to na Pritchera, to na Channisa.

— No jak to… przecież już tydzień, jak na was czeka.

Jak na ten świat, ich kwatera była niewątpliwie luksusowa. Pritcher mieszkał już w gorszych. Channis nie zwracał uwagi na warunki zewnętrzne.

W stosunkach między nimi pojawił się element napięcia innej natury niż dotychczas. Pritcher czuł, że zbliża się moment rozstrzygnięcia, ale wstrzymywał się z powzięciem ostatecznej decyzji, gdyż pociągało go ryzyko czekania na dalszy rozwój wypadków. Czekanie na spotkanie z gubernatorem oznaczało przeciąganie gry do

niebezpiecznych granic, ale jej wygranie równało się zagarnięciu podwójnej stawki. Poczuł nagły przypływ gniewu na widok lekkiej zmarszczki między brwiami Channisa i znamionującego lekką niepewność odchylenia jego dolnej wargi. Czuł wstręt do tej bezużytecznej gry pozorów i z utęsknieniem wyglądał chwili, kiedy położy temu koniec.

— Wygląda na to, że nas uprzedzono — powiedział.

— Tak — odparł po prostu Channis.

— Tylko tyle? Nie masz nic więcej do powiedzenia? Przylatujemy tu i dowiadujemy się, że gubernator nas oczekuje. Prawdopodobnie od gubernatora dowiemy się, że czeka na nas sama Tazenda. Na co wobec tego zda się cała nasza misja?

Channis podniósł głowę i, nie starając się nawet ukryć tonu znużenia, rzekł:

— Oczekiwać nas, to jedna rzecz, a wiedzieć, kim jesteśmy i po co przylatujemy, to rzecz inna.

— Myślisz, że ukryjesz to przed ludźmi z Drugiej Fundacji?

— Być może. Dlaczego nie? Chcesz się poddać? Przypuśćmy, że wykryto nasz statek w przestrzeni. Czy to coś niezwykłego, że jakieś królestwo utrzymuje posterunki obserwacyjne na granicy? Stalibyśmy się obiektem zainteresowania, nawet gdybyśmy byli zwykłymi przybyszami.

— Na tyle interesującym obiektem, żeby przybył do nas gubernator, a nie odwrotnie? Channis wzruszył ramionami.

— Z tym problemem będziemy musieli się uporać później. Zobaczymy wpierw, jaki jest ten gubernator.

Pritcher wykrzywił usta. Sytuacja stawała się absurdalna.

Wiemy przynajmniej jedno — ciągnął ze sztucznym ożywieniem Channis — albo Tazenda jest Drugą Fundacją, albo miliony kruchych co prawda dowodów zmówiły się, żeby zaprowadzić nas w złym kierunku. Czym wytłumaczysz ten oczywisty strach, w którym Tazenda trzyma tubylców? Nie widzę żadnych oznak dominacji politycznej. Zdaje się, że te ich Rady Starszych zbierają się, kiedy chcą, i nikt się w żaden sposób do tego nie miesza. Podatki, o których nam mówili, nie wydają się ani wysokie, ani zbyt dokładnie ściągane. Ci chłopi narzekają bez przerwy na swoje ubóstwo, ale są krzepcy i dobrze odżywieni. Wioski są niełądne, a domy niezgrabne, ale najwidoczniej znakomicie dostosowane do miejscowych warunków.

Prawdę mówiąc, fascynuje mnie ten świat. Nigdy nie widziałem bardziej ponurego, ale jestem przekonany, że nie ma tu cierpienia, a proste życie, jakie tu wiodą, daje im szczęście, którego brakuje wyrafinowanym społecznościom wielkich, nowoczesnych ośrodków.

— Czyżbyś wzdychał do poczciwego życia na wsi?

— Niech gwiazdy bronią! — Channis aż otrząsnął się na myśl o

tym. — Po prostu podkreślani znaczenie tego wszystkiego. Wygląda na to, że Tazenda jest sprawnym administratorem — sprawnym w zupełnie innym sensie niż Stare Imperium, Pierwsza Fundacja czy nawet nasz Związek. Zarówno Imperium, Fundacja, jak i Związek zapewniły swym obywatelom dobrobyt i techniczne ułatwienia za cenę mniej uchwytnych praktycznie wartości. Natomiast Tazenda zapewnia szczęście i zaspokojenie najważniejszych potrzeb. Nie rozumiesz, że cała filozofia tego panowania jest zupełnie odmienna od naszej? Nie jest zorientowana na potrzeby fizyczne, ale psychiczne.

— Naprawdę? — Pritcher pozwolił sobie na ironię. — A to przerażenie, z którym Starsi mówili o karach za zdradę wymierzanych przez tych dobrodusznych administratorów — psychologów? Czy to pasuje do twojej teorii?

— A czy oni zostali kiedykolwiek ukarani? Mówią tylko o karach, które spotkały innych. Wygląda to tak, jak gdyby świadomość kary za pewne czyny została w nich tak silnie ugruntowana, że sama kara jest już zbyteczna. Mają tak trwale wpojone odpowiednie nastawienie psychiczne, że jestem całkowicie pewien, że na całej tej planecie nie ma ani jednego żołnierza tazendzkiego. Nie rozumiesz tego?

— Być może zrozumiem — rzekł zimno Pritcher — kiedy zobaczę się z gubernatorem. A tak nawiasem mówiąc, co powiesz na to, że nasza psychika też może być pod ich wpływem?

— Ty powinieneś być już do tego przyzwyczajony — odparł Channis z pogardą.

Pritcher wyraźnie pobladł i z widocznym wysiłkiem odwrócił się. Nie rozmawiali już ze sobą tego dnia.

W lodowatej ciszy bezwietrznej nocy, wsłuchując się w równy oddech śpiącego towarzysza, Pritcher nastawił swą ręczną radiostację na pasmo ultrafalowe znajdujące się poza zasięgiem odbiornika Channisa i operując bezgłośnie paznokciem połączył się ze statkiem.

Nadeszła odpowiedź w formie krótkich okresów wibracji, które zaledwie wznosiły — się nad dolną, granicę słyszalności.

Pritcher dwukrotnie spytał:

— Są już jakieś wiadomości?

Dwukrotnie usłyszał:

— Nie. Cały czas czekamy.

Podniósł się z łóżka. W pokoju panował ziąb, więc siadając na krześle owinął się futrzaną narzutą. Patrzył na rój gwiazd o świetle i układzie tak odmiennym od jednakowej mgiełki soczewki galaktycznej, która widniała na nocnym niebie jego Godzinnych Peryferii.

Gdzieś tam, wśród tych gwiazd, znajdowało się rozwiązanie nurtujących go wątpliwości. Pragnął, aby to rozwiązanie pojawiło się jak najszybciej i by wszystko już się wreszcie skończyło.

I znowu powróciło natrętne pytanie — czy Muł miał rację, czy odmienienie pozbawiło go niezależności i przenikliwości w dostrzeganiu zagadnień i formułowaniu sądów, czy też był to po prostu nieuchronny wpływ wieku i zmian, które miały miejsce podczas tych ostatnich lat.

Teraz niewiele go to obchodziło. Był zmęczony.

Gubernator Rossema przybył bez wielkiej ostentacji. Towarzyszył mu tylko umundurowany mężczyzna, który prowadził samochód.

Samochód miał fantazyjny kształt, ale w ocenie Pritchera była to nieudana maszyna. Był mało zwrotny i kilkakrotnie szarpnął, być może wskutek zbyt szybkiej zmiany biegów. Od pierwszego rzutu oka widać było, że silnik pracuje nie na jądrowym, lecz na chemicznym paliwie.

Gubernator wysiadł na ubity śnieg i ruszył szpalerem uformowanym przez chylących z szacunkiem głowy Starszych. Szedł szybko nie patrząc na nich. Ci, których mijał, podążali za nim.

Przybysze ze Związku Muła śledzili go z okna przydzielonej im kwatery. Gubernator był przysadzisty, krępy, nie wyróżniał się niczym szczególnym.

Ale co z tego?

Pritcher złościł się w duchu, że nie zapanował nad nerwami. Jego twarz oczywiście pozostała nieporuszona. Nie mógł pozwolić na to, by Channis spostrzegł jego zdenerwowanie, ale czuł doskonale, że podniosło mu się ciśnienie i zaschło w gardle.

Nie był to bynajmniej lęk o życie. Pritcher nie należał wprawdzie nigdy do tych tępych facetów pozbawionych zupełnie wyobraźni, a przez to i nerwów, którzy byli zbyt głupi na to, by się czegoś obawiać, ale potrafił przynajmniej wytłumaczyć sobie racjonalnie przyczyny strachu przed śmiercią i dzięki temu zapanować nad nim.

To jednak, co teraz odczuwał, było zupełnie odmienne. To był lęk innego rodzaju.

Zerknął szybko na Channisa. Młodzian przyglądał się ze znudzeniem swym paznokciom i niedbałymi ruchami pilnika wygładzał jakieś minimalne nierówności.

Na ten widok Pritchera ogarnęło wzburzenie. Co taki Channis wie o manipulowaniu psychiką? Czego ma się obawiać?

Z wrażenia zaparło mu dech. Próbował przypomnieć sobie jaki był on sam, zanim Muł odmienił go i z przysięgłego demokraty przeistoczył w tego, kim był teraz. Na próżno jednak przeszukiwał wszystkie zakamarki pamięci. Nie potrafił odtworzyć tamtego stanu psychicznego. Nie mógł się wyswobodzić z niewidzialnych, lecz mocnych więzi, które łączyły go uczuciowo z Mułem. I owszem, pamiętał o tym, że kiedyś próbował zabić Muła, ale była to wiedza

równie obojętna jak wiedza o wypadkach, które go nie dotyczyły. Choć starał się, jak mógł, za nic w świecie nie potrafił sobie przypomnieć uczuć, które nim wtedy kierowały. Mógł to być jednak odruch obronny jego umysłu, gdyż na samą, zupełnie mglistą myśl o tym jakiego rodzaju mogły to być uczucia, ba — nawet nie na myśl o tym, lecz raczej na jakieś niejasne, zupełnie nieokreślone przeczucie — zrobiło mu się niedobrze.

A jeśli gubernator zajął się już jego umysłem?

A jeśli niewidzialne macki Drugiej Fundacji oplatały już jego psychikę, wciskając się w szczeliny, rozsadzając ją i składając w inną już strukturę… Za pierwszym razem też nic nie poczuł. Żadnego bólu, żadnego psychicznego szarpnięcia, nawet uczucia nieciągłości. Po prostu zawsze wielbił Muła. Jeśli kiedykolwiek był taki czas, odległy niczym zamierzchła przeszłość, choć dzieliło go od tamtych dni zaledwie pięć lat, kiedy myślał, że nie kocha Muła, kiedy uważał, że go nienawidzi, to nie było to rzeczywistością, lecz przerażającym złudze. niem. Myśl o tym złudzeniu zafrasowała go.

Nie czuł jednak żadnego bólu. Czyżby miało się to powtórzyć teraz, podczas spotkania z gubernatorem? Czyżby wszystko, co się zdarzyło — cała jego działalność w służbie Muła, całe jego nastawienie życiowe — miało stać się majakiem, częścią tego nierealnego świata, w którym istniało słowo demokracja? Muł snem, a jego, Pritchera, uczucia zwrócone ku Tazendzie…

Znowu zrobiło mu się niedobrze. Otrząsnął się gwałtownie. W tej samej chwili do jego uszu doszedł głos Channisa.

— Zdaje się, że się zaczyna, generale. Pritcher odwrócił się. Jeden ze Starszych otworzył cicho drzwi i stanął w pełnej szacunku pozie na progu.

— Jego ekscelencja Gubernator Rossema ma przyjemność oznajmić, w imieniu Panów Tazendy, że udziela pozwolenia na audiencję i oczekuje waszego przybycia.

— Jasne — Channis jednym szarpnięciem zacisnął bardziej pas i nałożył na głowę rossemicki kaptur.

Pritcher zacisnął szczęki. To był początek naprawdę hazardowej gry.

Gubernator Rossema nie wyglądał zbyt okazale. Przede wszystkim miał gołą głowę i jego rzadkie, jasnokasztanowe włosy, które zaczynały już siwieć, nadawały mu łagodny wygląd. Miał potężne łuki brwiowe, a oczy, otoczone siecią zmarszczek, wydawały się patrzeć chłodno i z wyrachowaniem. Za to świeżo ogolona broda była mała i miała miękki zarys, co według powszechnej opinii zwolenników pseudonauki, która na podstawie rysów twarzy wyrokowała o charakterze danego osobnika, oznaczało „słabość”.

Pritcher unikał jego spojrzenia i starał się patrzeć na podbródek. Nie wiedział, czy to mu pomoże — czy w ogóle cokolwiek mogło pomóc.

Gubernator rzekł wysokim, obojętnym głosem:

— Witamy w Tazendzie. Przyjmujemy was w pokoju. Jedliście już?

Czynił przy tym niemal monarsze gesty żyla stymi dłońmi o długich palcach. Skłonili się i zajęli miejsce przy stole w kształcie litery „U". Gubernator siedział u szczytu stołu, po jego zewnętrznej stronie, oni naprzeciw niego, a z boków, w podwójnych rzędach, Starsi.

Gubernator mówił krótkimi, urywanymi zdaniami. Zachwalał potrawy pochodzące z Tazendy — rzeczy wiście miały inny smak, choć niewiele lepszy od prostych potraw rossemickich — narzekał na klimat Rossema i rozprawiał, starając się, by wyglądało to na obojętne uwagi, o zawiłościach podróży kosmicznych.

Channis odpowiadał mu od czasu do czasu. Pritcher w ogóle nie otworzył ust.

Biesiada skończyła się. Znikły ze stołu drobne, duszone owoce i zużyte serwetki i gubernator poprawił się w krześle. Zalśniły jego małe oczka.

— Dowiadywałem się o wasz statek. Naturalnie, chciałbym, żeby się nim dobrze zajęto i przejrzano. Mówiono mi, że nie wiadomo, gdzie się znajduje.

— To fakt — odparł swobodnie Channis. — Zostawiliśmy go w przestrzeni. To duży statek, taki, jaki potrzebny jest do podróży w rejonach, których mieszkańcy są nieraz wrogo nastawieni, więc uważaliśmy, że gdybyśmy przylecieli nim tutaj, to moglibyście mieć wątpliwości co do naszych pokojowych zamiarów. Dlatego woleliśmy wylądować sami, bez broni.

— To akt przyjaźni — stwierdził gubernator bez przekonania. — Duży statek, mówicie?

— Ale nie wojenny, ekscelencjo.

— Mhm… A skąd jesteście?

— Z małego świata w sektorze Santanni, ekscelencjo. Być może nie wie pan nic o jego istnieniu, bo to świat pozbawiony znaczenia. Interesuje nas nawiązanie kontaktów handlowych.

— Handlowych, tak? A co macie do sprzedania?

— Maszyny różnego rodzaju, ekscelencjo. W zamian chcielibyśmy żywność, drewno, rudę…

— Hmm — gubernator zdawał się mieć wątpliwości. — Niezbyt się znam na tych sprawach. Może dałoby się to załatwić z korzyścią dla obu stron. Być może kiedy sprawdzę wasze dokumenty — bo rozumiecie, zanim będziemy mogli coś załatwić, mój rząd będzie

chciał uzyskać odpowiednie informacje — i kiedy obejrzę wasz statek, będzie wskazane, żebyście udali się na Tazendę.

Nie otrzymał na to odpowiedzi i jego stosunek do przybyszów wyraźnie ochłódł.

— Tak czy inaczej, muszę zobaczyć wasz statek.

— Niestety, w tej chwili statek jest akurat w naprawie — rzekł chłodno Channis. — Jeśli wasza ekscelencja zgodzi się dać nam czterdzieści osiem godzin, to statek będzie do jego usług.

— Nie przywykłem czekać na spełnienie moich poleceń.

Po raz pierwszy Pritcher podniósł wzrok i spojrzał gubernatorowi w oczy. Zaparło mu dech w piersiach. Przez chwilę miał wrażenie, że tonie, ale wtedy odwrócił wzrok.

Channis nie przestraszył się. Rzekł:

— Przykro mi, ekscelencjo, ale to niemożliwe, żeby statek wylądował przed upływem czterdziestu ośmiu godzin. Jesteśmy tu przecież obaj i nie mamy broni. Czy wątpi pan w uczciwość naszych zamiarów?

Zapadła długa cisza, po czym gubernator rzekł burkliwie:

— Opowiedzcie mi o świecie, z którego przylecieliście.

To była wszystko. Na tym się skończyło. Nie było już żadnych nieprzyjemności. Spełniwszy swój obowiązek, gubernator wyraźnie przestał się interesować sprawą i audiencja dobiegła końca.

A kiedy to wszystko wreszcie się skończyło, Pritcher znalazł się z powrotem w kwaterze i przebadał się, Ostrożnie, wstrzymując oddech, starał się wysondować swe uczucia. Z pewnością nie czuł żadnej różnicy, ale czy mógłby wyczuć jakąkolwiek różnicę? A czy po odmianie, której poddał go Muł, czuł się inny niż przedtem? Czy wszystko nie wydawało mu się naturalne? Takie, jak powinno być?

Przeprowadził eksperyment.

Nie otwierając ust krzyknął bezgłośnie, aż rozniosło się po wszystkich zakątkach jego mózgu.

— Trzeba wykryć i zniszczyć Drugą Fundację!

Uczuciem, które towarzyszyło temu „okrzykowi" była szczera nienawiść. Nie było tu ani śladu niepewności czy wahania.

A potem przyszło mu do głowy, by w miejsce zwrotu „Druga Fundacja" podstawić słowo „Muł". Na samą myśl o tym zesztywniał mu język.

Na razie wszystko było w porządku.

Ale czy nie wniknięto w jego psychikę inaczej, bardziej subtelnie? Czy nie dokonano tylko drobnych zmian? Zmian, których nie mógł odkryć, gdyż już samo ich istnienie wypaczało jego sąd?

Na to nie można było w żaden sposób odpowiedzieć.

Wciąż jednak był absolutnie wierny Mułowi! Jeśli to uczucie nie

uległo zmianie, to inne sprawy zupełnie się nie liczyły.

Znowu zmusił swój umysł do działania. Channis krzątał się w przeciwnym rogu pokoju. Pritcher położył dłoń na przegubie drugiej ręki i delikatnie uruchomił radiostację.

Odebrawszy odpowiedź, poczuł nagły przypływ ulgi, a potem ogarnęła go nagle fala zmęczenia.

Nie drgnął ani jeden mięsień w jego twarzy, ale w głębi duszy krzyczał z radości, a kiedy Channis odwrócił się do niego, wiedział, że ta farsa niedługo już się skończy.

Czwarte interludium

Dwaj Mówcy mijali się na drodze. Jeden z nich zatrzymał drugiego.

— Mam wiadomość od Pierwszego Mówcy.

W oczach drugiego pojawił się błysk zrozumienia:

— Punkt przecięcia?

— Tak! Obyśmy dożyli świtu!

5. JEDEN CZŁOWIEK I MUŁ

Nic w zachowaniu Channisa nie świadczyło o tym, że dostrzegł w Pritcherze i w ich wzajemnych stosunkach jakąś subtelną zmianę. Oparł się wygodnie o poręcz drewnianej ławy i wyciągnął nogi na środek izby.

— Jakie wrażenie zrobił na tobie gubernator? Pritcher wzruszył ramionami.

— Nijakie. Na pewno nie wydał mi się geniuszem psychicznym. Bardzo mizerny okaz przedstawiciela Drugiej Fundacji, jeśli to masz na myśli.

— Nie sądzę, żeby nim był. Nie wiem, co o tym myśleć. Wyobraź sobie; że jesteś obywatelem Drugiej Fundacji — głośno zastanawiał się Channis. — Co byś zrobił w takiej sytuacji? Załóżmy, że domyślałbyś się, co nas tu sprowadza. Jak starałbyś się manipulować nami?

— Przez Odmianę, rzecz jama.

— Tak jak Muł? — Channis spojrzał na niego bystro. — Zorientowalibyśmy się, gdyby nas odmienili? Zastanawiam się… No, a gdyby byli po prostu psychologami, tyle że bardzo zdolnymi?

— W takim przypadku ja; na ich miejscu, postarałbym się zgładzić nas jak najszybciej.

— A co ze statkiem? Nie — Channis przecząco pomachał palcem. — W tej grze się blefuje. To może, być tylko blef. Nawet jeśli zajrzeli nam, za pomocą kontroli psychicznej, w karty, to my — ty i ja — jesteśmy tylko płotkami. Oni muszą walczyć z Mułem i są tak samo ostrożni w stosunku do nas, jak my w stosunku do nich. Przypuszczam, że wiedzą, kim jesteśmy.

Pritcher spojrzał na niego zimno.

— Co zamierzasz zrobić?

— Czekać — rzekł krótko Channis. — Niech przyjdą do nas. Być może martwi ich statek, ale prawdopodobnie nie chodzi o statek, lecz o Muła. Zablefowali tym gubernatorem. Nie zadziałało. Nie zmieniliśmy kart. Następną osobą, którą przyślą, będzie ktoś z Drugiej Fundacji. I zaproponuje nam pewien interes.

— A wtedy?

— A wtedy przyjmiemy tę propozycję.

— Nie sądzę.

— Bo boisz się; że w ten sposób wykiwam Muła? Nie ma obawy.

— Muł nie da się wykiwać, żebyś nie wiem co wymyślił. Mimo to, nie sądzę, że zgodzimy się na ten interes.

— Bo boisz się, że nie damy rady wykiwać tych z Drugiej Fundacji?

— Być może, Alę to nie jest główny powód.

Channis popatrzył na to, co Pritcher trzyma w zaciśniętej dłoni, i powiedział ponuro:

— Chcesz powiedzieć, że to jest główny powód?

Pritcher pokiwał miotaczem.

— Zgadza się. Jesteś aresztowany.

— Dlaczego?

— Za zdradę Pierwszego Obywatela Związku.

Channis zacisnął usta.

— Co jest grane?

— Zdrada! Już powiedziałem. I środek zaradczy na to.

— Masz na to dowód? Albo chociaż cień dowodu? Chyba jesteś szalony.

— Nie jestem. A może to ty jesteś szalony? Myślisz może, że Muł bez powodu wysyła takich nieopierzonych młodzików jak ty na jakieś fantastyczne ekspedycje? Wtedy wydało mi się to dziwne. Ale traciłem czas, nie wierząc w siebie. Dlaczego wysyła akurat ciebie? Dlatego, że zawsze się uśmiechasz i jesteś dobrze ubrany? Nie, dlatego, że masz dwadzieścia osiem lat. Tak myślałem wtedy.

— Może dlatego, że można mi ufać. A może logiczne wyjaśnienia do ciebie nie trafiają?

— A może dlatego, że nie można ci ufać. Co, jak się okazuje, jest dosyć logiczne.

— Mamy się prześcigać w tworzeniu paradoksów? Czy może ta gra polega na tym, kto potrafi najmniej powiedzieć w największej liczbie słów?

Miotacz przysunął się bliżej, a za nim Pritcher. Stał wyprostowany przed Channisem.

— Wstań!

Channis podniósł się bez zbytniego pośpiechu i poczuł, że lufa miotacza dotyka jego brzucha.

— Muł chciał znaleźć Drugą Fundację — rzekł Pritcher. — Nie udało mu się. Mnie się też nie udało, a tajemnica, której żadnemu z nas nie udało się odkryć, musi być wyjątkowo dobrze strzeżona. Tak więc pozostało tylko jedno jedyne wyjście — znaleźć poszukiwacza, który od początku zna miejsce ukrycia.

To mam być ja?

— Widocznie tak. Wtedy, oczywiście, nie wiedziałem tego, ale choć mój umysł pracuje coraz wolniej, to wciąż zmierza we właściwym kierunku. Z jaką łatwością odnaleźliśmy Koniec Gwiazdy! W jaki cudowny sposób udało ci się wybrać w Projektorze, spośród nieskończonej liczby możliwych obrazów, ten, który przedstawiał właściwy rejon! I, jakby tego było mało, od razu znaleźliśmy ten jeden jedyny, właściwy punkt obserwacyjny! Ty zarozumiały głupku! Masz mnie za takiego skończonego durnia, żebym nie zwrócił uwagi na taki

dziwny splot nieprawdopodobnych przypadków?

— Chcesz przez to powiedzieć, że szło mi za dobrze?

— O wiele za dobrze, jak na uczciwego człowieka.

— Bo tak nisko ustawiłeś dla mnie poprzeczkę?

Miotacz dźgnął go w brzuch, chociaż twarz Pritchera pozostała nieruchoma i tylko zimny błysk w jego oczach wskazywał na wzrastający gniew.

— Bo przekupiła cię Druga Fundacja.

— Przekupiła? — odparł Channis z pogardą. — Udowodnij!

— Albo steruje twoją psychiką.

— I Muł o tym nie wie? To śmieszne.

— I Muł o tym wie. Właśnie o to chodzi, tępaku. I Muł o tym wie. Myślisz, że inaczej dałby ci statek do zabawy? Zaprowadziłeś nas do Drugiej Fundacji, tak jak przypuszczaliśmy.

— No, wreszcie udało mi się wyłuskać jakieś ziarnko w tej stercie słomy. Czy mogę spytać, na jakiej podstawie tak przypuszczaliście? Gdybym był zdrajcą, to po co miałbym prowadzić was. do Drugiej Fundacji? Dlaczego nie miałbym raczej wodzić was po całej Galaktyce, nic w końcu nie znajdując?

— Ze względu na statek. A także dlatego, że Druga Fundacja potrzebuje oczywiście broni jądrowej dla obrony swego istnienia.

— Musisz znaleźć lepsze wyjaśnienie. Jeden statek nic dla nich nie znaczy, a jeśli spodziewają się, że na podstawie analizy jego budowy poznają fizykę jądrową i w przyszłym roku wybudują sobie zakłady atomowe, to naprawdę muszą być bardzo, bardzo prostymi ludźmi. Powiedziałbym, że na twoim poziomie.

— Będziesz miał okazję wyjaśnić to Mułowi.

— Wracamy na Kalgan?

— Przeciwnie. Zostajemy tutaj. A mniej więcej za piętnaście minut dołączy do nas Muł. Myślisz może, mój ty przemądry wielbicielu własnej wielkości, że nie leciał za nami? Znakomicie zagrałeś rolę przynęty, chociaż dla innej strony, niż myślałeś. Może nie przywiodłeś do nas naszych ofiar, ale za to przywiodłeś nas do nich.

— Czy mogę usiąść — spytał Channis — i wyjaśnić ci coś za pomocą rysunków? Bardzo proszę.

— Będziesz stał.

— No cóż, równie dobrze mogę to powiedzieć na stojąco. To z powodu tego hiperindykatora w segmencie łączności myślisz, że Muł leciał za nami?

Być może miotacz lekko drgnął, ale Channis nie przysiągłby, że tak było.

— Nie wyglądasz na zaskoczonego — rzekł. — Ale nie będę tracił czasu na zastanawianie się, czy czujesz się zaskoczony, czy nie.

Owszem, wiedziałem o tym. A teraz, udowodniwszy ci, że wiedziałem o czymś, o czym nie myślałeś, że wiem, powiem ci coś, o czym ty nie wiesz.

— Przydługi wstęp, Channis. Myślałem, że masz większą inwencję.

— Inwencja nie ma tu nic do rzeczy. Oczywiście, zdrajcy albo agenci wroga, jeśli wolisz ten termin, istnieją faktycznie. Ale Muł dowiedział się o tym w dość zaskakujący sposób. Widzisz, wygląda na to, że niektórzy z jego Odmienionych zostali poddani obcym wpływom psychicznym.

Tym razem miotacz wyraźnie zadrżał.

— Podkreślam to, Pritcher. Właśnie dlatego mnie potrzebował. Ja nie byłem Odmieniony. Czy nigdy nie mówił ci, że potrzebuje właśnie nieodmienionego? Bez względu na to, czy podał ci prawdziwe powody czy nie.

— Wymyśl coś innego, Channis. Gdybym był przeciw Mułowi, to wiedziałbym o tym. — Pritcher szybko zbadał swe uczucia. Były takie, jak poprzednio. Takie, jak poprzednio. Jasne było, że Channis kłamie.

— Chcesz przez to powiedzieć, ze jesteś wierny Mułowi? Być może. Wierność zostawili w spokoju. Muł powiedział, że to dałoby się zbyt łatwo wykryć. Ale jak się czujesz psychicznie? Nie jesteś przypadkiem znużony? Czy od początku tej podróży czujesz się normalnie? A może czasami masz takie dziwne uczucie jakbyś był niezupełnie sobą? Co robisz, chcesz mi wywiercić dziurę w brzuchu bez pociągania za spust?

Pritcher cofnął miotacz o pół cala.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytał.

To, że dobrali się do ciebie. Jesteś manipulowany. Nie widziałeś, jak Muł zakładał hiperindykator. W ogóle nie widziałeś tego, kto to zrobił. Po prostu znalazłeś tam ten nadajnik i pomyślałeś, że to dzieło Muła. Od tamtej pory cały czas myślisz, że nas śledzi i leci za nami. Oczywiście twój ręczny nadajnik nastawiony jest na zakres, którego mój nie odbiera. Myślisz, że nie wiedziałem o tym? — Mówił teraz szybko i ze złością. Znikła jego pozorna beztroska. — Ale to nie Muł leci za nami. Nie Muł.

— A kto, jeśli nie on?

— No, a jak myślisz? Odkryłem ten hiperindykator w dniu startu. Ale nie przyszło mi do głowy, że to pomysł Muła. W tym punkcie nie miał powodu, żeby coś ukrywać. Nie widzisz absurdalności swoich domysłów? Gdybym był zdrajcą i gdyby on wiedział o tym, to mógłby mnie odmienić równie łatwo jak ciebie i poznałby tajemnicę położenia Drugiej Fundacji analizując moje myśli. Nie musiałby gonić mnie przez pół Galaktyki. Czy jesteś w stanie utrzymać coś w tajemnicy przed Mułem? A gdybym nie wiedział, gdzie znajduje się Druga

Fundacja, to nie mógłbym go do niej zaprowadzić. W jednym i w drugim przypadku nie było potrzeby, żeby wysyłać mnie w przestrzeń. To chyba jasne, co?

Tak więc ten hiperindykator mógł podłożyć tylko agent Drugiej Fundacji. I to on właśnie leci teraz do nas. A czy wystrychnęliby cię na dudka, gdyby nie przenicowali wcześniej twojej psychiki? Czy to normalne, że taki potworny idiotyzm bierzesz za objaw przewidującej mądrości? Ja miałbym oddać statek w ręce Drugiej Fundacji? I co oni by z nim zrobili?

To na tobie im zależy, Pritcher. Nie ma nikogo poza Mułem, kto wie o Związku więcej niż ty, a przy tym, w przeciwieństwie do niego, nie jesteś dla nich niebezpieczny. Oczywiście, było zupełnie niemożliwe, żebym znalazł Tazendę przetrząsając na chybił trafił zasoby informacji Projektora. Wiedziałem o tym. Ale wiedziałem też, że zależy na nas Drugiej Fundacji i że postarają się, żebyśmy znaleźli co trzeba. Dlaczego nie miałbym podjąć tej gry? Chodziło o to, kto kogo przechytrzy. Oni chcieli mieć nas, a ja chciałem znać ich położenie, i niech przestrzeń pochłonie tego, kto się da wykołować.

Ale dopóki trzymasz mnie na muszce miotacza, stroną przegrywającą jesteśmy my. I oczywiście nie jest to twój własny zamiar. To ich robota. Oddaj mi miotacz, Pritcher. Wiem, że wydaje ci się, że nie powinieneś tego robić, ale to nie jest twoje przekonanie. To Druga Fundacja działa przez ciebie. Oddaj miotacz, Pritcher, i razem stawimy czoła temu, co nadejdzie.

Pritcher słuchał z przerażeniem. Wszystko mu się mieszało. Czy to możliwe, żeby się tak pomylił? To prawdopodobne. Skąd to ustawiczne zwątpienie? Skąd tu ciągły brak pewności? Co sprawiło, że wywody Channisa brzmiały tak przekonywająco?

Ważne jest prawdopodobieństwo!

A może to jego udręczony umysł broni się przed wtargnięciem obcych myśli?

Czyżby cierpiał na rozdwojenie jaźni?

Jak przez mgłę zobaczył stojącego przed nim Channisa, z wyciągniętą po miotacz ręką, i wiedział już, że odda mu broń.

I w chwili, gdy jego ręka miała już wykonać odpowiedni ruch, drzwi za nim otworzyły się powoli i odwrócił się.

Są może w Galaktyce ludzie tak podobni do siebie, że nawet ktoś, kto miałby czas spokojnie im się przyjrzeć, wziąłby jednego za drugiego. Może się również zdarzyć, że ktoś znajdzie się w takim stanie ducha czy umysłu, że pomyli nawet osoby zupełnie do siebie niepodobne. Jednak żadna z tych możliwości nie stosuje się do osoby Muła, Nawet oszołomienie, w jakim znajdował się Pritcher, nie przeszkodziło mu w rozpoznaniu osoby, która weszła do izby. Poczuł

się, jakby owiał go przyjemny, orzeźwiający wietrzyk.

Fizycznie, Muł nie był w stanie zapanować nad żadną sytuacją. Nie zapanował też i nad tą.

Wyglądał dość cudacznie w kilku warstwach odzieży, które co prawda przydały mu tuszy, ale i tak nie mogły ukryć jego nienaturalnych kształtów. Twarz miał okutaną potężnym kołnierzem, a jego czerwonosiny nos skrywał resztę.

Trudno byłoby chyba wyobrazić sobie osobę bardziej nienadającą się do wystąpienia z odsieczą.

— Zatrzymaj miotacz, Pritcher — powiedział. Potem zwrócił się w stronę Channisa, który wzruszył ramionami i usiadł.

— Wydaje się, że sytuacja emocjonalna tutaj jest raczej chaotyczna i daje się odczuć walkę uczuć. Co ma znaczyć to gadanie p kimś, kto nie jest mną i leci za wami?

Pritcher spytał gwałtownie:

— Czy to pan polecił zainstalować na statku hiperindykator?

Muł obrócił na niego swój zimny wzrok.

— Oczywiście. Czy to możliwe, żeby jakaś organizacja poza Związkiem Światów miała dostęp do statku?

— On mówił…

— On tu jest, generale. Cytowanie jest zbyteczne. Mówiłeś coś, Channis?

— Tak, Ale widocznie myliłem się. Myślałem, że nadajnik został umieszczony przez kogoś pracującego dla Drugiej Fundacji i że zwabiono nas tutaj zgodnie z pewnym planem, który chciałem udaremnić. Co więcej, miałem wrażenie, że w pewnym sensie mają generała w ręku.

— Mówisz tak, jakbyś teraz myślał już inaczej.

— Obawiam się, że nie miałem racji. W przeciwnym razie to nie pan stałby teraz w wejściu.

— No więc przejdźmy do sedna. — Muł zrzucił wierzchnie warstwy watowanego i elektrycznie ogrzewanego ubrania. — Nie masz nic przeciw temu, że ja też usiądę? Teraz jesteśmy tu bezpieczni i nie grozi nam żadna niespodziewana wizyta. , Żaden mieszkaniec tej bryły lodu nie będzie miał ochoty zbliżyć się do tego miejsca. Zapewniam cię — rzekł tonem świadczącym pełnej wierze w swe siły.

— Po co taka prywatność? — spytał Channis z odrazą. — Może ktoś zaraz poda nam herbatę sprowadzi balet?

— Wątpię. No więc jaką to masz teorię, młodzieńcze? Śledził was ktoś z Drugiej Fundacji, używając urządzenia, którego nie ma nikt oprócz mnie i… w jaki sposób — powiadasz — odkryłeś to miejsce?

— Wydaje się oczywiste, że znane nam już fakty można wyjaśnić tylko wtedy, jeśli się przyjmie, że ktoś włożył mi do głowy pewne pomysły…

— Ta sama Druga Fundacja?

— Myślę, że nikt inny.

— No i nie przyszło ci na myśli, że jeśli ktoś z Drugiej Fundacji potrafił cię zmusić czy skłonić do lotu na ich planetę, czy zwabił cię tam dla swoich celów — a zakładam, że wyobrażałeś sobie iż używa metod podobnych do moich, chociaż chciałbym zauważyć, że ja potrafię zaszczepiać tylko uczucia, nie pomysły — więc nie przyszło ci do głowy, że jeśli potrafił t o zrobić, to raczej nie miał potrzeby umieszczać hiperindykatora na statku, którym leciałeś?

Channis podniósł szybko głowę i z nagłym przestrachem spojrzał w duże oczy Muła. Pritcher chrząknął i wyraźnie rozluźnił się.

— Nie — odparł Channis — nie przyszło mi to do głowy.

— Ani to, że gdyby musieli cię śledzić, to nic czuliby się zdolni do kierowania twoimi poczynaniami i że w takim przypadku miałbyś minimalną szansę znalezienia drogi tutaj, co ci się jednak udało? To też nie przyszło ci do głowy?

— To też nie.

— A dlaczego? Czy twój poziom intelektualny obniżył się w tak nieprawdopodobnym stopniu?

— W odpowiedzi na to mogę tylko sam zadać pytanie. Czy przyłącza się pan do oskarżenia Pritchera i uważa mnie za zdrajcę?

— A masz coś na swoją obronę, jeśli tak uważam?

— Tylko to, co przedstawiłem generałowi. Gdybym był zdrajcą i znał położenie Drugiej Fundacji, to mógłby mnie pan odmienić i od razu dowiedzieć się wszystkiego. Jeśli uznał pan za konieczne śledzenie mnie, to znaczy, że nie posiadałem wcześniej takich informacji i nie jestem zdrajcą.

— No i jaki z tego wniosek?

— Że nie jestem zdrajcą.

— Z czym muszę się zgodzić, bo twój argument jest nie do odparcia.

— Czy mogę wobec tego zapytać, dlaczego leciał pan za nami w tajemnicy?

— Dlatego, że wszystkie te fakty można wyjaśnić w jeszcze inny sposób. Ty i Pritcher wyjaśniliście pewne fakty, każdy na swój sposób, ale nie wyjaśniliście wszystkiego. Ja, jeśli mi pozwolicie, wyjaśnię wszystkie fakty. I zrobię to raczej szybko, tak że nie ma obawy, żebyście się zanudzili. Usiądź, Pritcher, i daj mi swój miotacz. Nie musimy już obawiać się napaści. Ani z zewnątrz, ani z wewnątrz. Ani nawet ze strony Drugiej Fundacji. Dzięki tobie, Channis.

Pokój oświetlony był w normalny rossemicki sposób — za pomocą rozgrzanego elektrycznie drucika. Z sufitu zwisała pojedyncza żarówka i w jej mdłym, żółtym świetle na ścianach rysowały się cienie

całej trójki.

— Skoro uważałem za konieczne śledzić Channisa — rzekł Muł — widocznie spodziewałem się uzyskać coś w ten sposób. Ponieważ leciał w kierunku Drugiej Fundacji z zadziwiającą szybkością i nadzwyczaj pewnie, możemy zasadnie przyjąć, że spodziewałem się, iż tak właśnie będzie. Ponieważ nie uzyskałem potrzebnych mi informacji bezpośrednio od niego, coś musiało mi w tym przeszkadzać. Takie są fakty. Channis, oczywiście, zna odpowiedź. Ja też. Rozumiesz o co chodzi, Pritcher?

— Nie, proszę pana — odparł Pritcher.

— Wobec tego wyjaśnię to. Jest tylko jeden rodzaj ludzi, którzy mogą znać położenie Drugiej Fundacji i ukryć to przede mną. Channis, obawiam się, że ty sam jesteś z Drugiej Fundacji.

Channis pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach i ściągając ze złości usta rzekł:

— Ma pan na to jakiś bezpośredni dowód? Dziś już dwukrotnie okazało się, że dedukcja to zawodna metoda.

— Mam też bezpośredni dowód, Channis. To było dosyć łatwe. Powiedziałem ci, że dobrano się do psychiki moich ludzi. Ten, który to zrobił, musiał być (a) nieodmienionym, (b) blisko centrum wydarzeń. Obszar, w którym należało go szukać, był duży, ale nie nieograniczony. Miałeś zbyt duże powodzenie, Channis. Byłeś za bardzo lubiany. Za dużo ci się udawało. To mnie zastanowiło…

Wezwałem cię więc do siebie, żeby zaproponować ci objęcie dowództwa nad tą wyprawą. Przyszedłeś bez oporów. Śledziłem twoje emocje. Przyjąłeś propozycję bez żadnego zakłopotania. I tu przedobrzyłeś, Channis. , Żaden rozsądny człowiek nie podjąłby się takiego zadania, nie zawahawszy się choćby przez chwilę. Ponieważ w twoim umyśle nie dostrzegłem nawet śladu niepewności, musiał albo należeć do durnia, albo być pod obcym wpływem.

Sprawdzenie tej alternatywy było fraszką. Dopadłem twój umysł w chwili rozluźnienia i napełniłem go na ułamek sekundy bezbrzeżnym smutkiem. Kiedy się wycofałem, udałeś wściekłość, i zrobiłeś to z takim mistrzostwem, że przysiągłbym, iż to naturalna reakcja, gdyby nie to, co zdarzyło się wcześniej. Bo kiedy szarpnąłem twoje uczucia, tylko na ułamek sekundy, zanim zdążyłeś się pozbierać, twój umysł stawił mi opór. Tylko tyle chciałem wiedzieć. Nikt nie mógłby mi się oprzeć, nawet przez ten ułamek sekundy, jeśli nie znajdowałby się pod wpływem podobnym do tego, jaki ja wywieram.

— No więc? Co teraz? — spytał Channis cicho.

— Teraz umrzesz — jako człowiek z Drugiej Fundacji. To konieczne, i myślę, że zdajesz sobie z tego sprawę.

Raz jeszcze Channis spojrzał w wylot lufy miotacza. Tym razem jednak ruchami miotacza sterował umysł, którego nie można było

skierować na dowolne tory, tak jak umysł Pritchera, lecz równie dojrzały i równie oporny jak jego własny. A czas, który został mu na naprawienie sytuacji, był bardzo krótki.

To, co nastąpiło później, trudno jest opisać komuś, kto dysponuje normalnym zestawem zmysłów i odznacza się normalnym brakiem zdolności do wpływania na emocje innych.

Zasadniczo, tak można by opisać doznania Channisa w owym krótkim odcinku czasu potrzebnym Mułowi na naciśnięcie spustu miotacza.

W owej chwili emocjonalna struktura Muła składała się z litej determinacji, nie zamglonej w najmniejszym stopniu wahaniem. Gdyby Channisa interesowało potem obliczenie tego czasu, który upłynął między powzięciem postanowienia o oddaniu strzału a tryśnięciem niszczącej energii z lufy miotacza, to uświadomiłby sobie, że na podjęcie przeciwdziałania pozostało mu około jednej piątej sekundy.

Trudno właściwie powiedzieć, żeby miał jeszcze na to czas.

Natomiast Muł w tym samym ułamku sekundy uświadomił sobie, że nagle podskoczył emocjonalny potencjał mózgu Channisa, mimo że jego własny nie odczuł żadnego nacisku, i że równie nagle runęła na niego, z zupełnie niespodziewanej strony, kaskada czystej, przerażającej nienawiści.

Ten nowy element sytuacji spowodował, że zdjął palec ze spustu. Nie mogłoby Go do tego skłonić nic innego. Niemal w tej samej chwili pojął co się stało.

Na moment wszyscy zamarli bez ruchu. Ten żywy obraz trwał jednak o wiele krócej, niż wymagałyby tego prawidła dramaturgii. Muł, z palcem zdjętym ze spustu, wpatrywał się z napięciem w Channisa. Chatfnis, sprężony, nie śmiał odetchnąć głębiej. A Pritcher tkwił na krześle konwulsyjnie skręcony, z mięśniami napiętymi do granic wytrzymałości, ze ścięgnami skręcającymi się z wysiłku, by poderwać ciało do przodu. Jego twarz, zazwyczaj nieprzenikniona i bez wyrazu, jakby wyciosana z drewna, zastygła w grymasie śmiertelnej nienawiści, a wzrok utkwiony miał w Muła.

Channis i Muł zamienili tylko jedno czy dwa słowa, cała reszta zawierała się w wyjaśniającym wszystko, przepływającym między nimi strumieniu emocjonalnej świadomości, który na zawsze pozostanie rzeczywistym środkiem przekazu między osobnikami takimi jak oni. Nasze ograniczone poznanie wymaga, by to, co zaszło między nimi, przełożyć na słowa.

Channis rzekł w napięciu:

— Zostałeś wzięty w dwa ognie, Pierwszy Obywatelu. Nie jesteś w stanie wpływać na dwa umysły jednocześnie, w każdym razie nie w sytuacji, kiedy jeden z nich jest taki, jak mój. Pritcher wolny już jest

od pęt twojej Odmiany. Przeciąłem jego więzy. Jest znowu dawnym Pritcherem, tym, który już raz próbował cię zgładzić, tym, który uważa cię za wroga wszystkiego, co wolne, słuszne i święte. A poza tym wie doskonale, że pozbawiłeś go godności i zmusiłeś do płaszczenia się przed tobą przez pięć długich lat. Na razie trzymam go na uwięzi, powściągnąwszy jego wolną wolę, ale jeśli mnie zabijesz, nic nie będzie go już powstrzymywać i zanim zdążysz zwrócić miotacz w jego stronę czy nawet skoncentrować na nim swoją wolę, będzie po tobie.

Muł doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Nie poruszył się.

— Jeśli zwrócisz się w jego stronę, żeby ponownie dostać go pod swój wpływ albo żeby go zabić czy zrobić cokolwiek innego — ciągnął Channis — nie zdołasz powstrzymać mnie.

Muł w dalszym ciągu siedział bez ruchu. Westchnął tylko.

— A więc — mówił Channis — odrzuć miotacz, pozwól, żebyśmy znowu mieli równe szanse, a odzyskasz Pritchera.

— Popełniłem błąd — przemówił w końcu Muł. — Niedobrze się stało, że pozwoliłem na obecność trzeciej strony podczas rozprawy z tobą. Wprowadziło to o jedną zmienną za dużo. To błąd, za który, jak myślę, przyjdzie mi zapłacić.

Odrzucił niedbałym ruchem miotacz i kopnięciem przesunął w odległy róg izby. W tej samej chwili Pritcher zapadł w głęboki sen.

— Kiedy się obudzi, będzie znowu normalny — stwierdził obojętnie Muł.

Od czasu, kiedy kciuk Muła spoczął na kontakcie miotacza wyzwalającym reakcję łańcuchową, do momentu, kiedy odrzucił miotacz, upłynęło niecałe półtorej sekundy.

Ale tuż pod progiem świadomości i w ułamku czasu bliskim niewykrywalności Channis uchwycił przelotny błysk w umyśle Muła. Był to błysk pewności i niezłomnej wiary w zwycięstwo.

6. JEDEN CZŁOWIEK, MUŁ... I INNY CZŁOWIEK

Dwóch ludzi, pozornie odprężonych i swobodnych, będących wzajemnym przeciwieństwem pod względem fizycznym, których każdy nerw drgał czujnie napięty niczym czuły detektor.

Muł, po raz pierwszy od wielu lat, nie był całkowicie pewny, jak ma postąpić. Channis wiedział, że chociaż potrafi obronić się w tej chwili, to wymaga to od niego wielkiego wysiłku, natomiast dla jego przeciwnika atak nie jest tak wyczerpującym zadaniem. Channis wiedział, że gdyby chciał przetrzymać Muła, musi przegrać.

Ale niebezpiecznie było o tym myśleć. Zdradzić się przed Mułem z emocjonalnej słabości, znaczyłoby dać mu do ręki broń. I tak już w umyśle Muła pojawił się krótki błysk, którego Channis nie zdążył dokładnie zidentyfikować, ale który był charakterystyczny dla zwycięzcy.

Zyskać na czasie.

Dlaczego inni zwlekają? Czyżby to właśnie było źródłem pewności Muła? Czyżby jego przeciwnik wiedział coś, o czym on nie ma pojęcia? Umysł, który znajdował się pod jego baczną obserwacją, niczego nie pokazywał. Ach, gdyby potrafił czytać w myślach. A jednak…

Channis wysiłkiem woli powstrzymał to psychiczne kręcenie się w kółko. Liczyło się tylko jedno — zyskać na czasie…

— Skoro już wiadomo, że jestem człowiekiem z Drugiej Fundacji, i skoro nie zaprzeczyłem temu po zakończeniu naszego pojedynku o Pritchera, może powiesz mi dlaczego, twoim zdaniem, przyleciałem do Tazendy?

— O, nie — Muł roześmiał się z wielką pewnością siebie. — Ja nie jestem Pritcherem. Nie muszę ci składać żadnych wyjaśnień. Usłyszałeś już tyle, że możesz sobie wyobrazić powody, które mną kierowały. Bez względu na to, co naprawdę myślałem, twoje działanie odpowiadało mi, więc nie pytam o nic więcej.

— Jednak w twojej koncepcji muszą być pewne luki. Czy Tazenda jest tą Drugą Fundacją, którą spodziewałeś się odkryć? Pritcher dużo mówił o twoich staraniach znalezienia jej i o psychologu, który był twoim narzędziem — o Eblingu Misie. Czasem coś tam plótł, kiedy go… no… lekko do tego zachęciłem. Przypomnij sobie , Eblinga Misa, Pierwszy Obywatelu.

— A niby dlaczego miałbym to zrobić?

Nie tracić pewności siebie! Channis czuł, że Wiara Muła w siebie Wzrasta, jak gdyby z upływem czasu jakikolwiek niepokój, który Muł

mógł odczuwać, ulatniał się i rozpływał.

Powstrzymując nagły przypływ zwątpienia, powiedział:

— A więc nie jesteś ciekaw? Pritcher opowiadał mi, że coś wprawiło Misa w osłupienie. Poza tym to jego usilne naleganie na pośpiech, na szybkie ostrzeżenie Drugiej Fundacji… Dlaczego? Ebling Mis umarł. Nie ostrzeżono Drugiej Fundacji. A mimo to nadal istnieje.

Muł uśmiechnął się z prawdziwą przyjemnością i Channis poczuł, że nagle uderza go i zaraz się cofa fala okrucieństwa.

— Ale, jak widać, Druga Fundacja została jednak ostrzeżona. W przeciwnym razie jak i po co niejaki Bail Channis pojawiłby się na Kalganie, manipulował moimi ludźmi i podjął się raczej niewdzięcznego zadania przechytrzenia mnie? Tylko że ostrzeżenie przyszło zbyt późno, to wszystko.

— A zatem — Channis postarał się, by do Muła dotarło od niego uczucie litości — nie wiesz nawet, gdzie znajduje się Druga Fundacja i nie rozumiesz nic z głębszego znaczenia tego, co się tu teraz dzieje.

Zyskać na czasie!

Muł poczuł litość Channisa i nagle w jego zwężonych oczach błysnęła wrogość. Potarł nos swym zwykłym gestem i warknął: — No to zabaw się! Co z tą Drugą Fundacją? Channis zaczął z namysłem, posługując się raczej słowami niż symboliką emocjonalną.

— Z tego, co słyszałem, najbardziej intrygowała Misa tajemnica otaczająca Drugą Fundację. Hari Seldon w tak bardzo odmienny sposób potraktował obie placówki. Pierwsza Fundacja była imponującym, ostentacyjnym przedsięwzięciem, które w ciągu dwustu lat olśniło i oślepiło pół Galaktyki. Druga była niczym mroczna otchłań.

Nie zrozumiesz, dlaczego tak się stało, jeśli nie postarasz się wczuć w klimat intelektualny czasów umierającego Imperium. Był to czas absolutu, ostatnich wielkich uogólnień, przynajmniej w dziedzinie myśli. Oczywiście, fakt postawienia tamy dalszemu rozwojowi myśli świadczył o tym, że ta kultura ginie. To właśnie bunt przeciwko stawianiu tej tamy uczynił Seldona sławnym. To właśnie ten ostatni błysk twórczego geniuszu zalał Imperium promiennym blaskiem zachodu i mgliście zapowiedział wschodzące słońce Drugiego Imperium.

— Bardzo wzruszające. No i co dalej?

— No więc założył swoje Fundacje zgodnie z prawami psychohistorii, ale któż lepiej od niego wiedział, że nawet te prawa są względne. On nigdy nie stworzył ostatecznego dzieła. Ostateczne dzieła są dobre dla dekadenckich umysłów. Jego dzieło było stale doskonalącym się mechanizmem, a Druga Fundacja była narzędziem tego doskonalenia. My, Pierwszy Obywatelu twego Chwilowego Związku Światów, my jesteśmy strażnikami Planu Seldona. Tylko my!

— Próbujesz dodać sobie odwagi tym gadaniem — spytał pogardliwie Muł — czy chcesz mi zaimponować? Bo ani Druga Fundacja, ani Plan Seldona, ani Drugie Imperium razem wzięte nie imponują mi, ani nie budzą we mnie najmniejszej litości, sympatii czy poczucia odpowiedzialności, ani żadnego innego uczucia, które mogłoby ci pomóc. W każdym razie, kiedy mówisz o Drugiej Fundacji, głupcze, używaj czasu przeszłego, bo już jest po niej.

Muł podniósł się i podszedł do niego. Channis czuł, że potencjał emocjonalny Muła wali się całym ciężarem na jego umysł. Odskoczył gwałtownie do tyłu, ale coś pełzło ku niemu nieubłaganie, uginając i rozbijając coraz bardziej jego jaźń.

Poczuł za plecami ścianę. Naprzeciw niego, wsparłszy się chudymi ramionami pod boki, stał Muł i rozchylał usta w okropnym uśmiechu.

— Wasza gra skończona, Channis. Gra tych wszystkich, którzy tworzyli Drugą Fundację. To, co było Drugą Fundacją! Co było! Na co czekałeś, siedząc tu cały czas i plotąc coś Pritcherowi, kiedy mogłeś obezwładnić go i odebrać mu miotacz nie kiwnąwszy nawet palcem? Czekałeś na mnie, prawda? Czekałeś, żeby powitać mnie w sytuacji, która nie wzbudziłaby moich podejrzeń.

Tym gorzej dla ciebie, że nie potrzebowałem już żadnego dodatkowego dowodu na poparcie moich podejrzeń. Znałem cię, znałem cię dobrze, Bailu Channisie z Drugiej Fundacji.

Ale na co czekasz teraz? Cały czas rozpaczliwie zarzucasz mnie słowami, tak jakby sam dźwięk twego głosu mógł mnie unieruchomić. A kiedy tak mówisz, coś w twoim umyśle czeka i czeka, cały czas czeka. Ale na próżno. Nie przybędzie tu nikt z tych, których oczekujesz — żaden ze sprzymierzeńców. Jesteś tu sam, Channis, i pozostaniesz sam. A wiesz dlaczego?

Dlatego, że Druga Fundacja całkowicie się pomyliła co do mojej osoby. W porę poznałem wasz plan. Myśleliście, że przylecę tu za tobą i sam wam wlezę w sieć. Ty miałeś być przynętą — miałeś zwabić biednego, głupiutkiego mutanta, który jest tak zapatrzony w swoje rojenia o imperium, że nic nie zauważy i wpadnie w zastawiony na niego potrzask. No i co, jestem waszym więźniem?

Zastanawiam się, czy przyszło komuś z was do głowy, że nie zjawię się tu bez swojej floty, która składa się z takich jednostek, że wobec każdej z nich jesteście bezbronni i bezradni jak dzieci. Tazenda leży w gruzach, miasta są starte z powierzchni planety. Nie napotkaliśmy żadnego oporu. Druga Fundacja już nie istnieje, Channis, i ja — śmieszny, brzydki cherlak — jestem teraz panem Galaktyki.

Channis był już tak słaby, że mógł tylko przecząco pokręcić głową.

— Nie… nie…

— Tak… tak — szydził Muł. — I jeśli ty, jako ostatni, zostałeś jeszcze przy życiu, to nie potrwa to już długo.

Potem nastąpiła krótka, ciężka pauza i Channis nieomal zawył pod wpływem nagłego bólu spowodowanego przenikaniem woli Muła do najskrytszych zakamarków jego psychiki.

Muł wycofał się i mruknął:

— Jeszcze trochę. Mimo wszystko nie wytrzymałeś tej próby. Twoja rozpacz jest udana. To nie jest kompletne załamanie się, jakiego należy oczekiwać od człowieka, którego ideał runął w gruzy, ale małostkowy, śliski strach przed utratą własnego życia.

I wiotka ręka Muła zacisnęła się na gardle Channisa w słabym uścisku, z którego jednak jakoś nie był stanie się wyswobodzić.

— Jesteś moim zabezpieczeniem, Channis. Jesteś instrumentem, który w porę przestrzeże mnie i zabezpieczy przed ewentualnym niedocenieniem jakiegoś elementu sytuacji. — Muł przewiercał go na wskroś wzrokiem. Nalegał… Domagał się…

— Dobrze obliczyłem, Channis? Przechytrzyłem waszych ludzi z Drugiej Fundacji; czy nie? Tazenda jest zniszczona, Channis, kompletnie zniszczona, skąd więc to udawanie rozpaczy?

Gdzie jest twoje prawdziwe uczucie? Muszę znać prawdę. Mów, Channis, mów. A więc nie przeniknąłem dość głęboko? Czy niebezpieczeństwo nadal istnieje? Mów, Channis! Gdzie popełniłem błąd?

Channis czuł, że — wbrew jego woli — z ust powoli wydobywają się słowa. Zaciskał zęby, żeby je powstrzymać. Gryzł język. Napiął wszystkie mięśnie krtani.

Ale wydobywały się nadal, wyciągane z niego siłą, rozrywając krtań i język i przeciskając się przez zaciśnięte zęby.

— Prawda — jęczał — prawda…

— Tak, prawda. Co jeszcze muszę zrobić?

— Seldon założył Drugą Fundację tutaj. Tutaj, już mówiłem. Nie kłamałem. Przybyli psychologowie i objęli władzę nad miejscową ludnością.

— Nad Tazenda? — Muł zanurzył się głęboko w falujący strumień emocji Channisa i grzebał tam brutalnie. — To, co zniszczyłem, to Tazenda. Wiesz, czego chcę. Daj mi to.

— Nie nad Tazenda. Powiedziałem, że ludzie z Drugiej Fundacji to nie muszą być ci, którzy pozornie są u władzy. Tazenda jest parawanem… — słowa były prawie niezrozumiałe; powstawały jakby same, wbrew każdej cząstce woli tego, kto je wypowiadał — … Rossem… Rossem… Rossem jest tym światem…

Muł rozluźnił uścisk i Channis opadł na podłogę, obolały i skatowany.

I myśleliście, że mnie oszukacie? — rzekł, tym razem łagodnie, Muł.

— Oszukaliśmy cię — był to ostatni szczątek oporu w Channisie.

— Ale nie na długo. Nie wystarczy wam czasu. Jestem w kontakcie ze swoja flotą. I po Tazendzie może przyjść kolej na Rossem. Ale najpierw…

Channis czuł, że ogarnia go przenikliwa ciemność. Machinalnie osłonił ręką zbolałe oczy, ale nic to nie pomogło. Ta ciemność dusiła, i podczas kiedy czuł, jak jego stłamszona, sponiewierana świadomość zapada się w wieczny mrok, widział jeszcze ostatni obraz — tryumfującego Muła, wyglądającego jak śmiejąca się wykałaczka… długi, mięsisty nos trzęsący się ze śmiechu.

Dźwięk znikł. Ogarnęła go kojąca ciemność.

Potem ciemność nagle pękła, jak rozerwana na dwoje oślepiającą błyskawicą, i Channis powoli wrócił na ziemię. Z trudem i bólem odzyskiwał wzrok. Przez wypełnione łzami oczy docierały do niego początkowo tylko zamazane kontury rzeczy.

Nieznośnie bolała go głowa, a kiedy podniósł do niej rękę, przeszył ją ból ostry jak sztylet.

A więc żył. Niczym pióra porwane nagłym podmuchem wiatru, który przepadł równie niespodzianie jak się zerwał, jego myśli łagodnie wirowały i powoli opadały, by znieruchomieć w spokoju. Czuł wzbierającą w sercu, napływającą z zewnątrz otuchę. Powoli, przezwyciężając ból, wyprostował kark i poczuł wielką ulgę.

Bo oto drzwi były otwarte, a w progu stał Pierwszy Mówca. Channis chciał przemówić, ale język miał sztywny — zrozumiał, że jakaś część potężnego umysłu Muła wciąż trzyma go w swej mocy i udaremnia odezwanie się.

Raz jeszcze wyprostował kark. Muł wciąż był w izbie. Był wściekły, płonęły mu oczy. Nie śmiał się już, ale złowieszczo szczerzył zęby.

Channis czuł płynący od Pierwszego Mówcy ożywczy, masujący łagodnie jego zbolały mózg, strumień energii psychicznej, a potem, kiedy strumień ten zetknął się z obroną Muła i przez chwilę walczył z nią, ogarnęło go odrętwienie, które trwało, dopóki Pierwszy Mówca nie wycofał się.

Muł zazgrzytał zębami i rzekł z furią, groteskową u tak mizernej osoby:

— A więc zjawia się następny, żeby mnie powitać.

Jego ruchliwy umysł wysunął swe macki z izby…

— Jesteś sam — stwierdził. Pierwszy Mówca rzekł bezgłośnie:

— Jestem zupełnie sam. Muszę być sam, bo to ja źle obliczyłem twoją przyszłość pięć lat temu. Miałbym przynajmniej pewną satysfakcję, gdybym naprawił ten błąd bez niczyjej pomocy. Niestety,

nie wziąłem pod uwagę siły pola odpychania emocjonalnego, które otacza to miejsce. Zabrało mi dużo czasu wnikniecie w tę strefę. Gratuluję zręczności, z jaką je stworzyłeś.

— Nie wysilaj się! — nadeszła wroga odpowiedź. — Nie będziemy się licytować komplementami. Przyszedłeś dorzucić swój rozłupany mózg do tego tam strzaskanego filaru waszego królestwa?

Pierwszy Mówca uśmiechnął się.

— Ależ ten człowiek, którego nazywasz Bailem Channisem, wywiązał się dobrze ze swego zadania, tym bardziej, że nie może się z tobą równać pod względem siły psychicznej. Widzę, oczywiście, że go zmaltretowałeś, ale może być, że mimo to przywrócimy go do pełnej sprawności. To dzielny człowiek, szanowny panie. Zgłosił się na ochotnika do tego zadania, chociaż przewidzieliśmy matematycznie, że istnieje wielkie prawdopodobieństwo, iż zniszczy to jego umysł, co jest bardziej przerażające niż groźba unicestwienia fizycznego.

Umysł Channisa pulsował daremnie, starając się wyrazić ostrzeżenie. Chciał je wykrzyczeć, lecz nie mógł. Był w stanie wysyłać tylko nieprzerwany strumień trwogi…

Muł był spokojny.

— Wiesz, oczywiście, o zniszczeniu Tazendy.

— Wiem. Przewidzieliśmy nalot twojej floty. Tak przypuszczam odparł ponuro Muł. — Ale nie zapobiegliście temu, co?

— Nie, nie zapobiegliśmy. — Symbolika emocjonalna Pierwszego Mówcy była jasna. Był to niemal wstręt do samego siebie, zupełna samoodraza. — Ja ponoszę za to większą winę niż ty. Któż mógł wyobrazić sobie pięć lat temu, że posiadasz aż takie zdolności! Podejrzewaliśmy od początku — od momentu, kiedy zająłeś Kalgan — że posiadasz zdolność wpływania na emocje. Nie było to dla nas zbyt wielkim zaskoczeniem, Pierwszy Obywatelu. Zaraz to wyjaśnię.

Kontakt emocjonalny, taki jakim dysponujemy ty i ja, nie jest wcale nowym osiągnięciem. W istocie każdy mózg ludzki jest do tego potencjalnie zdolny. Większość ludzi potrafi odczytywać emocje w prymitywny sposób, przez pragmatyczne kojarzenie ich z wyrazem twarzy, tomein głosu i tak dalej… Wiele zwierząt posiada tę zdolność w większym stopniu, posługują się bowiem w znacznej mierze węchem, i emocje z tym związane są oczywiście bardziej złożone.

Faktycznie, ludzkie możliwości są o wiele większe, ale zdolność do nawiązywania bezpośredniego kontaktu emocjonalnego więdła w miarę rozwoju mowy, co miało miejsce milion lat temu. Wielkim osiągnięciem naszej Drugiej Fundacji było ponowne uaktywnienie tego zmysłu, z wykorzystaniem przynajmniej części jego potencjalnych możliwości.

Ale nie rodzimy się z nim gotowym do użycia. Trwająca milion lat atrofia to nie byle jaka przeszkoda. Musimy kształcić ten zmysł,

ćwiczyć, tak jak ćwiczy się mięśnie. Ty się z nim urodziłeś.

Tyle można było wyliczyć. Mogliśmy także obliczyć i przewidzieć konsekwencje dysponowania takim zmysłem wśród ludzi, którzy go nie posiadają. Widzący w królestwie ślepych… Obliczyliśmy, w jakim stopniu może kierować tobą megalomania i myśleliśmy, że jesteśmy przygotowani. Ale nie byliśmy przygotowani na dwie rzeczy.

Po pierwsze, nie spodziewaliśmy się, że ten zmysł masz wykształcony w tak wielkim stopniu. My możemy nawiązać kontakt emocjonalny tylko z osobą, która znajduje się w polu naszego widzenia, przez co jesteśmy bardziej bezbronni wobec ataku z użyciem siły fizycznej, niż mogłoby ci się to wydawać. Tak ogromną rolę gra w. tym wzrok. Z tobą jest inaczej. Wiadomo z całą pewnością, że sprawowałeś kontrolę nad ludźmi, a co więcej — pozostawałeś w ścisłym kontakcie emocjonalnym z nimi nawet wtedy, kiedy byli poza zasięgiem twojego wzroku i słuchu. Odkryliśmy to zbyt późno.

Po drugie, nie wiedzieliśmy nic o twoich defektach fizycznych, szczególnie o tym, który jest tak istotny dla ciebie, że przybrałeś pseudonim „Muł". Nie przewidzieliśmy, że jesteś nie tylko mutantem, ale w dodatku bezpłodnym mutantem, skutkiem czego nie uwzględniliśmy dodatkowego czynnika powodującego zniekształcenie psychiki, a mianowicie kompleksu niższości. Dopuszczaliśmy tylko megalomanię, tymczasem okazało się, że mamy do czynienia również z ostrą paranoją na tle psychopatycznym.

Ja sam ponoszę odpowiedzialność za przeoczenie tych czynników, bo byłem przywódcą Drugiej Fundacji, kiedy zająłeś Kałgan. Zrozumieliśmy wszystko, kiedy zniszczyłeś Pierwszą Fundację, ale było już za późno i przez ten błąd zginęły miliony ludzi na Tazendzie.

— A teraz wszystko naprawisz, tak? — Muł wykrzywił cienkie wargi w szyderczym grymasie. Jego umysł pulsował nienawiścią. — Co zrobisz? Przydasz mi ciała? Napełnisz mnie męskim wigorem? Usuń z mojej przeszłości długie lata dzieciństwa spędzone w obcym otoczeniu. Przykro ci? Z powodu moich cierpień? Z powodu mojego nieszczęścia? Absolutnie nie żałuję tego, co zrobiłem. Miałem taką potrzebę. Jeśli Galaktyka nie zatroszczyła się ani trochę o mnie, kiedy tego potrzebowałem, to niech się teraz broni jak potrafi. — Oczywiście, twoje uczucia — rzekł Pierwszy Mówca — zrodziły się z tego, co przeszedłeś w dzieciństwie, i dlatego nie można ich potępiać. Trzeba je po prostu zmienić. Zniszczenie Tazendy było nieuniknione. Mogliśmy tylko wybierać między nią a o wiele poważniejszym zniszczeniem, które dotknęłoby całą Galaktykę i którego skutki trwałyby stulecia. Zrobiliśmy, co mogliśmy przy naszych ograniczonych możliwościach. Przesiedliliśmy z Tazendy tyle osób, ile zdołaliśmy. Tych, którzy zostali, rozmieściliśmy po całej planecie, nie dopuszczając do tworzenia się większych skupisk ludności. Niestety,

nasze przeciwdziałania były z konieczności niewystarczające. Wiele milionów musiało zostać i zginąć… Nie żałujesz tego?

— Ani trochę. Tak, jak nie żal mi tych stu tysięcy, które najpóźniej za sześć godzin zginą tu, na Rossemie.

— Na Rossemie? — spytał pośpiesznie Pierwszy Mówca.

Obrócił się w stronę Channisa, który zmusił swe ciało do przyjęcia półsiedzącej pozycji. Natężył swą wolę. Channis czuł toczącą się gdzieś nad nim walkę dwu jaźni. W pewnym momencie więzy krępujące jego umysł opadły i z ust poczęły dobywać się gorączkowe słowa:

— Kompletnie zawiodłem. Wydusił to ze mnie dziesięć minut przed pana przyjściem. Nie mogłem wytrzymać jego nacisku i nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. On wie, że to nie Tazenda jest Drugą Fundacją. Wie, że to Rossem.

Znowu poczuł krępujące go więzy. Pierwszy Mówca zmarszczył czoło.

— Rozumiem. Co teraz chcesz zrobić?

— Naprawdę się o to pytasz? Tak trudno jest ci wyciągnąć oczywisty wniosek? Przez cały ten czas, kiedy prawiłeś mi tu kazanie o naturze kontaktu emocjonalnego, przez cały ten czas, kiedy rzucałeś we mnie takimi słowami jak megalomania i paranoja, ja działałem. Skontaktowałem się z moją flotą i wydałem rozkazy. Za sześć godzin, jeśli z jakiegoś powodu nie cofnę rozkazów, zbombardują cały Rossem, z wyjątkiem tej jednej wsi i stumilowego obszaru wokół niej. Wykonają dobrą robotę, a potem tu wylądują.

Masz sześć godzin, a przez sześć godzin nie zdołasz zapanować nad moim umysłem ani ocalić reszty Rossema.

Muł rozłożył ręce i znowu się roześmiał. Wydawało się, że Pierwszy Mówca z trudem próbuje się odnaleźć w tym nowym stanie rzeczy.

— A jaka alternatywa? — spytał wreszcie.

— A dlaczego zawsze musi być jakaś alternatywa? Nic mi nie da żadna alternatywa. Mam się martwić o życie tych tutaj, na Rossemie? Może gdybyście pozwolili wylądować moim statkom i wszyscy — na całym Rossemie — poddali swe uczucia mojej kontroli i władzy, to byłbym skłonny odwołać rozkaz zbombardowania planety. Może opłaciłoby się zyskać władzę nad tyloma ludźmi o tak wysokiej inteligencji. Ale z drugiej strony wymagałoby to ode mnie dużego wysiłku i być może okazałoby się w sumie wcale niewarte zachodu, tak że nie mam specjalnej ochoty na taki układ. No i co na to powiesz? Masz jakąś broń przeciw mojej woli, która jest co najmniej tak silna jak twoja? A może macie jakąś broń przeciwko moim statkom które są potężniejsze niż się wam kiedykolwiek śniło?

— Co mam? — powtórzył wolno Pierwszy Mówca. — Ha, nic — oprócz odrobiny wiedzy, wiedzy, której ty nawet teraz nie posiadasz.

— Mów szybko — zaśmiał się Muł. — I wymyśl coś. Bo choćbyś nie wiem jak się wywijał, z tego się nie wywiniesz.

— Biedny mutancie — rzekł Pierwszy Mówca — nie mam się z czego wywijać. Pomyśl sam — dlaczego wysłaliśmy na Kalgan w charakterze przynęty Baila Channisa?? Baila Channisa, który choć młody i odważny, jest w porównaniu z tobą prawie tak samo słaby jak ten twój śpiący tu oficer, Han Pritcher. Zastanów się, dlaczego nie poleciałem tam ja albo ktoś inny z przywódców Drugiej Fundacji, ktoś, kto mógłby się z tobą. mierzyć?

— Pewnie dlatego — odpowiedział nadzwyczaj pewny siebie Muł — że nie byliście tak głupi, żeby to zrobić, bo żaden z was nie może się ze mną równać.

— Prawdziwy powód jest bardziej logiczny. Wiedziałeś, że Channis jest z Drugiej Fundacji. , Nie potrafił tego ukryć przed tobą. Wiedziałeś też, że jesteś od niego silniejszy, więc nie bałeś się podjąć z nim gry i poleciałeś za nim, po to, żeby go później przechytrzyć. Gdybym to ja zjawił się na Kalganie, kazałbyś mnie od razu zabić, bo ja byłbym dla ciebie naprawdę niebezpieczny, a gdybym ukrył, kim jestem, żeby uniknąć śmierci, nigdy by nie udało mi się nakłonić ciebie do udania się ze mną w przestrzeń. Mógł cię wywabić z Kalgana tylko ktoś słabszy od ciebie. A gdybyś pozostał na Kalganie, chroniony swą armią, sprzętem bojowym i własną siłą psychiczną, to Druga Fundacja nie mogłaby ci wyrządzić najmniejszej szkody, nawet gdyby wytężyła wszystkie siły.

— Siła psychiczna jest nadal ze mną, nędzny krętaczu, a armia i sprzęt bojowy są niedaleko stąd — rzekł Muł.

— Istotnie, ale nie jesteśmy na Kalganie. Jesteśmy w Królestwie Tazendy, którą logicznie i przekonywająco… bardzo logicznie… przedstawiono ci jako Drugą Fundację. Trzeba było to tak przedstawić; Pierwszy Obywatelu, bo jesteś mądrym człowiekiem i tylko logiczne rozumowanie trafia ci do przekonania.

— Zgadza się, i było to wasze zwycięstwo, ale tylko chwilowe, bo miałem jeszcze dosyć czasu, żeby wydusić prawdę z waszego człowieka, Channisa, i dosyć mądrości, żeby przewidzieć taką możliwość.

— A my z kolei, choć nie jesteśmy wystarczająco przenikliwi, założyliśmy, że możesz posunąć się o krok dalej, i przygotowaliśmy Baila Channisa — na taką ewentualność.

— Na pewno nie, bo obnażyłem zupełnie jego mózg. Leżał przede mną nagi i trząsł się jak oskubany kurczak, kiedy Channis wykrztusił, że Druga Fundacja to Rossem. I była to prawda, bo wypatroszyłem go i wygładziłem tak dokładnie, że nie było najdrobniejszego zakamarka, gdzie mógłby się chować jakiś podstęp.

— Faktycznie. Tym lepiej świadczy to o naszej przezorności.

Mówiłem ci już, że Bail Channis zgłosił się na ochotnika. Wiesz o co chodziło? Przed opuszczeniem Fundacji poddał się drastycznemu zabiegowi usunięcia pewnych emocji. Myślisz, że gdyby tego nie zrobił, to udałoby mu się wyprowadzić cię w pole? Wiesz dobrze, że nie. A więc Bail Channis, z konieczności i z własnej woli, poddał się zabiegowi, w czasie którego sam uwierzył w fałszywe informacje. Bail Channis jest dogłębnie i całkowicie przekonany, że Rossem to Druga Fundacja.

Przez te trzy lata, które minęły od tamtej chwili, zbudowaliśmy tu, w Królestwie Tazendy, makietę Drugiej Fundacji i czekaliśmy na ciebie. I udało się nam, może nie? Przemknąłeś do Tazendy, i głębiej, do Rossema, ale dalej już nie mogłeś się posunąć.

Muł poderwał się na równe nogi.

— Śmiesz mi mówić, że Rossem też nie jest Drugą Fundacją? Channis, który do tej pory pół leżał, pół siedział na podłodze, poczuł, że krępujące go więzy pękły pod naporem płynącej od Pierwszego Mówcy energii psychicznej i opadły na dobre, i podniósł się. Krzyknął z niedowierzaniem:

To znaczy, że Rossem nie jest Drugą Fundacją?

Dawne wspomnienia, zdobyta w ciągu tylu łat wiedza — wszystko to chaotycznie wirowało wokół niego.

Pierwszy Mówca uśmiechnął się.

— Widzisz, Pierwszy Obywatelu, że Channis jest tak samo wzburzony i zdezorientowany jak ty. Oczywiście, że Rossem nie jest Drugą Fundacją. Musielibyśmy być szaleni, żeby sprowadzić naszego największego wroga na swój świat.

Niech twoja flota zbombarduje Rossema, jeśli uważasz, że tak musi być. Niech zniszczą ile mogą. W najgorszym razie zabiją tylko Channisa i mnie, a, to w najmniejszym stopniu nie poprawi twojej sytuacji. Bo musisz wiedzieć, że uczestnicy wyprawy fundacyjnej na Rossema, którzy przez trzy lata grali rolę Starszych w tej wsi, wczoraj wsiedli na statek i udali się prosto na Kalgan. Oczywiście umkną twojej flocie i zjawią się na Kalganie przynajmniej dzień przed tobą. Jeśli nie cofnę wydanego wcześniej rozkazu, to po powrocie zastaniesz bunt w całym swoim imperium, twoje państwo rozpadnie się i tylko ci ludzie, którzy są tu teraz z tobą, pozostaną ci wierni. Będą bezradni wobec przygniatającej przewagi. I, co więcej, ludzie z Drugiej Fundacji znajdą się przy flocie, którą pozostawiłeś w domu, i dopilnują, żebyś znowu kogoś nie odmienił. Koniec z twoim imperium, mutancie!

Muł wolno pochylił głowę. Jego umysł ogarnęły zupełnie gniew i rozpacz.

— Tak — rzekł cicho. — Jest już za późno… Za późno… Teraz to widzę.

W tym momencie Pierwszy Mówca, który tylko czekał na tę chwilę i był pewien, że musi ona nastąpić, szybko wniknął w ogarnięty rozpaczą i dlatego otwarty umysł Muła. Trzeba było zaledwie drobnego ułamka sekundy, aby dokończyć dzieła i przypieczętować przemianę. Muł podniósł głowę i spytał.

— Więc wrócę na Kalgan?

— Oczywiście. Jak się czujesz?

— Znakomicie. — Uniósł w górę brwi — Kim jesteś?

— Czy to ważne?

— Oczywiście, że nie. — Przestał się tym interesować i szturchnął Pritchera w ramię: — Obudź się, Pritcher, wracamy do domu.

Dwie godziny później Bail Channis na tyle odzyskał siły, że mógł iść sam.

— Czy nigdy sobie tego nie przypomni? — spytał.

— Nigdy. Zachował swoje zdolności i swoje imperium, ale jego motywacja jest teraz zupełnie inna. Jest entuzjastą pokoju. Nazwa „Druga Fundacja" nic mu nie mówi. Odtąd będzie też o wiele szczęśliwszy przez tych kilka lat życia, jakie mu pozostały przy jego nędznej konstrukcji fizycznej. A po jego śmierci Plan Seldona będzie się jakoś urzeczywistniał.

— A czy to prawda — spytał z naciskiem Channis — czy to prawda, że Rossem nie jest Drugą Fundacją? Mógłbym przysiąc… mówię panu — ja wiem, że jest. Nie zwariowałem.

— Nie zwariowałeś, Channis. Po prostu, jak już mówiłem, zostałeś zmieniony. Rossem nie jest Drugą Fundacją. Chodź! My też wrócimy do domu.

Ostatnie interludium

Bail Channis siedział w małym, wyłożonym białymi kafelkami pokoju i pozwalał umysłowi odpocząć. Był zadowolony z życia. Były ściany, i okno, i trawa za oknem. Nie miały nazw. Po prostu były. Było łóżko, i krzesło, i książki, które ukazywały się leniwie na ekranie u stóp jego łóżka. Była pielęgniarka, która przynosiła posiłki.

Początkowo starał się ułożyć w całość strzępki tego, co słyszał. Na przykład, strzępki tej oto rozmowy między dwoma mężczyznami.

Jeden z nich mówił:

— Całkowita afazja. Wszystko usunięte i, myślę, bez szkody. Trzeba tylko będzie wprowadzić na powrót zapis jego pierwotnej struktury fal zmian potencjału elektrycznego mózgu.

Zapamiętał dokładnie te dźwięki. Z jakiegoś powodu były to szczególne dźwięki — jak gdyby coś znaczyły. Ale po co się martwić.

Lepiej oglądać piękne, zmieniające się kolory na ekranie u stóp łóżka, na którym leży.

A potem ktoś wszedł i coś z nim robił i ogarnął go sen. Spał długo.

A kiedy sen minął, łóżko stało się nagle łóżkiem i zrozumiał, że jest w szpitalu, a słowa, które zapamiętał, nabrały sensu.

Siadł na łóżku.

— Co tu się dzieje?

Obok niego stał Pierwszy Mówca.

— Jesteś w Drugiej Fundacji i z powrotem masz swój umysł — swój oryginalny umysł.

— Tak! Tak! — Channis uświadomił sobie, że znowu jest sobą i było to tryumfalne i radosne uczucie.

— A teraz powiedz mi — rzekł Pierwszy Mówca — wiesz, gdzie jest Druga Fundacja?

Olśniło go. Z wrażenia nie mógł nic powiedzieć. Channis, jak niegdyś Ebling Mis, nie posiadał się ze zdumienia.

W końcu skinął głową i przemówił: — Na Gwiazdy Galaktyki, teraz wiem!

CZĘŚĆ II
FUNDACJA SZUKA

7. Arkadia

DARELL ARKADIA
powieściopisarka, 05. 322 — 1. 07. 443 e f. Jej najbardziej znanym dziełem nie jest powieść, lecz biografia jej babki, Bayty Darell. Oparta na informacjach z pierwszej ręki, książka ta przez wiele stuleci była głównym źródłem wiadomości o Mule i jego czasach. […]. Powieść „Raz, dwa i koniec", podobnie jak „Nieuporządkowane wspomnienia", jest porywającym opisem życia wyższych sfer kalgańskich w okresie wczesnego Bezkrólewia, opartym podobno na własnych spostrzeżeniach autorki z młodzieńczej podróży na Kalgan…

Encyklopedia Galaktyczna

Arkadia Darell wyrecytowała zdecydowanym głosem do mikrofonu zapisywarki „A. Darell. Przyszłość Planu Seldona" i pomyślała, że kiedy już zostanie wielką pisarką, wszystkie swoje dzieła będzie ogłaszać pod pseudonimem „Arkady". Po prostu Arkady. Bez żadnego nazwiska.

„A. Darell"… W ten sposób musiała podpisywać wszystkie wypracowania z kompozycji i stylistyki — coś okropnego! Musiały to robić wszystkie dzieci, z wyjątkiem Olynthusa Dama, bo kiedy zrobił to pierwszy raz, cała klasa pokładała się ze śmiechu. Arkadia to było imię dobre dla małej dziewczynki. Tak się nazywała jej prababka. No i co z tego? Trzeba w ogóle nie mieć wyobraźni, żeby dać dziecku takie imię.

Teraz, kiedy skończyła już czternaście lat, mogliby wreszcie przyjąć do wiadomości prosty fakt, że jest już dorosła i zacząć ją nazywać „Arkady". Zacisnęła usta, bo przypomniało się jej jak ojciec oderwał się na chwilę od swego czytnika, żeby powiedzieć: „Ależ, Arkadio, jeśli chcesz teraz udawać, że masz dziewiętnaście lat, to co zrobisz, kiedy będziesz miała dopiero dwadzieścia pięć, a wszyscy chłopcy będą myśleć, że masz trzydziestkę?" Z głębi fotela, gdzie siedziała wygodnie rozparta, z nogami przerzuconymi przez poręcz, widziała lustro na toaletce. Nie mogła jednak dokładnie ujrzeć swego odbicia, gdyż przesłaniał je papuć dyndający na prawej stopie.

Podciągnęła nogę i wyprostowała się, wyciągając sztywno szyję, dzięki czemu zyskała dobre dwa cale i nabrała bardziej — jej zdaniem — dystyngowanego wyglądu.

Przez chwilę przyglądała się krytycznie swej twarzy. „Za szeroka” — zdecydowała. Nie otwierając ust, rozsunęła szczęki o pół cala i z lustra spojrzało na nią oblicze o zapadniętych policzkach. Szybkim muśnięciem języka zwilżyła i odęła usta. Potem na wpół opuściła powieki, niczym znużona, światowa dama. „Ojej, gdyby tylko nie te idiotycznie różowe policzki!” — westchnęła w duchu.

Przyłożyła palce do zewnętrznych kącików oczu i spróbowała podciągnąć je lekko do góry, aby nadać im ów egzotyczny wyraz tajemniczej tęsknoty, tak charakterystyczny dla kobiet ze środkowych systemów gwiezdnych, ale ręce zasłaniały jej obraz i nie mogła dojrzeć efektu swych zabiegów.

Potem wysunęła brodę do przodu, obróciła się półprofilem do lustra i zezując z wysiłkiem i mężnie znosząc ból karku, powiedziała głosem o oktawę niższym od swego normalnego tonu: „No wiesz, tato, jeśli uważasz, że obchodzi mnie choć trochę to, co jacyś durni chłopcy będą o mnie myśleć, to po prostu…” i w tej samej chwili uświadomiła sobie, że cały czas trzyma w ręku włączony mikrofon, jęknęła „Ojej!” i wyłączyła zapisywarkę.

Na jasnoliliowym papierze z szerokim brzoskwiniowym marginesem z lewej strony widniało:

„PRZYSZŁOŚĆ PLANU SELDONA No wiesz, tato, jeśli uważasz, że obchodzi mnie choć trochę to, co jacyś durni chłopcy będą o mnie myśleć, to po prostu Ojej!” Wyciągnęła ze złością kartkę z maszyny. Na jej miejscu pojawiła się natychmiast druga.

Arkadia rozchmurzyła się jednak szybko, a na jej małych, szerokich ustach pojawił się uśmiech zadowolenia. Delikatnie podniosła papier do nosa i wciągnęła jego zapach. Akurat taki, jak powinien być. Wdzięk i elegancja. To jest to. A charakter pisma — ostatni krzyk mody!

Maszynę dostarczono dwa dni temu, w jej pierwsze dorosłe urodziny. W sklepie powiedziała: „Ależ tato, każdy — naprawdę każdy w klasie, kto ma choć odrobinę ambicji i chce być kimś, ma taką. Ręcznych maszyn używają tylko skończone ofermy…” A sprzedawca powiedział: „To najlepszy model. Nie zajmuje dużo miejsca, a z drugiej strony jest absolutnie uniwersalna. Pisze zgodnie ż zasadami ortografii i interpunkcji. Naturalnie, bardzo pomaga w nauce, gdyż zmusza użytkownika do starannej wymowy, która jest warunkiem poprawnej pisowni, nie mówiąc już o tym, że aby interpunkcja była właściwa, użytkownik musi odpowiednio akcentować grupy wyrazów w zdaniu”.

Mimo to, ojciec próbował kupić jakąś zapisywarkę z pismem

maszynowym, jak gdyby Arkadia była zasuszoną starą panną.

W końcu dopięła jednak swego i dostarczono model, który chciała — choć wymagało to z jej strony chyba trochę za dużo, jak na dorosłą czternastolatkę, jęków i zawodzeń i każda kartka zapisana była pełnym wdzięku, kobiecym pismem ręcznym o najpiękniejszych inicjałach.

Nawet tak nieodpowiedni wykrzyknik jak „Ojej!" wydawał się pełen czaru, gdy został utrwalony przez zapisywarkę. Tak czy inaczej, musiała to zrobić. Usiadła prosto na fotelu, wciągnęła brzuch i wypięła pierś do przodu, ułożyła przed sobą brudnopis i zaczęła od nowa. wyraźnie i dokładnie, starannie akcentując słowa.

„Przyszłość Planu Seldona.

Jestem pewna, że wszyscy, którzy mają szczęście zdobywać wiedzę w znakomitych szkołach naszej planety, pod kierunkiem świetnych pedagogów, znają dobrze minioną historię Fundacji.

(To jest dobre! Na pewno spodoba się tej starej wiedźmie, pannie Erkling.)

Ta miniona historia jest w dużej mierze historią wielkiego Planu Hariego Seldona. Stapiają sit? one ze sobą w jedno. Ale dziś większość ludzi zadaje sobie pytanie, czy wszystko będzie sit; nadal rozgrywać zgodnie z tym mądrym planem, czy też zostanie on podle zniszczony, a może — |uż został zniszczony.

Aby to zrozumieć, najlepiej jest chyba przeanalizować w skrócie pewne zasadnicze punkty tego planu, w takiej kolejności, w jakiej zostały objawione ludzkości.

(Ta część była łatwa, bo w poprzednim semestrze przerabiała historię współczesną.) Prawie czterysta lat temu, w czasach kiedy Pierwsze Imperium Galaktyczne ogarniał paraliż poprzedzający śmierć, jeden człowiek — wielki Hari Seldon — przewidział zbliżający się koniec. Dzięki psychohistorii, nauce, której zawiłe ruwnania zostały już dawno temu zupełnie zapomniane.

(Przerwała na chwilę, gdyż ogarnęły ją wątpliwości. Nie była pewna, czy „ruwnanie" pisze się przez „u" czy przez „ó". No, ale przecież maszyna nie może się mylić — zdecydowała.) Seldon i ludzie, którzy z nim pracowali, mogli przewidzieć kierunek wielkich gospodarczych i społecznych procesów zachodzących wówczas w Galaktyce. Uświadomili oni sobie, że imperium runie, a nim powstanie nowe imperium, minie przynajmniej trzydzieści tysięcy lat, w czasie których Galaktyka pogrążona będzie w anarchii i chaosie.

Było już za późno, aby zapobiec Wielkiemu Upadkowi, ale jeszcze czas, aby przynajmniej skrócić okres chaosu. Dlatego też obmyślono Plan, zgodnie z którym Drugie Imperium oddzielałby od Pierwszego tylko tysiąc lat. Dobiega właśnie końca czwarte stulecie tego millenium. Ludzie rodzili się, pracowali i umierali, ale Plan trwał i

kierował poczynaniami kolejnych pokoleń.

Hari Seldon założył dwie Fundacje na przeciwnych krańcach Galaktyki, dobierając warunki, które miały zagwarantować najlepsze matematyczne rozwiązanie jego psychohistorycznego zadania. W jednej z nich, naszej Fundacji, założonej tu, na Terminusie, skoncentrowano całą techniczną naukę Imperium. Dzięki tej nauce Fundacja potrafiła oprzeć się atakom barbarzyńskich królestw, które oderwały się od Imperium i zdobyły niezależność.

Prawdę mówiąc, Fundacja, pod przywództwem szeregu mądrych i dzielnych ludzi, takich jak Salvor Hardin i Hober Mallow, którzy potrafili inteligentnie interpretować Plan i prowadzić nasz kraj zwycięsko przez wszystkie trudności, wynikające z jego zawiłych (tu także napisała w brudnopisie „ruwnań", ale wolała nie ryzykować drugi raz) obliczeń, zdołała nawet podbić te królestwa. Minęły wieki, ale nasze planety wciąż czczą pamięć tych przywódców.

W końcu Fundacja powołała do życia system polityczno-gospodarczy, który objął znaczną część sektorów siwenijskiego i anakreońskiego, i nawet pobiła armię starego Imperium, którą dowodził jego ostatni generał, Bel Riose. Wydawało się, że teraz nic już nie może powstrzymać biegu wydarzeń zaplanowanego przez Seldona. Każdy z kryzysów przewidzianych przez Seldona nadszedł w odpowiednim momencie i został przezwyciężony, a każdy szczęśliwie zakończony kryzys oznaczał kolejny, olbrzymi krok w kierunku Drugiego Imperium i pokoju.

I wtedy (w tym miejscu zabrakło jej tchu i ostatnie słowa wysyczała przez zęby, ale maszyna zapisała je ze zwykłym wdziękiem), kiedy po Pierwszym Imperium pozostało już tylko wspomnienie, a wojowniczy, lecz nieudolni, udzielni władcy królowali nad szczątkami zmurszałego kolosa (ten ostatni zwrot wzięła z dreszczowca, który oglądała na video w ubiegłym tygodniu, ale panna Erkling nie słuchała niczego oprócz symfonii i wykładów, więc nigdy na to nie wpadnie), pojawił się Muł.

Plan nie uwzględniał możliwości pojawienia się takiego dziwnego człowieka. Muł był mutantem, którego narodzin nie sposób było przewidzieć. Posiadał on dziwną i tajemniczą moc odkrywania ludzkich emocji i manipulowania nimi w sposób, który naginał poczynania wszystkich ludzi do jego woli. Z zadziwiającą szybkością stał się zdobywcą i twórcą imperium. W końcu podbił samą Fundację.

Nie zdołał jednak zapanować nad całą Galaktyką, gdyż w decydującej fazie podboju został powstrzymany przez mądrą i dzielną kobietę (Tu znowu pojawia się stary problem. Ojciec stale nalega na nią, aby nie chwaliła się, że jest wnuczką słynnej Bayty Darell. Wszyscy o tym wiedzą, a Bayta była chyba największą kobietą wszystkich czasów i sama, bez żadnej pomocy, powstrzymała Muła), a

sposób, w jaki tego naprawdę dokonała, znany jest w szczegółach tylko nielicznym osobom. (To jest dobre! Jeśli będzie to musiała przeczytać przed całą klasą, ostatnie zdanie trzeba będzie wymówić tajemniczym tonem i wtedy na pewno ktoś zapyta, jaki to był naprawdę sposób, i wtedy, no i wtedy będzie musiała powiedzieć całą prawdę. Przecież ją zapytano, tak czy nie? W wyobraźni układała już sobie długie wyjaśnienie, które złoży z urażoną miną surowemu i dociekliwemu rodzicowi.) Po pięciu latach panowania nad zajętym uprzednio obszarem nastąpiła kolejna zmiana i Muł z nieznanych powodów zarzucił plany dalszego podboju. Ostatnie pięć lat jego władania to okres absolutnych, lecz łagodnych rządów.

Niektórzy utrzymują, że zmiana w postępowaniu Muła była skutkiem interwencji Drugiej Fundacji. Jednakże nikt nigdy nie odkrył położenia tej Drugiej Fundacji. Nie wiadomo również dokładnie, na czym polega jej rola, tak więc na poparcie tej teorii nie ma żadnego dowodu.

Od śmierci Muła dzieli nas już całe pokolenie. Jak więc teraz, po okresie jego panowania, przedstawia się przyszłość? Muł wtargnął w Plan Seldona i wydawało się, że zniszczył go zupełnie, jednak gdy tylko umarł, Fundacja znowu powstała niczym ,,nowav z popiołów umierającej gwiazdy. (Ten zwrot sama wymyśliła.) l znowu planeta Terminus jest centrum federacji polityczno-handlowej, prawie tak potężnej i bogatej jak jej poprzedniczka z czasów przed podbojem, a przy tym nawet bardziej demokratycznej i spokojnej.

Czy zostało to zaplanowane? Czy wspaniały projekt Seldona jest nadal realny? Czy za sześćset lat zostanie jednak stworzone Drugie Imperium Galaktyczne? Osobiście wierzę, że tak, gdyż (To jest bardzo istotna część. Panna Erkling zawsze gryzmoli swoim czerwonym ołówkiem uwagi w rodzaju: „To jest tylko opis. Gdzie twoja własna opinia? Pomyśl! Wyraź swoje zdanie! Przedstaw swoje uczucia!" Przedstaw swoje uczucia. Akurat! Co ona z tą swoją cierpką jak cytryna miną i ustami, które chyba nigdy w życiu nie złożyły się do uśmiechu, może wiedzieć o uczuciach…) sytuacja polityczna nigdy nie była tak korzystna jak teraz. Stare imperium już od dawna nieistnieje, a panowanie Muła położyło kres poprzedzającej je epoce wojowniczych królestw. Większa część otaczających nas obszarów Galaktyki to cywilizowane i nastawione pokojowo państwa.

Co więcej, sprawy wewnątrz samej Fundacji mają się lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Minęły bezpowrotnie czasy dziedzicznej władzy burmistrzów. Mamy teraz demokratyczne wybory. Nie istnieją już dysydenckie światy niepodległych Handlarzy, nie ma już niesprawiedliwości i zaburzeń, które towarzyszyły akumulacji wielkiego kapitału w rękach nielicznej grupy osób.

Nie ma zatem żadnego powodu, żeby obawiać się niepowodzenia,

chyba że prawdą jest, iż Druga Fundacja przedstawia swym istnieniem niebezpieczeństwo. Ci, którzy tak myślą, nie mają żadnych dowodów na poparcie swej opinii i opierają się tylko na przesądach i niejasnych obawach. Myślę, że wiara w siebie, w swój naród i w wielki Plan Seldona powinna usunąć z naszych serc wszelkie wątpliwości i (Hmm. Było to strasznie napuszone, ale panna Erkling lubiła takie zakończenia) powiadam…" Na tym zakończyło się na razie wypracowanie na temat „Przyszłość Planu Seldona", gdyż ktoś delikatnie zapukał do okna i kiedy Arkadia złapała z trudem równowagę na poręczy fotela, ujrzała za szybą uśmiechniętą twarz, której równe, symetryczne rysy interesująco podkreślała krótka, pionowa linia palca położonego na ustach.

Po chwili, koniecznej dla przyjęcia postawy zaskoczenia, Arkadia zeszła z fotela, podeszła do tapczanu stojącego pod szerokim oknem, w którym widniała zjawa, uklękła na nim i uważnie przyjrzała się niezwykłemu gościowi.

Uśmiech szybko znikł z twarzy mężczyzny. Trzymając się parapetu tak kurczowo, że aż zbielały mu palce, drugą ręką zaczął dawać jej znaki, że ma otworzyć okno. Arkadia posłuchała go bez słowa i przekręciła klamkę wpuszczając dolną część okna w otwór w murze. Do klimatyzowanego pokoju napłynęło świeże, wiosenne powietrze.

— Nie może pan wejść — powiedziała swobodnym tonem. — Wszystkie okna są ekranowane i dostępne tylko dla osób, które tu mieszkają. Jeśli spróbuje pan wejść, włączy się alarm — przerwała na chwilę, a potem dodała — głupio pan wygląda, balansując tak na tym występie pod oknem. Jeśli będzie pan nieostrożny, spadnie pan i skręci kark oraz zniszczy dużo cennych kwiatów.

— W takim razie — rzekł mężczyzna za oknem, który pomyślał to samo, inaczej wszakże umieszczając przymiotniki — może byś wyłączyła alarm i wpuściła mnie do środka?

— Nic z tego — odparła Arkadia. Prawdopodobnie chodzi panu o inny dom, boja nie należę do tych dziewcząt, które wpuszczają obcych mężczyzn do swoich… do swojej sypialni w środku nocy. — Kiedy to mówiła, jej oczy przybrały wyraz z trudem hamowanego gniewu, a w każdym razie starała się, żeby tak to wypadło.

Z twarzy intruza zniknęły resztki wesołości.

— To nie jest dom doktora Darella? — wyjąkał.

— Niby dlaczego mam panu odpowiedzieć?

— Och, na Galaktykę… Do widzenia…

— Jeśli pan zeskoczy, młody człowieku, to sama włączę alarm. (Była to zamierzona i, zdaniem Arkadii, wyrafinowana ironia, gdyż jej bystre oczy już dawno spostrzegły, że intruz był, dobrze po trzydziestce — całkiem stary, prawdę mówiąc). „Młody człowiek"

milczał.

Potem rzekł sztywno:

— Słuchaj no, dziewczyno, jeśli nie chcesz mnie wpuścić i nie pozwalasz odejść, to co wobec tego mam zrobić?

Myślę, że może pan wejść. To dom doktora Darella. Teraz wyłączę alarm.

Młodzieniec popatrzył badawczo na okno, przełożył ostrożnie rękę przez parapet, podciągnął się i wskoczył do pokoju. Otrzepał ze złością spodnie na kolanach i podniósł głowę.

— Jesteś pewna, że twój honor i reputacja nie ucierpią, jeśli ktoś znajdzie mnie tutaj?

— Na pewno mniej niż pana, bo jak tylko usłyszę kroki za drzwiami, podniosę wrzask, że wdarł się pan tutaj siłą.

Tak? — spytał ironicznie. — A jak wyjaśnisz, że wyłączyłaś alarm?

— Phi! Całkiem prosto. Nie ma tu żadnego ekranu ani systemu alarmowego.

Spojrzał na nią ze smutkiem.

— A więc to była blaga? Ile masz lat, dziecko?

— Cóż za impertynenckie pytanie, młody człowieku! Nie przywykłam do tego, żeby nazywać mnie dzieckiem.

— Nie dziwi mnie to. Prawdopodobnie jesteś babką Muła w przebraniu. Nie masz nic przeciw temu, że oddalę się z tego pachnącego samosądem przyjęcia, gdzie mam występować jako główny aktor?

— Lepiej niech pan nie odchodzi, bo ojciec czeka na pana.

Przybysz znowu spojrzał na nią badawczo. Uniósł w górę jedną brew i spytał lekkim tonem:

— Ach, tak? Jest ktoś u niego?

— Nie.

— A odwiedził go ktoś ostatnio? Tylko dostawcy… no i pan.

— A może zdarzyło się coś niezwykłego?

— Tylko pana wizyta.

— Zapomnij o tym, dobrze? Nie, zaraz… Powiedz mi, skąd wiesz, że twój ojciec czeka na mnie?

— O, to całkiem proste. W zeszłym tygodniu otrzymał kapsułkę osobistą, taką, którą tylko on mógł otworzyć, no wie pan, z samoutleniającą się depeszą w środku. Wyrzucił kopertę do dezintegratora, wczoraj dał Poli — to nasza pokojówka, wie pan — miesiąc wolnego, żeby mogła odwiedzić siostrę w stolicy, a dziś po południu przygotował łóżko w nieużywanym pokoju. Domyśliłam się więc, że spodziewa się kogoś i nie chce, żebym o tym wiedziała. Normalnie mówi mi o wszystkim.

— Coś takiego! Dziwię się, że musi to robić. Pomyślałbym raczej,

że wiesz wszystko, zanim zdąży ci powiedzieć.

— Zwykle tak jest — roześmiała się,. Zaczynała się czuć bardzo swobodnie. Mężczyzna był starszawy, ale ze swymi kasztanowymi włosami i niebieskimi oczami wyglądał bardzo dystyngowanie; Może kiedyś, kiedy sama będzie stara, spotka kogoś takiego.

— A w jaki sposób — spytał — doszłaś do tego, że to właśnie na mnie czeka?

— A na kogo innego miałby czekać? Czekał w takiej tajemnicy przed wszystkimi — jeśli wie pan o co mi chodzi — a tu nagle zjawia się pan i zamiast wejść normalnie, przez drzwi, co powinien pan był zrobić, gdyby miał pan choć trochę rozsądku, próbuje się pan wśliznąć ukradkiem przez okno. — Przypomniała sobie ulubioną sentencję i natychmiast ją wyrecytowała: — Mężczyźni są tacy głupi!

— Nie jesteś trochę przemądrzała, dziecko? Chciałem powiedzieć „panno". Może się jednak mylisz, co? Co powiesz, jeśli ci wyznam, że to wszystko jest dla mnie zupełnie niezrozumiałe i o ile się orientuję, twój ojciec czeka nie na mnie, lecz na kogoś innego.

— Nie sądzę, żeby tak było. Pozwoliłam panu wejść dopiero wtedy, kiedy upuścił pan swój neseser.

— Co upuściłem?

— Neseser, młody człowieku. Nie jestem ślepa. Nie upuścił pan go niechcący, bo najpierw spojrzał pan w dół, żeby się upewnić, czy spadnie w dobrym miejscu. Musiał się pan zorientować, że upadnie pod żywopłotem, gdzie nie będzie go widać, więc upuścił pan go i więcej nie patrzył na dół. A skóro podszedł pan pod okno, a nie pod drzwi frontowe, to znaczy, że obawiał się pan wejść do domu, nie zbadawszy najpierw dokładnie tego miejsca. A po tej drobnej utarczce ze mną zamiast o siebie zatroszczył się pan najpierw neseser, co znaczy, że to, co jest w tym neseserze, jest dla pana ważniejsze niż własne bezpieczeństwo, a to z kolei znaczy, że dopóki jest pan tutaj, a neseser na dworze, a dobrze wiemy, że tam jest, jest pan zupełnie bezradny.

Przerwała, żeby zaczerpnąć tchu po tej długiej przemowie i mężczyzna mógł wreszcie dojść do głosu. Rzekł, zgrzytając zębami:

— Owszem, z tą drobną poprawką, że cię zaraz tak przyduszę, że ani zipniesz i wyjdę stąd, to z neseserem.

— Owszem, z tą drobną poprawką, młody człowieku, że mam akurat pod łóżkiem dobry kij do baseballu, i wystarczą mi dwie sekundy, żeby go stamtąd wyciągnąć, a jestem wyjątkowo silna jak na dziewczynę.

Sytuacja była bez wyjścia. W końcu „młody człowiek" powiedział ze sztuczną uprzejmością:

— Może się przedstawię, skoro zdążyliśmy się już tak zaprzyjaźnić. Jestem Pelleas Anthor. A ty?

— Jestem Arkad… Arkady Darell. Miło mi poznać pana.

— A więc, Arkady, bądź miłą dziewczynką i przyprowadź tu tatusia, dobrze?

Arkadia żachnęła się.

— Nie jestem żadną dziewczynką. Uważani, że jest pan bardzo nieuprzejmy, tym bardziej, że prosi pan o przysługę.

Pelleas Anthor westchnął.

— Najmocniej przepraszam. Bądź, o czcigodna pani, prawdziwą starą damą i racz sprowadzić tu swego ojca.

— To mi się też nie podoba, ale go zawołam. Tylko niech pan nie myśli, że spuszczę pana z oka, młody człowieku — i tupnęła nogą w podłogę.

W przedpokoju rozległ się odgłos szybkich kroków i drzwi, pchnięte z impetem, rozwarły się na oścież.

— Arkadio… — doktor Darell zakrztusił się z wrażenia i przerwał na chwilę, a doszedłszy do siebie spytał:

— Kim pan jest?

Pelleas z wyraźną ulgą poderwał się z fotela.

— Doktor Toran Darell? Jestem Pelleas Anthor. Przypuszczam, że dostał pan wiadomość ode mnie. W każdym razie tak mówi pana córka.

— Tak mówi moja córka? — doktor Darell zmarszczył się i spojrzał groźnie na Arkadię, która wyglądała niczym wcielenie niesłusznie podejrzanej niewinności.

W końcu powiedział:

— Czekałem na pana. Może zejdziemy na dół? — zatrzymał się, gdyż kątem oka dostrzegł ruch, który w tej samej chwili spostrzegła również Arkadia.

Skoczyła ku zapisywarce, ale nie zdało się to na nic, bo ojciec był już przy maszynie. Powiedział słodkim głosem:

— Zostawiłaś ją włączoną, Arkadio.

— Tato — jęknęła z nieudawanym bólem — gentelman nie czyta cudzej prywatnej korespondencji, szczególnie jeśli jest ona nagrana.

— Ach, tak — odparł ojciec — korespondencja w formie rozmowy z obcym mężczyzną w twojej sypialni. Arkadio, jako ojciec, muszę dbać o ciebie.

— O rany… to nie to, co myślisz.

Pelleas nagle wybuchnął śmiechem.

— Właśnie, że tak, doktorze Darell. Ta młoda dama miała zamiar oskarżyć mnie o niegodziwe zamiary, więc proszę, żeby pan to przeczytał, choćby dlatego, żeby oczyścić mnie z zarzutów.

— Och… — Arkadia z trudem powstrzymywała łzy. Nie ufał jej własny ojciec. I ta przeklęta ni zapisywarka… że też ten idiota musiał znaleźć się właśnie za jej oknem, żeby zapomniała wyłączyć maszynę.

A teraz ojciec, swoim zwyczajem, wygłosi długą, pouczającą mowę na temat tego, co nie przystoi pannie w jej wieku. Wyglądało na to, że po prostu nic nie przystoi pannie w jej wieku, chyba tylko umrzeć.

— Arkadio — rzekł łagodnie ojciec — wydaje mi się, że panna w twoim wieku…

Wiedziała. Wiedziała.

— … nie powinna odnosić się tak niegrzecznie do osób starszych od siebie.

— No to czemu mnie podglądał? Dziewczyna w moim wieku ma prawo do samotności… Teraz muszę pisać to przeklęte wypracowanie od nowa.

— Nie twoja sprawa dochodzić tego, czy zachował się właściwie przychodząc pod twoje okno, czy nie. Po prostu nie powinnaś go była wpuścić. Trzeba było natychmiast mnie zawołać… zwłaszcza jeśli myślałaś, że czekam na niego.

— Lepiej by było, żebyś się z nim nie spotkał. , tak się wygłupiać — powiedziała ze złością. — Wyda wszystko, jeśli będzie dalej chodził pod oknami zamiast podejść pod drzwi.

— Arkadio, nikt cię nie prosi, żebyś zabierała głos w sprawach, o których nic nie wiesz.

— Właśnie, że wiem Chodzi o Drugą Fundację.

Zapadło milczenie. Nawet Arkadia poczuła nerwowy skurcz w żołądku — Gdzie to słyszałaś? — spytał łagodnie doktor Darell.

— Nigdzie, ale czy może być inny powód, żeby robić z tego taką tajemnicę? Nie martw się — nikomu o tym nie powiem.

— Panie Anthor — rzekł doktor Darell przepraszam pana za to wszystko.

— Nic się nie stało — odparł Anthor bez przekonania. — To nie pana wina, że córka ma konszachty z siłami ciemności. Czy mógłbym ją o coś spytać, zanim wyjdziemy? Arkadio…

— Czego pan chce?

— Dlaczego uważasz, że wygłupiam się chodząc pod oknami, zamiast zadzwonić do drzwi?

— Dlatego, że w ten sposób oznajmia pan wszystkim, że chce coś ukryć. Kiedy mam jakiś sekret, to nie zalepiam sobie ust plastrem, żeby wszyscy wiedzieli, że coś ukrywam. Mówię tyle samo, co normalnie, tylko że nie o tym sekrecie. Nigdy nie czytał pan powiedzonek Salvora Hardina? To był nasz pierwszy burmistrz, wie pan.

— Akurat wiem.

— Hardin zawsze powtarzał, że ludzie uwierzą tylko takiemu kłamcy, który łże nie mrugnąwszy okiem i nie wstydzi się tego, co mówi. Oraz że nic z tego, co się mówi, nie musi być prawdą, ale za to wszystko musi brzmieć tak, jakby było prawdą. No a kiedy włazi pan

przez okno, to zachowuje się pan jak kłamca, który wstydzi się swoich słów, a to, co pan robi, z daleka już wydaje się podejrzane.

— A co ty byś zrobiła na moim miejscu?

— Gdybym chciała spotkać się z ojcem w sprawie ściśle tajnej, to postarałabym się zawrzeć z nim znajomość w szerszym towarzystwie, a potem spotykać się z nim zupełnie jawnie w najróżniejszych sprawach. A kiedy już wszyscy znaliby mnie dobrze i uważaliby za coś zupełnie naturalnego, że przebywam często w towarzystwie ojca, to mogłabym rozmawiać z nim do woli o największych sekretach i nikomu nie przyszłoby do głowy, że właśnie o to mi chodzi, Anthor spojrzał dziwnym wzrokiem na dziewczynę, a potem na doktora Darella. — Chodźmy — powiedział. — Muszę zabrać neseser z ogrodu. Chwileczkę! Arkadio, w rzeczywistości wcale nie masz kija do baseballu pod łóżkiem, prawda?

Prawda — Ha! Nie myślałem tak wtedy.

Stojąc już w drzwiach, doktor Darell odwrócił się

— Arkadio — powiedział — kiedy będziesz pisała na nowo to wypracowanie na temat Planu Seldona, me musisz otaczać taką tajemnicą swojej babki. W ogóle nie wspominaj o niej.

Schodzili po schodach w milczeniu. W pewnym momencie Pelleas odezwał się nienaturalnym głosem.

Przepraszam, czy mogę o coś spytać? Ile ona ma lat?

— Przedwczoraj skończyła czternaście.

— Czternaście? Wielka Galaktyko! Proszę mi powiedzieć, czy kiedykolwiek wspominała o tym, że ma zamiar w przyszłości wyjść za mąż?

— Nie, nigdy Przynajmniej nie przy mnie.

— Jeśli kiedyś to zrobi, niech pan go natychmiast zastrzeli. To znaczy, tego, którego będzie chciała poślubić. — Spojrzał Darellowi prosto w oczy. — Mówię zupełnie poważnie. Nie może być nic bardziej okropnego niż życie z nią, kiedy skończy dwadzieścia lat. Proszę mi wierzyć — nie myślę pana obrazić.

— Nie obraził mnie pan. Wiem, co pan myśli Na górze przedmiot ich sympatycznej rozmowy zasiadł z nadąsaną miną przed zapisywarką i rzekł znudzonym głosem „Przyszłość — planu Seldona” Zapisywarka przełożyła to natychmiast, z nieograniczoną pewnością siebie, na elegancki, kunsztowny napis „Przyszłość Planu Seldona”

8. PLAN SELDONA

MATEMATYKA — synteza rachunku n-zmiennych i n-wymiarowej geometrii jest podstawą tego, co Seldon nazwał niegdyś swoją „małą algebrą ludzkości”

Encyklopedia Galaktyczna

Wyobraźmy sobie pokój. Nim jest w tej chwili istotne, w jakim miejscu znajdował się ten pokój. Wystarczy tylko powiedzieć, że koncentrowało się w nim życie Drugiej Fundacji.

Pokój ten był od stuleci przybytkiem czystej nauki, lecz nie było w nim żadnego z instrumentów, które — od tysięcy lat wiązane nierozłącznie z nauką — stały się niemal jej synonimem. Nauka, którą uprawiano w tym pokoju, zajmowała się jedynie pojęciami matematycznymi, a jej metody były bardzo zbliżone do spekulacji intelektualnych mędrców żyjących w prehistorycznych, okrytych mrokiem zapomnienia czasach, w których nie znano inżynierii, a rodzaj ludzki zamieszkiwał tylko jeden świat, nie wiadomo już dziś który.

W pokoju tym, chronionym przez naukę zajmującą się umysłem, naukę, której w owym czasie nie była w stanie przeciwstawić się cała fizyczna potęga reszty Galaktyki, znajdował się Pierwszy Radiant zawierający cały Plan Seldona.

Poza tym w tej chwili znajdował się tam także człowiek — Pierwszy Mówca.

Był on już dwunastym z rzędu głównym strażnikiem Planu, a jego tytuł znaczył tylko tyle, że podczas zebrań przywódców Drugiej Fundacji on pierwszy zabierał głos.

Jego poprzednik pokonał Muła, ale na drodze prowadzącej do realizacji Planu nadal piętrzyły się przeszkody będące skutkiem działalności mutanta. Od dwudziestu pięciu lat Pierwszy Mówca, wraz z całą Drugą Fundacją, starał się skierować upartą i niemądrą ludzkość z powrotem na tę drogę. Było to niezwykle trudne zadanie.

Uniósł głowę i spojrzał na otwierające się drzwi. Mimo że pogrążony był w rozmyślaniach nad ćwierćwieczem wysiłków, które teraz wolno, lecz nieubłaganie zbliżały się do punktu kulminacyjnego, mimo iż zdawał się całkowicie pochłonięty analizą sytuacji, jego umysł natychmiast zareagował na ten widok. Wiedział, kto wejdzie do pokoju. Uczeń, jeden z tych, którzy z. a jakiś czas przejmą ster władzy

— pomyślał życzliwie Młody człowiek zatrzymał się niepewnie w drzwiach, więc Pierwszy Mówca podszedł do niego, położył mu przyjacielskim gestem rękę na ramieniu i wprowadził do środka.

Uczeń uśmiechnął się nieśmiało, a Pierwszy Mówca rzekł:

— Przede wszystkim muszę ci powiedzieć, dlaczego cię tu wezwałem.

Siedzieli teraz naprzeciw siebie, po obu stronach stołu. Żaden z nich nic nie mówił, a w każdym razie ich rozmowa była tego rodzaju, że nikt, poza członkami Drugiej Fundacji, nie określiłby jej tym mianem.

Pierwotnie mowa była narzędziem, którym człowiek posługiwał się w celu przekazywania swych myśli i uczuć. Ustalając arbitralne relacje między zawiłymi procesami umysłowymi a pewnymi dźwiękami i kombinacjami dźwięków, stworzył metodę porozumiewania się, jednak jej nieprecyzyjność i nieadekwatność powodowały, iż subtelne wytwory umysłu zostały sprowadzone do postaci niewyraźnych gardłowych sygnałów Łatwo prześledzić skutki tego stanu rzeczy. Stąd, że aż do czasów Hariego Seldona i jego następców nie było człowieka, który potrafiłby zrozumieć swego bliźniego, brały się wszystkie tragedie ludzkości. Każdy żył w swoim własnym, niedostępnym dla innych świecie. Od czasu do czasu z głębi jaskini, w której tkwił inny człowiek, docierały niejasne sygnały i kierując się nimi, ludzie mogli się po omacku szukać w otaczającej ich zewsząd mgle słów. Ponieważ jednak jeden człowiek nie znał drugiego, nie rozumiał go i bał mu się zaufać, a od wczesnego dzieciństwa odczuwał wynikający z tej zupełnej samotności brak bezpieczeństwa, poszukiwania takie były czymś w rodzaju wypraw drapieżnego zwierzęcia szukającego ofiary, lecz gotowego w każdej chwili do ucieczki przed silniejszym osobnikiem.

Przez dziesiątki tysięcy lat umysł ludzki rwał się ku gwiazdom, lecz pętała go sieć słów.

Człowiek instynktownie szukał dróg wyjścia z więzienia zwykłej mowy. Stworzył semiotykę, logikę symboliczną, psychoanalizę, które dawały możliwość oczyszczenia i uczynienia mowy subtelniejszą lub pominięcia jej.

Psychohistoria była rozwinięciem i udoskonaleniem, a raczej ostateczną matematyzacją nauki zajmującej się umysłem. Dzięki rozwinięciu matematyki niezbędnej dla zrozumienia neurofizjologicznych i elektrochemicznych procesów zachodzących w układzie nerwowym, procesów, które musiały być sprowadzone do poziomu cząstek elementarnych i sił jądrowych, można było wreszcie stworzyć prawdziwą psychologię. Z kolei, poprzez uogólnienie wiedzy psychologicznej dotyczącej jednostki i jej ekstrapolację na grupę społeczną, dokonano też matematyzacji socjologii.

Większe grupy, miliardy zamieszkujące planety, tysiące miliardów zamieszkujące sektory i biliony zamieszkujące całą Galaktykę przestały być po prostu skupiskami istot ludzkich, lecz stały się nadto gigantycznymi siłami, podlegającymi operacjom statystycznym. Dla Seldona przyszłość stała się jasna i ściśle określona. W tych warunkach mógł powstać jego Plan.

Tak więc te same osiągnięcia nauki o umyśle, które legły u podstaw Planu Seldona, sprawiły, że zwracając się do ucznia, Pierwszy Mówca nie musiał używać słów.

Każdemu z nich reakcja rozmówcy na słaby nawet bodziec wskazywała wszystkie, najdrobniejsze zmiany, wszystkie prądy przebiegające przez jego zwoje mózgowe. W przeciwieństwie do Muła. , który był mutantem obdarzonym niepojętymi nawet dla członka Drugiej Fundacji wrodzonymi zdolnościami, Pierwszy Mówca umiejętności swe zawdzięczał długotrwałym, intensywnym ćwiczeniom. Muł instynktownie wyczuwał stan emocjonalny otaczających go osób, Pierwszy Mówca do zrozumienia treści myśli ucznia dochodził drogą dedukcji.

Jednak w społeczeństwie, w którym jedynym środkiem przekazu informacji jest mowa, byłoby rzeczą absolutnie niemożliwą wierne przedstawienie sposobu komunikowania się między sobą członków Drugiej Fundacji. Postąpimy przeto tak, jak gdyby Pierwszy Mówca posługiał się mową w ogólnie przyjętym znaczeniu tego słowa. Jeśli przekład nasz nie zawsze będzie zadowalający, to będziemy mieli przynajmniej świadomość tego, że — z przyczyn wyżej wymienionych — nie może, niestety, być lepszy.

Przyjmujemy zatem, że Pierwszy Mówca rzeczywiście rzekł. „Po pierwsze muszę ci powiedzieć dlaczego cię tu wezwałem", a nie że tylko uśmiechnął się właśnie tak i tak, i dokładnie tak i tak wzniósł palec do góry.

Przez większą część życia studiowałeś pilnie i wytrwale naukę o umyśle — mówił dalej Pierwszy Mówca. — Przyswoiłeś sobie wszystkie wiadomości, które mogli ci przekazać twoi nauczyciele. Nadszedł czas, abyś, razem z paroma innymi osobami, zaczął przygotowywać się do roli Mówcy.

Pierwszy Mówca wyczuł napięcie — Nie, nie tak — rzekł — Musisz do tego podejść z całkowitym spokojem. Miałeś nadzieję, że spełniasz wszystkie wymogi, ale obawiałeś się, że nie dasz temu rady. Tymczasem zarówno nadzieja, jak i obawa są wadami Wiedziałeś tym, że spełniasz wszystkie wymogi, ale zastanawiasz się, czy przyznać się do tego, bo świadczyłoby to, że jesteś zarozumiały i dlatego nie nadajesz się na Mówcę. Bzdura! Tylko ten jest beznadziejnie głupi, kto nie uświadamia sobie tego, że jest mądry. Fakt, że wiedziałeś o tym, iż spełniasz wymogi, świadczy o tym, że je naprawdę spełniasz.

Uczeń zareagował odprężeniem.

— O, właśnie. Teraz czujesz się swobodniej przestałeś się kryć i krępować. Będziesz mógł się bardziej skoncentrować na tym, co mówię, i lepiej mnie zrozumieć. Zapamiętaj, że po to, by naprawdę coś osiągnąć, nie trzeba otaczać swoich myśli ochronną barierą, która przecież inteligentnemu badaczowi mówi tyle samo, co niczym nie chroniony mózg. Trzeba raczej starać się rozwijać pewną prostoduszność, świadomość własnego ja, szczerość i nieskrępowanie, które sprawiają, że nie ma się nic do ukrycia. Mój umysł jest otwarty przed tobą. Niechaj twój będzie taki sam.

— Nie jest rzeczą łatwą być Mówcą — ciągnął dalej. — Przede wszystkim nie jest rzeczą łatwą być psychohistorykiem, a przecież nawet najlepszy psychohistoryk może nie nadawać się na Mówcę. Między psychohistorykiem a Mówcą jest zasadnicza różnica. Mówca musi nie tylko znać wszystkie zawiłości wzorów matematycznych składających się na Plan, ale musi nadto zaangażować się uczuciowo w swe zadanie i gorąco pragnąć, by został osiągnięty cel wytyczony przez Plan, Musi kochać Plan. Plan musi być dla niego sprawą życia i śmierci, czymś równie koniecznym jak powietrze dla płuc, bliskim jak przyjaciel.

— Wiesz co to jest? — ręka Pierwszego Mówcy zatoczyła łagodny łuk nad czarną, lśniącą, pozbawioną oznak szczególnych skrzynką stojącą pośrodku stołu.

— Nie, nie wiem.

— Słyszałeś o Pierwszym Radiancie?

— To jest to? — zdziwił się uczeń.

— Spodziewałeś się ujrzeć coś bardziej szacownego i wzbudzającego podziw, prawda? To zupełnie naturalne. Ten przyrząd został skonstruowany w czasach Imperium przez ludzi Seldona. Służy nam znakomicie od czterystu lat. Nigdy nie wymagał naprawy ani regulacji. I całe szczęście, bo nie ma wśród nas nikogo, kto potrafiłby powiedzieć coś o jego budowie czy zasadzie działania. — Uśmiechnął się lekko — Być może ci z Pierwszej Fundacji byliby w stanie wykonać kopię Radianta, ale oczywiście nie mogą się nigdy dowiedzieć o jego istnieniu.

Nacisnął dźwignię umieszczoną z boku stołu i pokój pogrążył się w ciemności, ale tylko na chwilę, gdyż zaraz rozjarzyły się dwie ściany Początkowo świeciły perłowobiałym, światłem, potem zaczęły się gdzieniegdzie pojawiać na nich ciemne plamki, które w końcu pokryły całe ściany i połączyły się ze sobą w rzędy równań, przerywanych tu i ówdzie czerwonymi kreskami, które w gąszczu cyfr i zmiennych wyglądały niczym wijące się strumyki.

— Podejdź, chłopcze, do ściany — rzekł Pierwszy Mówca i sam podniósł się z miejsca. — Nie będziesz niczego zasłaniał, nie obawiaj

się. To światło nie wydobywa się z Radianta w zwykły sposób. Prawdę mówiąc, nie mam najmniejszego pojęcia jak i dlaczego tak się dzieje, ale jest faktem, że na ścianę nigdy nie pada żaden cień.

Stali obok siebie w świetle wydobywającym się z Radianta. Każda ze ścian była długa na trzydzieści stóp i na dziesięć wysoka. Pismo było drobne i pokrywało każdy cal powierzchni.

— To nie jest cały Plan — rzekł Pierwszy Mówca. — Gdybym chciał zmieścić całość na tych dwóch ścianach, musiałbym zmniejszyć poszczególne równania do mikroskopijnych rozmiarów, ale nie jest to konieczne. To, co teraz widzisz, przedstawia zasadnicze części Planu, obejmujące okres od czasów Seldona do chwili obecnej. Uczyłeś się o tym, prawda?

— Tak, Mówco.

— Rozpoznajesz jakiś fragment?

Po krótkim namyśle uczeń wskazał palcem jakieś miejsce u góry i natychmiast cały rząd równań zaczął przesuwać się w dół ściany, aż konkretny ciąg funkcji, o który chodziło uczniowi, znalazł się na wysokości ich oczu, mimo iż trudno było uwierzyć, by takim szybkim, niedokładnie odmierzonym ruchem palca można było precyzyjnie wskazać Właściwe miejsce.

Pierwszy Mówca roześmiał się.

— Przekonasz się wkrótce, że Pierwszy Radiant dostroi się dokładnie do twoich myśli. Ten niewielki przyrząd jeszcze nie raz cię zaskoczy. Co chciałeś powiedzieć o tym równaniu?

— Jest to — rzekł niepewnym głosem uczeń — całka Rigella, opierająca się na planetarnym rozkładzie napięcia, który jest wskaźnikiem istnienia dwu głównych klas społecznych na pianęcię, a może w sektorze, oraz chwiejnego układu nastrojów — A co ona oznacza?

— Przedstawia granicę napięcia, ponieważ mamy tu wskazał palcem i układ równań ponownie się przesunął — ciąg zbieżny.

Dobrze — stwierdził Pierwszy Mówca. — Powiedz mi jeszcze, co myślisz o tym wszystkim. Skończone dzieło sztuki, prawda?

— Absolutnie!

— Nic podobnego! — zareplikował ostro Pierwszy Mówca. — Niech to będzie dla ciebie pierwsza lekcja krytycyzmu. Plan Seldona me jest ani szczegółowy, ani bezbłędny. Jest najlepszy, jaki można było wtedy stworzyć. To wszystko Od czasów Seldona ślęczało nad nim dwanaście pokoleń psychohistoryków Analizowali wszystkie równania, sprawdzali poprawność wyliczeń do ostatniego miejsca po przecinku, rozkładali wzory na czynniki pierwsze i z powrotem składali je w całość. I nie ograniczali się tylko do tego Przez czterysta lat uważnie śledzili wszystko, co działo się w Galaktyce i porównywali równania i prognozy z rzeczywistością. To ich wicie nauczyło Poznali

to, czego Seldon nigdy nie wiedział, bo nie mógł wiedzieć. Gdybyśmy teraz, wykorzystując wiedzę zdobytą przez te czterysta lat, zrobili na nowo to, co zrobił Seldon, to Plan byłby lepszy i dokładniejszy. Myślę, że teraz jest to dla ciebie zupełnie jasne.

Uczeń wydawał się lekko wstrząśnięty.

Ty też będziesz musiał wnieść swój wkład w udoskonalenie Planu, zanim zostaniesz Mówcą — ciągnął przywódca Drugiej Fundacji. — To nie jest żadne świętokradztwo. Widzisz te zakreślone na czerwono człony? Wszystkie są wynikiem pracy naszych ludzi Od samego początku wnosimy poprawki. Na przykład… — spojrzał w górę. — Patrz tutaj.

Wydawało się, że ściana skręca się i wali na niego.

To jest — rzekł — moje dzieło Wyraźna czerwona linia opasywała rozwidlającą się strzałkę i dobrych sześć stóp kwadratowych implikacji ciągnących się wzdłuż jej obu ramion. Między nimi wpisany był czerwonym kolorem ciąg równań.

— Wydaje się, że nie jest tego dużo — rzekł Pierwszy Mówca. — Zanim nadejdzie moment, do którego odnosi się ten punkt Planu, minie tyle lat, ile dzieli nas od śmierci Seldona. Będzie to w okresie zjednoczenia, kiedy przyszłe Drugie Imperium stanie się widownią walk między rywalizującymi ze sobą o władzę przywódcami. W przypadku gdyby obie strony dysponowały takimi samymi siłami, grozi to rozbiciem Imperium, w przypadku gdyby któraś ze stron okazała się silniejsza i zwyciężyła, Imperium zostałoby skrępowane siecią sztywnych i surowych zakazów, co grozi skostnieniem. Przedstawione są tu obie możliwości i analiza ich konsekwencji oraz wskazany jest sposób, w jaki można tego uniknąć Są to jednak tylko prawdopodobne scenariusze wydarzeń i nie można wykluczyć, że istnieje jeszcze trzecia możliwość. Stopień prawdopodobieństwa takiego właśnie, to jest zgodnego z tą trzecią możliwością, rozwoju wydarzeń jest stosunkowo niski — dokładnie dwanaście przecinek, sześćdziesiąt cztery procenta — ale zdarzało się już, że nawet mniej prawdopodobne prognozy okazywały się prawdziwe, a zresztą cały Plan jest, jak już mówiłem, niekompletny i gotowy tylko w czterdziestu procentach. Ta trzecia możliwość to ewentualny kompromis między dwoma lub wieloma z rywalizujących ze sobą przywódców. Przestudiowałem ją i wykazałem, że gdyby ona właśnie okazała się prawdziwa, to Imperium groziłby zupełny bezwład, co w konsekwencji doprowadziłoby do wojen domowych i wyrządziło więcej szkody niż gdyby nigdy nie doszło do kompromisu. Na szczęście, temu również można zapobiec. Mój wkład polega właśnie na wskazaniu metod zapobieżenia temu.

— Czy mogę o coś spytać, Mówco? W jaki sposób wprowadza się zmianę do Planu?

— Przez Radiant. Przekonasz się sam Najpierw twoje wyliczenia zostaną dokładnie sprawdzone przez pięć różnych komisji i będziesz musiał bronić ich poprawności odpowiadając na najbardziej drobiazgowe pytania. Jeśli się wybronisz, to po dwu latach twoje wywody zostaną przeanalizowane na nowo. Nieraz się zdarzyło że pozornie bezbłędna praca już po roku czy nawet po kilku miesiącach okazywała się chybiona. Czasami sam autor odkrywał, że się pomylił Natomiast jeśli po dwu latach następne badanie, nie mniej szczegółowe niż pierwsze, wypadnie pomyślnie albo — jeszcze lepiej — jeśli, w tym czasie młody uczony przedstawi dalsze szczegóły i dodatkowe dowody, to wynik jego pracy zostaje włączony do Planu. To był punkt szczytowy mojej kariery i życzę ci, żebyś osiągnął to samo Wtedy Pierwszy Radiant zostanie dostrojony do twoich myśli i będziesz mógł wnieść wszystkie niezbędne poprawki i uzupełnienia drogą kontaktu umysłowego z tym urządzeniem. Nic nie będzie jednak wskazywało, że poprawki czy uzupełnienia są twoim dziełem. W całej historii Planu nie było takiego przypadku. Trzymamy się ściśle zasady, że jest on dziełem zbiorowym Rozumiesz?

— Tak.

— Wobec tego możemy skończyć ten pokaz. — Podszedł do Radiania i po chwili wzory znikły ze ścian, które na powrót stały się matowe, z wyjątkiem części Stykających się z sufitem, gdzie znajdowało się normalne oświetlenie pokoju. — Usiądź przy biurku i posłuchaj mnie jeszcze przez chwilę. Otóż psychohistorykowi wystarczy, że zna biostatystykę i elektromatematykę neurochemiczną Niektórzy me znają niczego poza tym i nadają się tylko na inżynierów statystyków Ale Mówca musi posiąść umiejętność rozmawiania o Planie bez uciekania się do matematyki A jeśli nie o samym Planie, to przynajmniej o jego założeniach i celach.

Zacznijmy od tego. jakie jest podstawowe zadanie Planu Spróbuj powiedzieć to swoimi własnymi słowami i nie sil się na ładnie brzmiące określenia Zapewniam cię, że nie interesuje mnie styl twojej wypowiedzi Uczeń po raz pierwszy miał okazję powiedzieć coś więcej niż dwa — trzy słowa, więc przez moment zastanawiał się od czego zacząć, by jak najlepiej spełnić oczekiwania Pierwszego Mówcy Wreszcie rzekł:

— Z tego, czego mnie uczono, wnoszę, że intencją twórców Planu jest stworzenie cywilizacji opartej na zasadach całkowicie odmiennych od dotychczas przyjmowanych przez ludzkość za podstawowe Na zasadach, które — jak to wykazały odkrycia psychohistorii — nigdy nie zostałyby przyjęte spontanicznie…

Stop! — przerwał mu stanowczo Pierwszy Mówca — Nie wolno ci używać słowa „nigdy” Świadczy to o nieliczeniu się z faktami. Nie wolno ci zapominać o tym. że psychohistoria ustala tylko stopień

prawdopodobieństwa zaistnienia wydarzeń Może być nieskończenie małe prawdopodobieństwo tego, że takie a takie wydarzenie istotnie będzie miało miejsce, ale zawsze wielkość tego prawdopodobieństwa jest większa od zera.

— Oczywiście, Mówco. A więc, jeśli mogę się poprawić, wiadomo jest, że prawdopodobieństwo tego, iż zasady te mogą zostać spontanicznie przyjęte, jest minimalne.

Teraz lepiej. A jakie to zasady?

— Ma to być cywilizacja oparta na psychologii. W całej dotychczasowej historii ludzkości postęp dokonywał się przede wszystkim w naukach fizycznych. Człowiek zyskiwał coraz większą władzę nad materią nieożywioną. Sterowanie osobowością i społeczeństwem zdane było na ślepy przypadek albo ograniczało się do nieprecyzyjnych i chaotycznych zbiorów zasad intuicyjnych systemów etycznych opartych na inspiracji i uczuciu. W rezultacie nigdy nie doszło do stworzenia kultury o stabilności przekraczającej pięćdziesiąt pięć procent, a i te najbardziej stabilne zawdzięczały swoje istnienie tylko uciskowi i niedoli całych mas ludzi.

— A dlaczego zasady, o których mówimy, są niespontaniczne?

— Dlatego, że ogromna większość ludzi ma umysłowe predyspozycje do rozwijania nauk Gzycznych, a wszyscy czerpią stąd widoczne choć wątpliwe korzyści. Tylko nielicząca się w skali całej populacji mniejszość potrafi, dzięki odpowiednim zdolnościom, przeprowadzić człowieka przez zawiłości nauki psychicznej, a korzyści stąd płynące są co prawda większe i trwalsze, ale bardziej subtelne i nie tak oczywiste, jak w przypadku nauk fizycznych. Co więcej, przyjęcie takich właśnie zasad, to znaczy orientacji na psychikę, doprowadzić by musiało do ustanowienia dbającej o dobro całej ludzkości dyktatury psychicznie najlepszych, którzy w istocie są doskonalszym podgatunkiem człowieka. Spotkało by się to, oczywiście, z oporem ze strony reszty i stan taki nie mógłby się utrzymać bez zastosowania siły wobec opornych, co doprowadziłoby w efekcie do tego, że reszta społeczeństwa zostałaby sprowadzona prawie do poziomu podludzi. To odrażająca perspektywa i trzeba zrobić wszystko, żeby do tego nie dopuścić.

— Jakie wobec tego jest rozwiązanie?

— Rozwiązaniem jest Plan Seldona. Stwarza on warunki do tego, żeby po upływie tysiąca lat od rozpoczęcia całej akcji, czyli za sześćset lat, licząc od chwili obecnej, mogło powstać Drugie Imperium Galaktyczne, którego Obywatele dojrzeją do dobrowolnego poddania się rządom mentalistów. W tym samym czasie rozwój Drugiej Fundacji doprowadzi do wyłonienia się grupy psychologów zdolnych do przyjęcia roli przywódców. Albo też, jak sobie często wyobrażałem, Pierwsza Fundacja stworzy fizyczną podstawę jednego organizmu

państwowego, natomiast Druga Fundacja zapewni podstawę umysłową, dostarczając odpowiednio przygotowanej klasy rządzącej.

— Rozumiem. Nieźle to przedstawiłeś. Myślisz, że ukoronowaniem Planu byłoby jakiekolwiek Drugie Imperium, byleby utworzone w czasie obliczonym przez Seldona?

— Nie. Jest wiele możliwych wersji Drugiego Imperium, które może zostać utworzone w przedziale czasu od dziewięciuset do tysiąca siedmiuset lat po wprowadzeniu Planu w życie, ale tylko jedna z nich odpowiada ściśle projektowi Seldona.

— Biorąc to wszystko pod uwagę, powiedz mi, dlaczego warunkiem niezbędnym realizacji Planu jest utrzymanie istnienia Drugiej Fundacji w tajemnicy, szczególnie przed Pierwszą Fundacją?

Uczeń starał się dociec czy nie jest to pytanie podchwytliwe, ale wysiłki te na nic się nie zdały Rzekł więc z wyraźnym zakłopotaniem:

— Z tego samego powodu, dla którego szczegóły Planu trzeba trzymać w tajemnicy przed całą ludzkością. Prawa psychohistorii mają charakter statystyczny i przestają obowiązywać, kiedy zachowania poszczególnych jednostek nie są przypadkowe. Gdyby odpowiednio duża grupa ludzi poznała główne założenia i szczegóły Planu, to w swych działaniach kierowaliby się oni tą wiedzą, a wtedy ich zachowania przestałyby być przypadkowe w rozumieniu założeń psychohistorii. Mówiąc innymi słowy, ich zachowań nie dałoby się już odpowiednio dokładnie przewidzieć. Przepraszam, ale czuję, że to me jest zadowalająca odpowiedź.

— Dobrze, że zdajesz sobie z tego sprawę Twoja odpowiedź jest zupełnie niezadowalająca To nie Plan, ale Druga Fundacja musi pozostać w ukryciu. Drugie Imperium jeszcze nie powstało. Mamy nadal społeczeństwo, które za nic nie zgodziłoby się na rządy psychologów, które obawiałoby się rozwoju Drugiej Fundacji i za wszelką cenę starało sieją zniszczyć. Rozumiesz mnie?

— Rozumiem. Tego zagadnienia nigdy specjalnie nie podkreślano…

— Nie udawaj. Tego zagadnienia w ogóle nie porusza się w szkole, ale powinieneś był sam na to wpaść. I tym, i wieloma innymi zagadnieniami zajmiemy się w okresie próbnym, kiedy będziesz przygotowywał się do funkcji Mówcy. Za tydzień spotkamy się znowu. Będę chciał usłyszeć wtedy twoje uwagi na temat, który ci tu zaraz przedstawię. Nie żądam od ciebie pełnego i dokładnego opracowania matematycznego tego problemu. Nawet ekspert potrzebowałby na to cały rok, a ty masz tylko tydzień. Chciałbym tylko, żebyś wskazał główne tendencje i kierunki…

Masz tu fragment Planu z rozwidloną strzałką. Odnosi się to do okresu sprzed prawie pół wieku. Znajdziesz tu wszystkie potrzebne szczegóły. Zorientujesz się na pewno, że wydarzenia idą w zupełnie

innym kierunku niż przewidywano, gdyż stopień prawdopodobieństwa tego, że historia potoczy się takim właśnie torem, nie wynosił nawet jednego procenta. Masz z grubsza obliczyć, po jakim czasie nie można już zmienić tego kierunku i wrócić na właściwą drogę. Spróbuj określić w przybliżeniu, czym by się to mogło skończyć, gdyby nie skorygowano kursu i postaraj się naszkicować właściwą metodę działania dla zapobieżenia takiej sytuacji.

Uczeń wcisnął guzik aparatu i wybrał na chybił trafił kilka fragmentów równań, które pojawiły się na małym wbudowanym w aparat ekranie. Patrzył na nie przez chwilę, a potem zapytał:

— Dlaczego mam się zająć rozwiązaniem tego akurat problemu? Jestem pewien, że to coś więcej niż. zwykłe ćwiczenie.

— Bardzo dobrze, chłopcze. Spodziewałem się, że jesteś bystry i nie zawiodłem się. Istotnie, nie jest to problem symulowany. Prawie pół wieku temu zdarzyło, się coś, czego nie przewidywały prognozy i co w związku z tym nie zostało uwzględnione w Planie. Pojawił się Muł, który nieoczekiwanie zmienił bieg wydarzeń. Działał przez dziesięć lat i przez ten czas zdołał zachwiać Planem. Na szczęście nie zniweczył go. Jednak byliśmy zmuszeni podjąć aktywne działania, żeby powstrzymać go, zanim zdąży unicestwić cały Plan. Musieliśmy się więc ujawnić, a co gorsza, musieliśmy też ujawnić część siły, którą dysponujemy. Pierwsza Fundacja dowie działa się o naszym istnieniu i można przewidzieć, jakie teraz podejmie działania. Patrz tutaj. I tu — wskazał odpowiednie równanie. — Naturalnie, nie powiesz o tym nikomu.

Kiedy uczeń uświadomił sobie całą grozę sytuacji, ogarnęło go przerażenie. Milczał długo. W końcu wyrzucił z siebie:

— A więc Plan Seldona zawiódł!

— Jeszcze nie. To znaczy, jeszcze nie wiadomo. Według najnowszych wyliczeń mamy jeszcze szansę uratować Plan. Prawdopodobieństwo tego, że się nam to uda, wynosi dwadzieścia jeden i cztery dziesiąte procenta.

9. KONSPIRATORZY

Doktorowi Darellowi i Pelleasowi Anthorowi wieczory upływały na przyjacielskich pogawędkach. Dni spędzali równie przyjemnie, nie robiąc nic godnego uwagi. Dla osób postronnych pobyt Pelleasa w domu doktora Darella mógł być zwykłą wizytą. Zresztą właściciel domu przedstawił gościa jako swego kuzyna z dalekiej przestrzeni, zapobiegając tym samym ewentualnym domysłom co do osoby młodego człowieka i celu jego wizyty.

Zdarzało się jednak, że w czasie towarzyskich rozmów, które ze sobą wiedli, padało jakieś nazwisko. Potem była chwila namysłu i doktor Darell mówił „nie" albo „tak". Po jakimś czasie przesyłał na ogólnie dostępnej fali krótkie zaproszenie: „Może zechciałby pan poznać mego kuzyna?" Nieco innym torem biegły przygotowania Arkadii. Prawdę mówiąc, jej poczynania trzeba uznać za najmniej bezpośrednie.

Nakłoniła, na przykład, za pomocą metod, które wróżyły jej świetną przyszłość i zapowiadały nieszczęście wszystkim osobnikom płci męskiej, których los miał z nią zetknąć, kolegę z klasy, Olynthusa Dama, by darował jej zmajstrowany w domu kompletny detektor dźwięków. Nie wdając się w szczegóły, odnotujmy tylko, że przejawiła nagle tak wielkie zainteresowanie jego ogólnie znaną namiętnością do majsterkowania (miał w domu cały warsztat), połączone z tak umiejętnym przeniesieniem tego zainteresowania na pękatą figurę Olynthusa, że nieszczęsny młodzian stwierdził w pewnym momencie, iż (1) objaśnia jej dokładnie i z wielkim ożywieniem zasady działania silnika hiperfalowego, (2) doznaje lekkiego zawrotu głowy na widok wpatrzonych w siebie wielkich, jasnych oczu, (3) wciska jej, w chętnie zresztą nastawione ręce, przedmiot swojej dumy i największe dzieło, jakie dotąd stworzył, a mianowicie wspomniany wyżej detektor dźwięków.

Później zainteresowanie Arkadii Olynthusem zaczęło stopniowo wygasać, ale trwało to przez czas wystarczająco długi, by oddalić wszelkie podejrzenia, że jedynym powodem ich przyjaźni był ów detektor dźwięków. Jeszcze przez długie miesiące Olynthus rozpamiętywał krótki okres zażyłości łączącej go z Arkadią, ale w końcu, nie czując z jej strony żadnej zachęty do odnowienia przyjaźni, dał temu spokój i zajął się swymi sprawami.

Kiedy siódmego wieczoru od przybycia Pelleasa Anthora zasiadło w bawialni Darellów, przy zastawionym stole, pięciu mężczyzn, na górze, w pokoju Arkadii niepozorny produkt pomysłowości Olynthusa Dama zajął poczesne miejsce na biurku.

A więc w bawialni było pięciu mężczyzn. Znajdował się wśród

nich oczywiście doktor Darell, lekko szpakowaty i starannie ubrany, wyglądający na nieco więcej niż swoje czterdzieści dwa lata. Był także Pelleas Anthor, nadzwyczaj poważny, lekko speszony, obrzucający pozostałych ukradkowymi spojrzeniami, a także trzech nowych gości doktora Darella: prezentator telewizji Jole Turbor, potężne chłopisko, chudy i zasuszony doktor Elvett Sernic, emerytowany profesor fizyki Uniwersytetu Fundacji, w byle jak pozapinanym ubraniu, oraz mizerny i wyraźnie skrępowany obecnością tylu osób bibliotekarz Homir Munn.

Doktor Darell od razu przystąpił do rzeczy. Zaczął swym normalnym, spokojnym tonem:

— Pozwoliłem sobie zaprosić tu panów w celach nie tylko towarzyskich. Przypuszczam, że domyśliliście się tego. A ponieważ zostaliście tu, panowie, zaproszeni ze względu na wasze profesje i zainteresowania, domyślacie się też chyba, jakie grozi nam niebezpieczeństwo. Nie chcę go bagatelizować, ale pragnę zwrócić uwagę panów na fakt, że tak czy inaczej jesteśmy już skazani i nie mamy nic do stracenia.

Zauważcie, panowie, że nie starałem się utrzymać naszego spotkania w tajemnicy. Żaden z panów nie krył się z przyjściem tutaj. Okna nie są ekranowane i każdy może swobodnie zajrzeć do środka. Pokój nie jest zabezpieczony przed podsłuchem. Gdybyśmy zwrócili na siebie uwagę wroga, bylibyśmy skończeni, a najlepszym sposobem przyciągnięcia jego uwagi byłaby teatralna tajemniczość i sztuczna konspiracja.

(”Aha” — pomyślała z satysfakcją Arkadia pochylając się nad skrzynką, z której dobywały się nieco skrzekliwe głosy.) — Chyba się rozumiemy, prawda?

Elvett Sernic ściągnął dolną wargę, odsłaniając zęby i wykrzywiając twarz w grymasie, który poprzedzał każdą jego wypowiedź.

— Och, niech pan da temu spokój. Lepiej proszę nam coś powiedzieć o tym młodzieńcu — powiedział wskazując na Pelleasa.

— To jest Pelleas Anthor — rzekł doktor Darell. — Był studentem mojego dawnego kolegi, doktora Kleisego, który zmarł w zeszłym roku. Przed śmiercią przysłał mi wzór jego fal mózgowych do piątego poziomu włącznie. Zapis ten skonfrontowałem z wynikiem badań, które osobiście przeprowadziłem po przyjeździe tego młodego człowieka. Wiecie, panowie, oczywiście o tym, że nawet najwybitniejszy psycholog nie jest w stanie skopiować tak szczegółowego wzoru. Jednak na wypadek gdyby któryś z panów miał co do tego wątpliwości, ręczę za to moim słowem.

— Może byśmy przeszli wreszcie do sedna sprawy — wtrącił Turbor. — Wierzymy panu na słowo, w końcu teraz, kiedy nie ma już,

Kleisego, jest pan największym elektroneurologiem w Galaktyce. Tak przynajmniej przedstawiam pana w swoich komentarzach telewizyjnych i w dodatku sam w to wierzę. Ile pan ma lat, Anthor?

— Dwadzieścia dziewięć, panie Turbor.

— Hmm… Pan też jest elektroneurologiem? Wybitnym?

— Po prostu prowadzę badania w tej dziedzinie. Staram się, jak mogę i miałem szczęście być uczniem Kleisego.

Teraz wtrącił się Munn. Jąkał się nieco, kiedy był czymś przejęty.

— Pro… proponuję, żebyśmy za… zaczęli. Myślę, że wszyscy za… za dużo mó… mówimy.

Doktor Darell skinął głową.

— Masz rację, Homir. Niech pan zaczyna, Antbor.

— Za chwilę — rzekł powoli Pelleas Anthor. — Podzielam zdanie pana Munna, ale zanim , zaczniemy, muszę poprosić o wykresy fal mózgowych.

Darell zmarszczył czoło.

— O co chodzi,, panie Anthor? O jakich wykresach pan mówi?

— O wykresach fal mózgowych wszystkich obecnych tu osób. Sprawdził pan mój wykres, a ja muszę sprawdzić pana i pozostałych. I muszę sam przeprowadzić te badania.

— On nie ma powodu, żeby nam ufać bez zastrzeżeń, Darell — powiedział Turbor. — Ma prawo nas zbadać.

— Dziękuję — odparł Pelleas. — Może zaprowadzi nas pan do swojego laboratorium, doktorze Darell. Pozwoliłem sobie sprawdzić dziś rano pańską aparaturę.

Encefalografia była starą a jednocześnie młodą gałęzią nauki. Starą w tym sensie, że wiedza O mikroprądach wytwarzanych przez komórki nerwowe żywych osobników należała do obszernej kategorii nauk, których początek ginął w mrokach przeszłości. Wzmianki o niej znajdowały się w najstarszych zachowanych przekazach…

Mimo to, była także nową nauką, gdyż aczkolwiek o istnieniu mikroprądów w mózgu ludzkim wiedziano od paru dziesiątków tysięcy lat, to wiedza ta była całkowicie bezużyteczna. Były czynione próby klasyfikacji fal. mózgowych na typowe dla fazy snu i przebudzenia, stanu spokoju i podniecenia, dobrego i złego samopoczucia, ale każda z teorii usiłujących uporządkować i wytłumaczyć te zjawiska dopuszczała mnóstwo wyjątków.

Niektórzy uczeni próbowali wykazać, iż istnieją pewne grupy fal mózgowych, które są analogiczne do grup krwi, i że decydujący wpływ na ich ukształtowanie mają czynniki zewnętrzne, czyli środowisko człowieka. Uczeni ci byli zwolennikami koncepcji rasowej i utrzymywali, że gatunek ludzki dzieli się na dwa podgatunki. Taki pogląd kłócił się jednak z potężnym ruchem ekumenicznym,

związanym z faktem powstania Imperium Galaktycznego — jednostki politycznej skupiającej całą ludzkość i obejmującej dwadzieścia milionów systemów gwiezdnych, od centralnego świata — Trantora, po którego świetności zostały już tylko wspomnienia, do najbardziej samotnego asteroidu na peryferiach.

A potem, w cywilizacji tak mocno opartej na naukach fizykalnych i technologii przekształcania materii nieożywionej jak Pierwsze Imperium, pojawiła się nigdy otwarcie nie manifestowana, ale powszechna niechęć do badań nad mózgiem. Nie traktowano ich poważnie, gdyż nie były bezpośrednio użyteczne i nie finansowano ich rozwoju, gdyż nie przynosiły materialnych korzyści.

Po rozpadnięciu się Pierwszego Imperium nauka podupadła, a niektóre jej dziedziny, na przykład atomistyka, przestały w ogóle istnieć, i ludzkość wróciła do pradawnych metod uzyskiwania energii na drodze chemicznej, z węgla i, ropy naftowej. Jedynym wyjątkiem była Pierwsza Fundacja, gdzie nauka nie tylko przetrwała, ale nawet osiągnęła wyższy poziom rozwoju niż za czasów rozkwitu Imperium. Wszakże i tu prym wiodły nauki fizykalne, a mózgiem interesowali się tylko chirurdzy.

Hari Seldon był pierwszym uczonym, który wyraził to, co później przyjęto za niepodważalną prawdę.

„Mikroprądy wytwarzane przez komórki mózgu — powiadał on — przenoszą wszelkie bodźce i reakcje, zarówno świadome, jak i podświadome. Obraz przebiegu fal mózgowych zarejestrowany pod postacią krzywych na papierze milimetrowym jest wiernym zapisem pulsowania miliardów komórek nerwowych, a więc zapisem myśli. Teoretycznie, analiza takiego zapisu powinna ujawnić najbardziej nawet skryte myśli i uczucia osoby badanej. Porównanie zapisów fal mózgowych różnych osób czy kilku zapisów fal tej samej osoby, wykonanych w różnych okresach czasu, powinno wykazać nie tylko zmiany będące rezultatem nabytych i wrodzonych defektów, ale również zmiany stanów emocjonalnych, różnice w poziomie wykształcenia i w doświadczeniu, a nawet tak subtelne różnice jak zmiana filozofii życiowej. „ Ale nawet Seldon nie wyszedł poza ogólne uwagi teoretyczne.

Później sytuacja uległa zmianie. W czasie Kiedy doktor Darell podejmował swoich gości, ludzie z Pierwszej Fundacji mieli już za sobą pięćdziesiąt lat penetrowania tego niezwykle rozległego i skomplikowanego labiryntu i zdobywania nowej wiedzy. Postęp ten możliwy był oczywiście dzięki zastosowaniu nowych technik, takich, na przykład, jak umieszczenie na szwach czaszki elektrod, które umożliwiały bezpośredni kontakt z szarymi komórkami, nawet bez potrzeby golenia włosów w miejscu styku. Istniała też aparatura rejestrująca, która automatycznie zapisywała zarówno ogólny obraz

fal mózgowych, jak też jego składowe w postaci oddzielnych funkcji sześciu niezwiązanych zmiennych.

Być może najbardziej znamienny dla nowej sytuacji był fakt, że encefalografia i specjaliści w tej dziedzinie cieszyli się coraz większym poważaniem. Najwybitniejszy z nich, Kleise, traktowany był podczas konferencji i sympozjów naukowych tak samo, jak przedstawiciele nauk fizycznych. Doktor Darell, mimo iż wycofał się już z czynnego życia zawodowego, był równie dobrze znany dzięki znakomitym osiągnięciom w dziedzinie analizy encefalograficznej, jak dzięki temu, że był synem Bayty Darell, wielkiej bohaterki Fundacji.

A więc teraz doktor Darell siedział na krześle w swoim własnym laboratorium i czuł na głowie delikatny ucisk elektrod, a tymczasem umieszczone w próżniowej skrzynce pisaki encefalografu wędrowały to w dół, to w górę po przesuwającej się taśmie papieru. Siedział tyłem do aparatury rejestrującej, w przeciwnym bowiem razie widok pisaków kreślących krzywe wywoływał podświadomą chęć kierowania ich ruchami, co dawało zauważalne efekty, ale wiedział, że środkowe okienko pokazywało bardzo rytmiczną i wykazującą niewielkie wahania krzywą sigma, jaką powinien się charakteryzować umysł tak silny i zdyscyplinowany jak jego. Obraz ten zostanie spotęgowany i uwolniony od zniekształcających czynników w pomocniczym okienku pokazującym wykres fali przepływającej przez móżdżek. Pojawią się ostre, prawie nieciągłe skoki będące obrazem fali płata czołowego i słabe drgania pochodzące z obszarów podpowierzchniowych o wąskim paśmie częstotliwości…

Znał wykres swoich fal mózgowych równie dobrze jak malarz kolor swoich oczu.

Pelleas Anthor nie rzekł nic, kiedy doktor Darell wstał z krzesła o odchylanym oparciu… Wyjął encefalogram z aparatu, obejrzał go szybko, jak ktoś, kto dokładnie wie, jakiego konkretnego drobiazgu ma szukać.

— Proszę, doktorze Sernic, teraz pan.

Na pomarszczonej twarzy Sernica widać było napięcie. Za jego czasów encefalografia była nauką prawie nieznaną. Niewiele o niej wiedział i traktował ją podejrzliwie. Zdawał sobie sprawę z tego, że jest już stary, i że wykres jego fal mózgowych to wykaże. Na jego podeszły wiek wskazywały zmarszczki na twarzy, utykanie 1 lekkie drżenie rąk, ale świadczyły one tylko o stanie ciała. Wykres fal mózgowych mógł pokazać, że jego umysł też już nie jest sprawny. Było to brutalne wtargnięcie do ostatniej strzegącej intymności człowieka warowni, do jego mózgu.

Przyłożono elektrody. Cały zabieg, od początku do końca, był oczywiście bezbolesny. Czuł tylko lekkie mrowienie, prawie pod progiem percepcji.

Następnie przyszła kolej na Turbora, który przez całe piętnastominutowe badanie siedział spokojnie, patrząc beznamiętnie w sufit, i na Munna, który aż podskoczył na krześle, gdy przykładano mu elektrody, a potem przez cały czas przewracał oczami, jak gdyby gorąco pragnął, by zawędrowały na czubek głowy i mogły śledzić ruch pisaków.

— A teraz… — powiedział Darell, kiedy było już po wszystkim.

— A teraz — rzekł przepraszającym tonem Anthor — pozostała nam jeszcze jedna osoba.

— Moja córka? — Darell zmarszczył czoło.

— Tak. Może pan sobie przypomina, że nalegałem, aby została w domu dziś wieczorem.

— Żeby poddać ją badaniu encefalograficznemu? A po co, na Galaktykę?

— Bez tęgo nie mogę powiedzieć nic więcej. Darell wzruszył ramionami i poszedł po córkę.

Zanim wszedł do jej pokoju, Arkadia, zawczasu ostrzeżona, zdążyła sprzątnąć detektor dźwięków z biurka. Potem posłusznie zeszła z ojcem na dół. Po raz pierwszy w życiu, jeśli nie liczyć zapisu encefalograficznego podstawowego wzoru przebiegu jej fal mózgowych, zrobionego we wczesnym dzieciństwie dla celów administracyjnych, takich jak założenie karty tożsamości, znalazła się pod elektrodami.

— Czy mogę to zobaczyć? — zapytała po skończonym badaniu, wyciągając rękę po zapis.

— I tak nie zrozumiałabyś nic z tego, Arkadio — powiedział ojciec. — Chyba już czas, żebyś poszła do łóżka?

— Tak, tato — rzekła z niezwykłą u niej skromnością. — Życzę wszystkim dobrej nocy.

Wbiegła na górę i szybciutko umywszy się wskoczyła do łóżka. Z detektorem dźwięku pod poduszką czuła się jak bohaterka opowieści szpiegowskiej i z podniecenia przyciskała pięści do piersi.

Najpierw usłyszała głos Anthora, który mówił:

— Panowie, wszystkie zapisy są w porządku; Także zapis fal dziecka.

„Dziecka!” pomyślała z oburzeniem i pokazała język niewidocznemu Anthorowi.

Anthor otworzył swój neseser i wyjął kilkadziesiąt encefalogramów. Nie były to oryginały. Poza tym neseser nie by! zaopatrzony w zwyczajny zamek. Gdyby klucz znalazł się w ręku kogoś innego, zawartość neseseru w mgnieniu oka zamieniłaby się w popiół. Zresztą po upływie pół godziny od wyjęcia z nesesera kopie encefalogramów i tak utlenią się i spopielą.

Mając to na względzie, Anthor nie tracił czasu. — Mam tu zapisy

różnych pomniejszych pracowników instytucji rządowych Anakreo na — mówił szybko. — To jest z kolei encefalogram psychologa z Uniwersytetu Lokrijskiegó, a to pewnego przemysłowca z Siwenny. Reszta wygląda tak, jak widzicie.

Zebrani stłoczyli się wokół Anthora. Dla wszystkich, z wyjątkiem doktora Darella, były to po prostu zygzakowate linie na papierze. Dla Darella linie te były aż nadto wymowne.

— Chciałbym, żeby zwrócił pan uwagę, doktorze Darell — rzekł Anthor, wskazując palcem pewien odcinek linii — na charakterystyczną płaską linię między falami tau płatu czołowego. To wspólna cecha tych wszystkich encefalogramów. Może zechciałby pan to sprawdzić? Proszę, oto suwak analityczny.

Suwak analityczny można uważać za dalekiego krewniaka — co prawda jest to podobieństwo takie, jak między drapaczem chmur a szałasem — tej zabawki dla dzieci, jaką jest suwak logarytmiczny. Darell posługiwał się nim z wprawą, jaką daje długa praktyka. Naszkicował odręcznie linie zgodne z wynikami pomiaru i stwierdził, że Anthor mówił prawdę. Na wszystkich encefalogramach w rejonie płata czołowego, gdzie powinna być wyraźna amplituda, linia była absolutnie płaska.

— No, i co pan o tym myśli, doktorze Darell? — spytał Anthor.

— Sam nie wiem. Muszę się zastanowić, bo w tej chwili nie potrafię tego wytłumaczyć. Nawet w przypadku amnezji mamy do czynienia ze stłumieniem, a nie z usunięciem. Może to skutek poważnej operacji mózgu?

— Och — krzyknął ze zniecierpliwieniem Anthor — oczywiście, że zostało coś usunięte! Ale nie w sensie fizycznym. Mógł to zrobić Muł. Potrafił całkowicie usunąć zdolność osiągania pewnych stanów emocjonalnych czy sta nów umysłu i pozostawić puste miejsce dające taki właśnie obraz. Albo…

— Albo mogła to zrobić Druga Fundacja. To chciał pan powiedzieć? — spytał z nikłym uśmiechem Turbor.

Anthor nie musiał odpowiadać na to czysto retoryczne pytanie.

— Co wzbudziło pańskie podejrzenia, panie Anthor? — spytał Munn.

— Nie moje. Doktora Kleisego. Zbierał wykresy fal mózgowych, ale według innych zasad niż policja planetarna. Przedmiotem jego zainteresowania byli intelektualiści, członkowie rządu, pracownicy instytucji rządowych oraz bisnesmeni. Widzicie panowie, jest zupełnie oczywiste, że jeśli Druga Fundacja kieruje losem Galaktyki naszym losem — to musi to czynić w bardzo delikatny sposób, przy możliwie najmniejszej liczbie ruchów, żebyśmy nie mogli tego zauważyć. Jeśli oddziaływują na mózgi, a to jest na pewno ich metoda, to muszą to być mózgi ludzi wpływowych — w sferze kultury, gospodarki i

polityki. Dlatego Kleise zajął się właśnie takimi ludźmi.

— Zaraz — sprzeciwił się Munn — a gdzie są dowody? W jaki sposób działają ci ludzie, mam na myśli tych z płaskim wykresem? Może to jest zupełnie naturalne zjawisko — popatrzył na zebranych dziwnie bezradnie swymi dziecinnymi, błękitnymi oczami, ale nikt go nie poparł.

— Wyjaśnienie tego zostawiam doktorowi Darellowi — odparł Anthor. — Niech pan go spyta, ile razy zetknął się z tym zjawiskiem w swoich badaniach albo w literaturze fachowej. Niech go pan też spyta, jakie było prawdopodobieństwo tego, że zjawisko to wystąpi w jednym przypadku na każdy tysiąc z przebadanych przez doktora Kleisego kategorii osób.

Moim zdaniem — rzekł zatroskanym głosem doktor Darell — nie ma żadnej wątpliwości, że są to umysłowości sztucznie zmienione. Ci ludzie zostali przekształceni. W pewnym sensie podejrzewałem, że tak jest…

— Wiem o tym, doktorze Darell — powiedział Anthor. — Wiem też, że kiedyś pracował pan z Kleiscm. Chciałbym wiedzieć, dlaczego się pan wycofał.

Mimo iż w pytaniu tym nie wyczuwało się wrogości, było ono obcesowe. Może podyktowała je ostrożność, w każdym razie zapadła po nim cisza. Darell spoglądał po twarzach swych gości, wreszcie odparł szorstko:

Dlatego, że walka, którą prowadził Kleise. nie miała sensu. Występował przeciwko przeciwnikowi silniejszemu od siebie. Obaj — i on, i ja — wiedzieliśmy, że w końcu odkryje to, czego szuka — dowód na to, że nie jesteśmy panami swej woli. A ja nie chciałem tego wiedzieć! Chciałem zachować poczucie własnej godności. Wolałem myśleć, że naszymi zbiorowymi poczynaniami kieruje Fundacja, że nasi dziadowie nie walczyli, i nie umierali na próżno. Myślałem, że najlepiej będzie wycofać się właśnie w tym momencie — kiedy nie byłem pewien, jak jest naprawdę. Nie musiałem pracować, bo wyznaczona przez rząd stała pensja dla potomków mej matki wystarczała dla zaspokojenia moich prostych potrzeb. Nie groziła mi nuda, bo miałem w domu prywatne laboratorium a życie przecież kiedyś się skończy… Potem Kleise umarł…

Sernic swoim zwyczajem pokazał zęby i powiedział:

— Nie znałem tego Kleisego. W jaki sposób umarł?

— Umarł — uciął Anthor. — Wiedział, że tak się stanie. Pół roku przed śmiercią powiedział mi, że jest zbyt bliski…

Teraz my jesteśmy z… zbyt b… blisko, co? — wykrztusił Munn przez ściśnięte gardło, przy czym podskoczyło mu gwałtownie jabłko Adama.

Tak — rzekł stanowczo Anthor — ale i tak wszyscy byliśmy już

zbyt blisko. Właśnie dlatego wybraliśmy panów. Ja jestem uczniem Kleisego. Doktor Darell był jego kolegą. Jole Turbor wykpiwał w eterze naszą ślepą wiarę w pomocna dłoń Drugiej Fundacji dopóki rząd nie zamknął mu ust, i to — pragnę przypomnieć — na skutek interwencji potężnego finansisty, którego encefalogram wykazuje to, co Kleise określał „płaską przekształcenia". Homir Munn posiada największy zbiór Mulianów, jeśli można tak określić dane dotyczące Muła — i opublikował kilka artykułów zawierających spekulacje na temat natury i roli Drugiej Fundacji. Doktor Sernic przyczynił się jak nikt inny do stworzenia matematyki analizy encefalograficznej, choć myślę, że nie spodziewał się, iż jego teoria znajdzie takie właśnie zastosowanie.

Sernic otworzył szeroko oczy i zachichotał:

— Masz racje, młodzieńcze. Analizowałem ruchy zachodzące w jądrach atomów. Zupełnie nie orientuję się w encefalografii.

— Zatem wiemy na czym stoimy. Rząd nie może, oczywiście, nic zrobić w tej sprawie. Nie wiem, czy burmistrz lub ktokolwiek w jego biurze zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji. Ale wiem jedno — nikt z naszej piątki nie ma nic do stracenia, za to wiele do zyskania. Każda nowa, uzyskana przez nas informacja na temat Drugiej Fundacji zwiększa nasze bezpieczeństwo. Chyba rozumiecie, panowie, że dajemy tylko początek dalszym działaniom, — Jak daleko sięga ta infiltracja Drugiej Fundacji? — wtrącił Turbor.

— Nie wiem. Nie można tego dokładnie określić. Wszystkie odkryte przez nas przypadki infiltracji miały miejsce na obrzeżach. Świat stołeczny może jeszcze być czysty, chociaż nawet to nie jest pewne — w przeciwnym przypadku nie sprawdzałbym panów. Pan był szczególnie podejrzany, doktorze Darell, bo wycofał się pan ze współpracy z Kleisem. Wie pan, że Kleise nigdy panu tego nie wybaczył? Myślałem, że zrobił pan to dlatego, że przekupiła pana Druga Fundacja, ale Kleise upierał się, że przyczyną było pana tchórzostwo. Proszę mi wybaczyć, że o tym mówię, ale robię to po to, żeby sprawa była jasna. Myślę, że rozumiem pana, i jeśli to rzeczywiście było tchórzostwo, to osobiście uważam, że nie musi się pan tego wstydzić.

Darell odetchnął głęboko i odparł:

— Uciekłem! Może pan to nazywać, jak pan chce. Próbowałem podtrzymać naszą przyjaźń, ale nie odpisał na żaden mój list ani nigdy nie zadzwonił. Pierwsza wiadomość od niego to była przesyłka z wykresem pana fal mózgowych, a było to zaledwie na tydzień przed jego śmiercią…

— Jeśli wolno — wtrącił Munn nerwowo — nie wiem p… po co, panowie, o tym mówicie. Jeśli t… tak będziemy gadać i g… gadać, to k… kiepscy z nas konspiratorzy. Zresztą nie wiem, co innego możemy

robić. To jest z… zupełna dziecinada. F… fale mózgowe i takie tam cuda. Czy w ogóle zamierzacie coś zrobić?

— Tak odparł Anthor z płomieniem w oku. — Musimy zdobyć więcej informacji na temat Drugiej Fundacji. To podstawowy wymóg. Muł stracił pięć lat swego panowania na poszukiwania takich właśnie informacji i nic nie zna lazł… a przynajmniej takie wszczepiono nam przekonanie. Ale zaprzestał poszukiwań. Dlaczego? Dlatego że nie udało mu się nic znaleźć? Czy może dlatego, że mu się udało?

— Z… znowu gadanie — rzekł z przekąsem Munn. — Skąd mamy wiedzieć?

— Może pozwoli mi pan skończyć… Stolicą państwa Muła był Kalgan. Kalgan nie znajdował się w sferze wpływów Fundacji przed Mułem i teraz też się w niej nie znajduje. Kalganem rządzi teraz niejaki Stettin, chyba że jutro dowiemy się o kolejnym przewrocie pałacowym. Stettin używa tytułu Pierwszego Obywatela i uważa się za następcę Muła. Jeśli na tej planecie żywa jest jakakolwiek tradycja, to tylko ta, która łączy się nierozerwalnie z wielkością i ponadludzką naturą Muła. To właściwie zabobon, nie tradycja. Skutkiem tego, jego dawny pałac uważany jest za coś w rodzaju świątyni. Nikt. nie może tam wejść bez zezwolenia, wszystko wewnątrz pozostało tak, jak za czasów Muła.

— No i… ?

— No i dlaczego tak jest? W czasach takich jak nasze nic nie dzieje się bez przyczyny. A może to, że pałac Muła pozostał nienaruszony, nie jest tylko skutkiem zabobonu? A może to Druga Fundacja zadbała o to? Krótko mówiąc, może wyniki pięcioletnich poszukiwań Muła znajdują się w…

T — To b… bzdura.

— A to niby dlaczego? — zaperzył się Anthor. — Od samego początku swego istnienia Druga Fundacja pozostaje w ukryciu i tylko nieznacznie miesza się do spraw Galaktyki. Wiem, że dla nas najbardziej logicznym posunięciem byłoby zburzenie pałacu albo usunięcie znajdujących się w nim danych. Ale musi pan wziąć pod uwagę, że to mistrzowie psychologii. Każdy z nich to drugi Seldon, każdy z nich to drugi Muł. Działają pośrednio, przez mózg. Po co mają burzyć pałac albo wykradać dokumenty, jeśli mogą osiągnąć swój cel przez wytworzenie odpowiedniego stanu umysłów? Co?

Nie było odpowiedzi, więc Anthor mówił dalej:

— I właśnie pan najlepiej się nadaje do tego, żeby zdobyć potrzebne nam informacje.

— Ja? — jęknął zupełnie zaskoczony Munn. Spoglądał to na jednego, to na drugiego. — Ja się do tego nie nadaję. Nie jestem człowiekiem czynu, nie nadaję się na bohatera reportażu telewizyjnego. Jestem bibliotekarzem. Jeśli mogę wam pomóc w ten

sposób, to proszę bardzo, nawet gdybym miał się przy tym narazić Drugiej Fundacji, ale nie wybiorę się w przestrzeń jak jakiś Don Ki… Kichot.

— Proszę posłuchać — tłumaczył cierpliwie Anthor. — Obaj z doktorem Darellem doszliśmy do wniosku, że pan jest jedynym człowiekiem, który się do tego nadaje. Tylko w pana przypadku będzie to wyglądało naturalnie. Powiada pan, że jest pan bibliotekarzem. Doskonale! Jaki jest główny przedmiot pana zainteresowań? Muliana! Już teraz jest pan właścicielem największego w Galaktyce zbioru materiałów dotyczących Muła. Jest całkiem naturalne, że chce pan mieć ich jeszcze więcej, w przypadku pana jest to bardziej zrozumiałe niż w przypadku kogoś innego. Pan może poprosić o pozwolenie na wejście do pałacu Muła nie wzbudzając podejrzeń. Może się pan spotkać z odmową, ale nikt nie będzie pana podejrzewał o ukryte motywy. Poza tym, ma pan jednoosobowy statek. Wiadomo, że w czasie wakacji odwiedza pan obce planety. Był pan już nawet na Kalganie. Nie rozumie pan, że wystarczy, żeby robił pan to, co zawsze?

— Ale przecież nie mogę po prostu powiedzieć „Czy b… byłby pan uprzejmy, p… panie Pierwszy Obywatelu pozwolić mi zwiedzić w… Wasze naj… największe sanktuarium?

— A dlaczego nie?

— Na Galaktykę! Dlatego, że mi nie pozwoli.

— No i dobrze. Nie pozwoli, to nie. Wróci pan na Terminusa i pomyślimy o czymś innym.

Munn rozglądał się bezradnie. Narastał w nim bunt. Czuł, że wrabiają go w coś, na co absolutnie nie ma ochoty. Nikt nie kwapił się z pomocą.

Ostatecznie w domu doktora Darella zapadły dwie decyzje. Pierwszą, aczkolwiek z wyraźnym ociąganiem, podjął Munn, który zgodził się polecieć na Kalgan jak tylko zaczną się wakacje. Druga została powzięta zupełnie nielegalnie przez nieoficjalną uczestniczkę zgromadzenia w momencie, w którym wyłączyła detektor dźwięków i ułożyła się wreszcie do snu. Tą drugą decyzją zajmiemy się później.

10. NADCIĄGAJĄCY KRYZYS

Minął tydzień i znów Pierwszy Mówca witał z uśmiechem wchodzącego do pokoju ucznia.

— Pewnie przynosisz mi ciekawe wiadomości, bo inaczej nie byłbyś taki zły.

Uczeń położył dłoń na stercie wyliczeń, które przyniósł z sobą, i spytał:

— Jest pan pewien, że to nie jest problem pozorny?

— Przesłanki są prawdziwe. Nic nie przekręciłem.

— Wobec tego muszę, choć nie chcę, pogodzić się z wynikami moich badań.

— Naturalnie. Ale co tu ma do rzeczy, czy chcesz tego czy nie? No dobrze, powiedz mi, co cię trapi. Nie, nie, odłóż na razie te obliczenia. Później je przeanalizuję. Teraz przedstaw mi krótko swoje wnioski. Chcę się zorientować, czy zrozumiałeś naszą sytuację.

— A zatem… staje się coraz bardziej jasne, że od pewnego czasu dokonuje się zasadniczy przełom w sposobie myślenia Pierwszej Fundacji. Dopóki wiedzieli o istnieniu Planu Seldona, ale nie znali żadnych szczegółów, wierzyli, że wszystko będzie dobrze, ale czuli się niepewnie. Wiedzieli, że wygrają, ale nie wiedzieli ani jak, ani kiedy to się stanie. Dlatego żyli w atmosferze napięcia i niepewności, a o to chodziło Seldonowi. Mówiąc innymi słowy, możni było liczyć na to, że Pierwsza Fundacja maksymalnie wyzyska swój potencjał.

— Dziwna metafora — rzekł Pierwszy Mówca — ale rozumiem o co ci chodzi.

— Lecz to, co teraz wiedzą o Drugiej Fundacji, nie ogranicza się już do dawnych, niejasnych wypowiedzi Seldona. Znają już pewne szczegóły. Domyślają się, że jej zadaniem jest pilnować, by wszystko przebiegało zgodnie z Planem. Wiedzą, że istnieje ktoś, kto śledzi ich każdy krok i nie pozwoli im upaść. A więc nie chce już im się iść o własnych siłach i pozwalają się nieść w lektyce. Obawiam się, że znowu wpadłem w styl metaforyczny.

— Nie szkodzi. Mów dalej.

— I właśnie ta niechęć do wysiłku, ta coraz większa bezczynność, dekadencja i hedonizm oznaczają zawalenie się całego Planu. Muszą iść o własnych siłach.

— To wszystko?

— Nie, to jeszcze nie koniec. Tak reaguje większość. Ale istnieje duże prawdopodobieństwo, że pewna część zareaguje inaczej; Wiedza o tym, że pilnujemy, by wszystko przebiegało SS zgodnie z Planem i kierujemy ich działaniami, wzbudzi u niektórych osób wrogość do nas. Wynika to z twierdzenia Korillova…

— Tak, tak. Znam to twierdzenie.

— Przepraszam. Trudno mi o tym mówić, nie odwołując się do matematyki. W każdym razie, skutek tego jest taki, że Fundacja nie tylko przestaje zajmować się swoimi sprawami, ale zaczyna interesować się nami. I nie jest to zainteresowanie życzliwe.

— I to wszystko?

— Pozostaje jeszcze jeden czynnik o dość małym stopniu prawdopodobieństwa…

— Bardzo dobrze. Jaki to czynnik?

— Dawniej, kiedy Pierwsza Fundacja skupiała całą swoją energię na zabezpieczenie się przed Imperium, kiedy jej wróg dysponował potężnymi choć zdezelowanymi statkami, które jakoś przetrwały krwawe wojny domowe, to z oczywistych względów zajmowali się tylko naukami fizycznymi. Teraz, kiedy to my tworzymy ich otoczenie, mogą zmienić orientację. Mogą zająć się psychologią…

— Już się zajęli — rzekł chłodno Pierwszy Mówca.

Uczeń zacisnął pobladłe wargi.

— Więc wszystko przepadło. To jest całkowicie niezgodne z Planem. Mówco, czy dowiedziałbym się o tym, gdybym… żył gdzie indziej?

— Czujesz się upokorzony, młodzieńcze — rzekł poważnie Pierwszy Mówca, — bo myślałeś, że tak dobrze rozumiesz wiele spraw, a tu nagle odkrywasz, że nie miałeś zielonego pojęcia o wielu zupełnie oczywistych rzeczach. Myślałeś, że jesteś jednym z Panów Galaktyki, a nagle odkrywasz, że stoisz o krok od zagłady. Naturalnie, zaczynasz nienawidzić tej wieży z kości słoniowej, w której dotąd żyłeś, odosobnienia, w którym cię kształcono, teorii, które ci wpajano.

To normalne. Ja też przez to kiedyś przeszedłem. Ale było absolutnie konieczne, żebyś nie miał bezpośredniej styczności z Galaktyką w okresie dzieciństwa i dojrzewania. Musiałeś pozostać tutaj, po to, żeby przekazano ci całą wiedzę i Wyostrzono twój umysł. Mogliśmy pokazać ci wcześniej to… częściowe niepowodzenie Planu i zaoszczędzić ci w ten sposób szoku, który teraz przeżyłeś, ale wówczas nie zrozumiałbyś, jakie to ma znaczenie, a teraz zrozumiesz. A zatem nie potrafisz znaleźć żadnego rozwiązania tego problemu?

Uczeń pokręcił bezradnie głową i rzekł ponuro:

— Żadnego.

— Hmm, nie zaskoczyło mnie to. Posłuchaj mnie, młodzieńcze. Istnieje pewien plan działania i realizujemy go już od ponad dziesięciu lat. Nie jest to normalne działanie. Zostaliśmy do niego zmuszeni wbrew naszej woli. Wiąże się z nim duże ryzyko, szansę są małe… Zmuszeni jesteśmy nawet niekiedy przewidywać reakcje poszczególnych osób, gdyż nie mamy innego wyjścia, a nie muszę ci tłumaczyć, że psychostatystyka z samej swej natury nie ma

zastosowania do zbiorowisk mniejszych niż populacja planety.

— I udaje się nam? — spytał uczeń, wstrzymując oddech.

— Jeszcze nie wiadomo. Na razie, dzięki naszym wysiłkom, sytuacja jest dość pewna, ale po raz pierwszy w całej historii Planu zależy od zachowań pojedynczych osób. Jedno nieprzewidziane posunięcie i wszystko może się zawalić. Dostroiliśmy do naszych potrzeb umysły pewnej znikomej liczby ludzi z zewnątrz. Mamy też agentów… ale ich działania są ściśle zaplanowane.

Nie wolno im improwizować. Powinno to być dla ciebie jasne. Nie będę też ukrywał przed tobą, że jeśli odkryją nas tutaj, na naszym świecie, to nie tylko Plan zostanie zniszczony, ale również my. A więc, jak widzisz, nie jest to zbyt dobre rozwiązanie.

— Ale to, co pan. mi tu w skrócie przedstawił, w ogóle nie wygląda na rozwiązanie, tylko na rozpaczliwe wysiłki znalezienia rozwiązania.

— Powiedzmy raczej — na inteligentne wysiłki.

— Kiedy nastąpi moment krytyczny? Kiedy będziemy wiedzieli, czy się nam powiodło czy nie?

— Bez wątpienia gdzieś za rok.

Uczeń chwilę zastanawiał się, po czym kiwnął głową. Podał rękę Pierwszemu Mówcy.

— No cóż, dobrze wiedzieć.

Obrócił się na pięcie i wyszedł. Kiedy szyba stała się na powrót przezroczysta, Pierwszy Mówca wyjrzał przez okno. Nie patrzył na gigantyczne budynki, lecz na widoczny za nimi cichy rój gwiazd.

Rok szybko minie. Czy pod jego koniec któryś z nich, spadkobierców Seldona, będzie jeszcze wśród żywych?

11. PASAŻERKA NA GAPĘ

Upłynął dobry miesiąc, zanim można było powiedzieć, że zaczęło się lato. To znaczy zaczęło się o tyle, że Homir Munn sporządził raport finansowy na zakończenie roku budżetowego, dopilnował, żeby skierowany przez rząd bibliotekarz, który miał go zastępować w czasie nieobecności, zaznajomił się dostatecznie z wszelkimi subtelnościami swego odpowiedzialnego stanowiska (bo ten, który go zastępował rok wcześniej, okazał się zupełnym ignorantem) i zadbał, żeby jego statek „Unimara" — zawdzięczający swą nazwę intymnemu i tajemniczemu epizodowi sprzed dwudziestu lat — został oczyszczony z kurzu i pajęczyn.

Opuszczał Terminus w złym humorze. Nikt nie pojawił się na kosmodromie, aby go pożegnać. Byłoby dziwne, gdyby ktoś przyszedł, gdyż w przeszłości nigdy się to nie zdarzało. Wiedział bardzo dobrze, jak ważne było, by ta wyprawa niczym nie różniła się od poprzednich, ale mimo to czuł nieokreślony żal i złość. Oto on, Homir Munn ryzykuje własną szyją, wyruszając na tak niebezpieczną ekspedycję i jest zupełnie sam.

Tak przynajmniej mu się wydawało.

I właśnie dlatego, że mu się tylko tak wydawało, następnego dnia na „Unimarze" i w podmiejskim domku doktora Darella powstało wielkie zamieszanie.

Najpierw ogarnęło ono dom doktora Darella, za sprawą pokojówki Poli, która już dawno zdążyła wrócić od siostry i która gwałtownie zbiegłszy ze schodów, wpadła na doktora i jąkając się z wrażenia, starała się bezskutecznie coś wytłumaczyć, aż w końcu wcisnęła mu do rąk kartkę papieru i prostokątne pudełko.

Doktor, aczkolwiek niechętnie, wziął obie rzeczy i spytał:

— Co się stało, Poli?

— Zniknęła.

— Kto zniknął?

— Arkadia!

— Co to znaczy „zniknęła"? Gdzie zniknęła? O czym ty mówisz?

Poli przestąpiła z nogi na nogę.

— Nie wiem. Zniknęła, a razem z nią zniknęła walizka i trochę ubrania, i został ten list. Niech pan go przeczyta, zamiast tak stać. Och, wy mężczyźni!

Doktor Darell wzruszył ramionami i otworzył kopertę. List nie był długi, i cały, z wyjątkiem kanciastego podpisu „Arkady", napisany był wykwintnym i ozdobnym pismem „ręcznym" zapisywarki Arkadii.

„Drogi Tato:

Pożegnanie z Tobą byłoby dla mnie po prostu zbyt bolesne. Mogłabym się rozpłakać jak mała dziewczynka i byłoby Ci za mnie wstyd. Dlatego, zamiast pożegnać się z Tobą osobiście, piszę ten list, żebyś wiedział, jak mi Ciebie brakuje, chociaż spędzam teraz cudowne wakacje z wujkiem Homirem. Będę na siebie uważała i niedługo wrócę. Na razie zostawiam Ci pewną rzecz, która jest moją własnością. Możesz z niej teraz korzystać.

Twoja kochająca córka

— Arkady."

Przeczytał list kilka razy. Za każdym razem miał coraz bardziej zakłopotaną minę. Spytał sztucznie obojętnym głosem.

— Czytałaś to, Poli?

Poli z miejsca przyjęła postawę obronną.

— Nie może pan mieć o to do mnie pretensji, doktorze. Na kopercie pisało „Poli", więc skąd mogłam wiedzieć, że w środku jest list do pana? Nie mieszam się do nie swoich spraw i przez te wszystkie lata, kiedy byłam u pana…

Darell podniósł rękę, aby powstrzymać ten potok słów.

— Dobrze już, Poli. To nieważne. Chciałem się tylko upewnić, czy rozumiesz, o co chodzi.

Myślał gorączkowo, jak wybrnąć z tej sytuacji. Nie było sensu mówić jej, żeby zapomniała o całej sprawie. Dla wroga „zapomnieć" było słowem bez żadnego znaczenia, a gdyby dotarło do niego, że prosił o to Poli, to skutek byłby zupełnie odwrotny od pożądanego, gdyż świadczyłoby to, że sprawa jest poważna. Powiedział więc:

— Widzisz, jaka to dziwaczka? Romantyczka! Zupełnie zbzikowała, kiedy się dowiedziała, że poleci w czasie wakacji na wycieczkę w przestrzeń.

— A dlaczego ja się dopiero teraz dowiaduję o tej wycieczce?

— Załatwiliśmy to, kiedy cię nie było, i zapomnieliśmy o tym powiedzieć. I to wszystko.

Niedawne zdenerwowanie Poli przerodziło się w jedno wielkie oburzenie.

— Wszystko, tak? Biedne dziecko poleciało zjedna walizką, bez odpowiedniego ubrania, i do tego jeszcze samotnie! Ile czasu tam będzie?

— Nie musisz się o nią martwić, Poli. Na statku będzie dla niej dość ubrania. Wszystko jest załatwione. Powiedz panu Anthorowi, żeby do mnie przyszedł, dobrze? Aha, i jeszcze jedno… to jest ten przedmiot, który Arkadia zostawiła dla mnie? — obrócił pudełko w dłoni.

Poli wzruszyła ramionami.

— Zupełnie nie wiem. Na tym leżał list i to wszystko, co mogę powiedzieć. Zapomnieli mi powiedzieć, coś takiego! Gdyby żyła jej matka…

Darell odprawił ją ruchem ręki.

— Proszę, zawołaj tu pana Anthora.

Punkt widzenia Anthora na tę sprawę różnił się zasadniczo od punktu widzenia ojca Arkadii. Najpierw zaciskał pięści i rwał sobie włosy z głowy, a potem zrobił się zgryźliwy.

— Na Wielką Przestrzeń, na co pan czeka? Na co my obaj czekamy? Niech pan szybko łapie wideofon, wykręci kosmodrom i poprosi, żeby połączyli się z „Unimarą".

— Spokojnie, Pelleas, to moja córka.

— Ale nie pańska Galaktyka.

— Zaraz, chwileczkę… To niegłupia dziewczyna i starannie wszystko obmyśliła. Zamiast się gorączkować, spróbujmy odtworzyć jej tok rozumowania. Wie pan, co to za przedmiot?

— Nie. Co to ma do rzeczy?

— Dużo. To detektor dźwięków. To?

— Tak. Domowej roboty, ale sprawny. Sam sprawdzałem. Rozumie pan teraz? W ten sposób daje nam do zrozumienia, że uczestniczyła w naszym zebraniu. Wie dokąd i po co leci Homir Munn. Doszła do wniosku, że taka wyprawa może być bardzo interesująca.

— Och, na Wielką Przestrzeń — jęknął Anthor. — Jeszcze jeden mózg dla Drugiej Fundacji do wzięcia.

— Tylko że nie ma żadnego powodu, żeby Druga Fundacja podejrzewała a priori, że czternastoletnia dziewczynka może być dla niej niebezpieczna… chyba, że zrobimy coś, co zwróci na nią uwagę, na przykład zawrócimy statek z przestrzeni tylko po to, żeby ją stamtąd zabrać. Chyba pan nie zapomniał, z kim mamy do czynienia? I że niewiele trzeba, żeby nas odkryli? I że wtedy będziemy zupełnie bezradni?

— Ale nie możemy pozwolić, żeby wszystko zależało od nienormalnego dziecka.

— Ona nie jest nienormalna, a poza tym nie mamy wyboru. Nie musiała pisać tego listu, ale napisała — żebyśmy nie zgłosili na policję, że zaginęła. Sugeruje nam w swoim liście, żebyśmy potraktowali jej wyjazd jako wycieczkę ze starym przyjacielem ojca. Dlaczego nie? Munnjest moim przyjacielem od dwudziestu lat. Znają od czasu, kiedy wróciliśmy z Trantora. Miała wtedy trzy lata. Mówi do niego „wujku". To zupełnie naturalne, że zaproponował jej taką wycieczkę. Prawdę mówiąc, powinno to nawet oddalić podejrzenia, że jego wyprawa ma jakiś ukryty cel. Szpieg nie zabiera ze sobą

czternastoletniej bratanicy.

— No dobrze. A co powie Munn, kiedy ją znajdzie?

Doktor Darell uniósł brwi do góry.

— Nie wiem… ale przypuszczam, że ona da sobie z nim radę.

Jednak wieczorem doktor Darell stwierdził, że w domu jest jakoś dziwnie pusto i doszedł do wniosku, że los Galaktyki jest mu zupełnie obojętny w chwili, kiedy życie jego szalonej córki znalazło się w niebezpieczeństwie.

Zdenerwowanie na „Unimarze" było znacznie większe, mimo iż stało się udziałem mniejszej liczby osób.

Siedząc w przedziale bagażowym, Arkadia najpierw stwierdziła, że pomaga jej doświadczenie, a potem, że przeszkadza jej jego brak.

I tak, zniosła ze stoickim spokojem nagłe przyśpieszenie podczas startu statku, i nieokreślone, ale niezbyt przyjemne uczucie, które towarzyszyło pierwszemu skokowi przed nadprzestrzeń. Były to zjawiska znane od dawna i była na nie przygotowana. Wiedziała też, że pomieszczenia bagażowo-towarowe na każdym statku są objęte systemem wentylacyjnym i że mają nawet normalne oświetlenie. Odrzuciła jednak zdecydowanie myśli o włączeniu światła, gdyż byłoby to już nazbyt nieromantyczne. Siedziała więc w ciemności, jak przystało na konspiratora, starała się oddychać jak najciszej i wsłuchiwała się w różnorodne dźwięki dochodzące z kabiny Homira Munna.

Były to dźwięki niezbyt wytworne — takie, jakie towarzyszą krzątaninie samotnego człowieka. A więc szuranie papciami po podłodze, szelest ubrania ocierającego — się o metal, jęk ustępujących pod ciężarem ciała sprężyn starego wyścielanego krzesła, prztyknięcie wciskanego guzika na tablicy kontrolnej statku czy delikatny odgłos dłoni przesłaniającej komórkę fotoelektryczną.

W końcu jednak dał się Arkadii we znaki brak doświadczenia. W książkach i na video pasażerowie na gapę mieli zawsze niemal nieograniczone możliwości zachowania w tajemnicy swego pobytu na statku. Istniało oczywiście zawsze niebezpieczeństwo nieostrożnego potrącenia czegoś, co mogło wylądować na podłodze z piekielnym hałasem, albo grożącego potężnym kichnięciem kręcenia w nosie — w filmach oglądanych na video było prawie pewne, że gapowicz wcześniej czy później kichnie, to była normalna sprawa. Znała to wszystko i przedsięwzięła odpowiednie środki ostrożności. Wiadomo było również, że po jakimś czasie trzeba będzie zaspokoić głód i pragnienie. Dlatego zaopatrzyła się w konserwy z domowej spiżarni. Były jednak pewne sprawy, o których jakoś nie wspominały książki ani filmy, i Arkadia stwierdziła z przerażeniem, że wbrew swym

najlepszym intencjom może pozostać w ukryciu tylko przez ograniczony okres czasu. A na jednoosobowym statku sportowym, takim jak „Unimara”, przestrzeń mieszkalna ograniczała się zasadniczo do jednego pomieszczenia, tak że nie było najmniejszej nawet możliwości niepostrzeżonego wyśliznięcia się z przedziału bagażowego, w czasie kiedy Munn byłby zajęty gdzie indziej.

Czekała niecierpliwie na odgłosy zwiastujące, że Munn śpi. Żałowała, że nie wie, czy bibliotekarz chrapie. No, ale wiedziała przynajmniej, gdzie znajduje się koja i z ulgą rozpoznała jej skrzypnięcie. Potem usłyszała przeciągle ziewanie. Czekała dłuższy czas, wsłuchując się w ciszę przerywaną tylko skrzypnięciami koi towarzyszącymi zmianom ułożenia ciała.

Drzwi między przedziałem bagażowym a kabiną główną otwarły się bez problemów pod naciśnięciem jej palca. Wystawiła ostrożnie głowę.

Nagle usłyszała dźwięk, który zdecydowanie mogło wydać tylko ludzkie ciało.

Zesztywniała. Cisza! Musi zachować ciszę!

Starała się wysunąć za drzwi oczy, nie poruszając głową, ale nic z tego nie wyszło. Za oczami wysunęła się głowa.

Homir Munn nie spał. Oczywiście, czytał w łóżku przy skupionym świetle lampki nocnej. Teraz jednak wpatrywał się szeroko otwartymi oczami w ciemność, szukając jedną ręką czegoś pod poduszką.

Głowa Arkadii instynktownie cofnęła się za drzwi. W tym momencie całą kabinę zalało jasne, światło i rozległ się ostry, choć trochę drżący głos Munna:

— Mam miotacz i, na Galaktykę, zaraz strzelam…

— To tylko ja — jęknęła Arkadia. — Nie strzelaj.

No i proszę, jak kruchą i delikatną rzeczą jest romantyczna przygoda. Jeden miotacz z nerwowym właścicielem może zepsuć wszystko.

Munn siedział w łóżku w pełnym świetle. Siwe włosy na jego wąskiej piersi i rzadki, jednodniowy zarost na chudej twarzy sprawiały, że nie wyglądał szczególnie godnie ani groźnie.

Arkadia wyłoniła się zza drzwi, obciągając nerwowo swą metalenową kurtkę, która była podobno wykonana z gwarantowanego, niemnącego się tworzywa.

Munn uczynił gwałtowny ruch, jakby chciał wyskoczyć z łóżka, ale widocznie przypomniał coś sobie, bo zamiast tego podciągnął kołdrę aż po brodę i wyjąkał:

— C… co…

— Przepraszam na chwilę — rzekła pokornie Arkadia. — Muszę umyć ręce.

Znała topografię statku, więc szybko znalazła odpowiednie

miejsce. Kiedy wróciła czując, że wraca jej też odwaga, Homir Munn stał na środku kabiny w zmiętym szlafroku i z prawdziwą furią w sercu.

— Co, na czarne dziury Przestrzeni, ro… robisz tu… tutaj? Jak się tu do… dostałaś? Co ty s… sobie wyobrażasz? Co to w ogóle ma znaczyć”?

Wyglądało na to, że nie będzie końca takim pytaniom, ale Arkadia przerwała mu, mówiąc słodkim głosem:

— Chciałam po prostu polecieć z tobą, wujku Homirze.

— Dlaczego? Czy ja gdzieś lecę?

— Lecisz na Kalgan po informacje o Drugiej Fundacji.

Munn wrzasnął dziko i opuścił ręce. Przez moment Arkadii wydawało się, że dostanie histerii i zacznie walić głową w ścianę. Spostrzegła z przerażaniem, że wciąż trzyma miotacz w ręku.

— Uważaj… Nie przejmuj się tak… — tylko tyle. przyszło jej do głowy.

Munn otrząsnął się jednak z wyraźnym wysiłkiem i powrócił do względnie normalnego stanu. Cisnął miotacz na koję z taką siłą, że dziwne było, iż broń sama nie wypaliła, robiąc przy tym dziurę w ścianie.

— Jak się tu dostałaś? — spytał wolno, robiąc wrażenie jakby — w obawie, że głos mu zadrży — przytrzymywał każde słowo zębami.

— Zupełnie łatwo. Przyszłam do hangaru ze swoją walizką, powiedziałam „bagaż pana Munna”, i dozorca wpuścił mnie, machnąwszy tylko kciukiem i nie podnosząc nawet głowy znad papierów.

— Będę musiał odstawić cię z powrotem, rozumiesz — rzekł Homir i na samą myśl o tym zrobiło mu się dziwnie radośnie. Na Przestrzeń, przecież to nie jego wina, że nie wyszło.

— Nie możesz tego zrobić — powiedziała spokojnie Arkadia — bo zwróciłoby to uwagę.

— Co? — Sam wiesz. Przecież właśnie dlatego to ty lecisz na Kalgan, bo nie będzie w tym nic niezwykłego, jeśli poprosisz o pozwolenie przejrzenia archiwum Muła. I musisz się zachowywać zupełnie naturalnie, żeby nie wzbudzić żadnych podejrzeń. Jeśli wrócisz na Terminusa z dziewczyną, która wśliznęła się ukradkiem na statek, to możesz się znaleźć nawet w dzienniku telewizyjnym.

— Skąd ci to wszystko p… przyszło do głowy? To… eee… dziecinne gadanie… — było to zbyt nonszalanckie jak na Homira Munna i nawet ktoś, kto wiedział mniej niż Arkadia, nie dałby mu wiary.

— Słyszałam waszą rozmowę przez detektor dźwięku! — Nie potrafiła ukryć dumy ze swej przebiegłości. — Wiem wszystko, więc musisz mi pozwolić zostać.

— A ojciec? — Munn zagrał atutem. — Na pewno myśli, że zostałaś porwana… że nie żyjesz.

— Zostawiłam mu wiadomość — Arkadia przebiła swoją kartą — i myślę, że wie, że nic może robić hałasu. Chyba przyśle ci telegram.

Munn gotów był już uwierzyć w czary, bo zaledwie dwie sekundy potem odbiornik zasygnalizował depeszę.

— Założę się, że to od ojca — powiedziała Arkadia i było tak rzeczywiście.

Depesza była zaadresowana do Arkadii i niedługa. Zawierali tylko dwa zdania: „Dziękuję za wspaniały prezent, z którego na pewno zrobiłaś dobry użytek. Baw się dobrze".

— Widzisz — rzekła — to instrukcja.

Homir przyzwyczaił się do Arkadii. Po pewnym czasie był nawet zadowolony z jej obecności. A jeszcze potem zastanawiał się, co by robił, gdyby nie było jej na statku. Cały czas gadała. Była bardzo przejęta. A co najważniejsze, nic się nie bała. Wiedziała, że Druga Fundacja jest wrogiem, ale nie martwiła się tym. Wiedziała, że na Kalganie Homir będzie musiał się zmierzyć z nieprzyjazną biurokracją, ale nie mogła się tego doczekać.

Być może było tak dlatego, że miała czternaście lat.

W każdym razie, tygodniowa podróż oznaczała teraz raczej rozmowę niż introspekcję. Z całą pewnością nie była to zbyt pouczająca rozmowa, jako że obracała się niemal całkowicie wokół jednego tematu, a mianowicie wyobrażeń czternastoletniej „panny o tym, jak najlepiej wywieść w pole władcę Kalgana. Były to pomysły zabawne i zupełnie nonsensowne, ale przedstawiane z całkowitą powagą.

Homir nie mógł powstrzymać się od uśmiechu, słuchając jej i zastanawiając się za każdym razem, z jakiego to arcydzieła fikcji historycznej zaczerpnęła swoje nieprawdopodobne wyobrażenia o wielkim wszechświecie.

Był właśnie wieczór przed ostatnim skokiem. Jasna gwiazda pośród ciemnej pustki ożywionej tu i ówdzie ledwo dostrzegalnym mrugnięciem to Kalgan. Widziany przez teleskop statku, wydawał się skrzącą się plamą o ledwie widocznych konturach.

Arkadia siedziała, założywszy nogę na nogę, na jedynym dobrym krześle. Miała na sobie spodnie i wcale nie nazbyt obszerną koszulę Homira. Jej. własne, bardziej kobiece ubranie, zostało uprane i uprasowane z myślą o lądowaniu.

— Wiesz, mam zamiar poświęcić się pisaniu powieści historycznych — rzekła.

Uważała, że podróż jest wspaniała. Wujek Homir nie miał

absolutnie nic przeciwko słuchaniu tego, co mówiła, a rozmowa z naprawdę inteligentną osobą, która poważnie słucha twoich wywodów, jest bardzo przyjemna.

— Przeczytałam całą masę książek o wielkich ludziach z dziejów Fundacji. No wiesz, o takich jak Seldon, Hardin, Mallow, Devers i inni. Przeczytałam nawet większość z tego, co pisałeś o Mule, tyle tylko, że to niezbyt przyjemne czytać te partie, które opisują porażki Fundacji. Nie wolałbyś czytać takiej historii, która pomija te głupie, tragiczne momenty?

— Wolałbym zapewnił ją poważnie Munn. — Ale to nie byłby uczciwy opis, prawda, Arkady? Jeśli nie opisze się całej historii, to nie można marzyć o szacunku w sferach akademickich.

— Phi! Kto dba o szacunek w sferach akademickich? — Homir był wspaniały. Ani razu przez ten cały czas nie pomylił się i nie nazwał jej. Arkadią zamiast Arkady. — Moje powieści będą ciekawe, będą kupowane i znane. Jaki pożytek z pisania książek, jeśli się ich nie sprzedaje i nie jest się znanym pisarzem Nie chcę, żeby znali mnie tylko jacyś starzy profesorowie. Muszą mnie znać wszyscy.

Na samą myśl o tym w jej oczach pojawił się zachwyt. Umościła się wygodniej na krześle.

— Prawdę mówiąc, jak tylko uda mi się nakłonić ojca, żeby mi na to pozwolił, lecę na Trantor, żeby znaleźć tam materiały źródłowe na temat Pierwszego Imperium. Urodziłam się na Trantorze, wiedziałeś o tym?

Wiedział, ale odparł: — Naprawdę? — wkładając w swój głos odpowiednią porcję zdziwienia. W nagrodę został obdarzony czymś pośrednim między, promiennym uśmiechem a sztucznym szczerzeniem zębów.

— Taaa… Moja babcia… no, wiesz, Bayta Darell, słyszałeś o niej… była kiedyś na Trantorze z moim dziadkiem. Prawdę mówiąc, to właśnie tam powstrzymali Muła, kiedy cała Galaktyka leżała u jego stóp. I — mój ojciec i mama też tam polecieli po ślubie. Tam się urodziłam. Mieszkałam tam nawet do śmierci matki, tylko że miałam wtedy dopiero trzy lata i niedużo pamiętam. A ty, wujku, byłeś kiedy na Trantorze?

— Niestety, nie — oparł się plecami o zimną ścianę i słuchał z roztargnieniem. Kalgan był już bardzo blisko i czuł, jak znowu ogarnia go niepokój.

— No, czy to nie jest zupełnie romantyczna planeta? Ojciec mówi, że za czasów Stannela V żyło tam więcej ludzi niż dzisiaj na dziesięciu największych światach razem wziętych. Mówi, że było to jedno wielkie metalowe miasto, stolica całej Galaktyki. Pokazywał mi zdjęcia, które zrobił na Trantorze. Teraz to wszystko leży w ruinach, ale wciąż jest fantastyczne! Bardzo chciałabym to znowu zobaczyć.

Prawdę mówiąc… wujku!

— Tak?

— A może byśmy tam polecieli, kiedy skończymy już z Kalganem?

— Co? — na jego twarzy pojawiła się nurtująca go obawa. — Nie zaczynaj teraz o tym. To nie jest wycieczka dla przyjemności, lecz poważna sprawa. Pamiętaj o tym.

— Ale to właśnie jest poważna sprawa — pisnęła. — Na Trantorze może być niewiarygodna ilość informacji. Nie uważasz?

— Nie — podniósł się ciężko na nogi. — Teraz odsuń się od komputera. Musimy zrobić ostatni skok, a potem położysz się spać.

”Przynajmniej jedna korzyść z lądowania” pomyślał. Miał już dosyć spania na płaszczu rozłożonym na metalowej podłodze.

Obliczenia nie były trudne. „Atlas dróg kosmicznych” podawał zupełnie wystarczające informacje na temat szlaku z Fundacji na Kalgan. Lekkie, krótkie szarpnięcie towarzyszące przejściu przez nadprzestrzeń i ostatnie dwa lata świetlne zostały za nimi.

Słońce Kalgana było teraz rzeczywiście słońcem — duże, oślepiające, żółtobiale, lecz niewidzialne za oknami, które automatycznie zamknęły się po oświetlonej stronie statku.

Kiedy rano się obudzą, będą już prawie na Kalganie.

12. WŁADCA

Kalgan miał niewątpliwie najbardziej oryginalną historię spośród wszystkich światów Galaktyki. Dzieje Terminusa, na przykład, były prawie nieprzerwanym okresem rozwoju. Dzieje Trantora, dawnej stolicy Galaktyki były natomiast prawie nieprzerwanym okresem upadku. Natomiast Kalgan…

Kalgan zdobył sławę już na dwieście lat przed Seldonem — jako centrum rozrywki. Był on centrum rozrywki w tym sensie, że uczynił z niej przemysł, i to przemysł niezwykle zyskowny.

Przy tym był to niezwykle stabilny interes. Najbardziej stabilny przemysł w całej Galaktyce.

Podczas gdy wszędzie z wolna upadała cywilizacja, Kalgan pozostawał zupełnie nietknięty. Bez względu na to, jakie zachodziły w nich przemiany gospodarcze i społeczne, sąsiednie sektory przestrzeni miały zawsze jakąś elitę, a charakterystyczną cechą elity społecznej jest to, że ma ona czas na przyjemności.

Kalgan oferował zatem z powodzeniem — i z zyskiem — swe usługi podstarzałym, wyperfumowanym dandysom z dworu imperatora i ich błyszczącym i wyrafinowanym damom, nieokrzesanym i dzikim satrapom, którzy zdobywszy krwawo rządy na swych planetach, rządzili tam żelazną ręką, a tu pławili się w zbytku wraz ze swymi lubieżnymi i wyuzdanymi dziwkami, a wreszcie grubym i ceniącym uroki życia biznesmenom z Fundacji i ich pulchnym żonom.

Wszystkich ich traktowano na Kalganie jednakowo, bo wszyscy mieli pieniądze. A ponieważ Kalgan służył wszystkim i nikogo nie dyskryminował, ponieważ towar, który oferował, cieszył się niesłabnącym powodzeniem, ponieważ jego władcy byli na tyle mądrzy, by nie mieszać się do polityki żadnego z okolicznych światów i by nie dociekać praw kolejnych władców, prosperował świetnie, gdy inni biedowali, i zyskiwał, gdy inni tracili.

Sytuacja trwała tak aż do czasów Muła. Wtedy podupadł i Kalgan, gdyż Muła nie interesowały rozrywki, nie interesowało nic oprócz podboju. Dla niego wszystkie planety były takie same. Również Kalgan.

Tak więc, na dziesięć lat, Kalgan znalazł się w dziwnej dla siebie roli metropolii Galaktyki, stolicy największego państwa od czasu upadku Imperium Galaktycznego.

Wraz ze śmiercią Muła nadszedł kres jego imperium. Najpierw uniezależniła się Fundacja, a po niej większość podbitych przez Muła światów. Nie minęło pół wieku, a po krótkim okresie świetności Kalgana pozostało tylko wspomnienie i oszołomienie jak po śnie

narkotycznym. Kalgan nigdy już nie zdołał się z tego otrząsnąć na dobre. Nie mógł stać się na powrót neutralnym światem dostarczającym rozrywki mieszkańcom innych światów, gdyż zauroczenie władzą nigdy całkowicie nie przemija. Rządzili nim ludzie, których Fundacja określała mianem władców Kalgana, ale którzy stylizowali się na Muła, podtrzymując fikcję, iż są — jak on — zdobywcami, tytułowali się Pierwszymi Obywatelami Galaktyki.

Aktualny władca Kalgana rządził od pięciu miesięcy. Tytuł i władzę zawdzięczał swemu wcześniejszemu stanowisku dowódcy floty wojennej oraz pożałowania godnej nieostrożności poprzedniego władcy. Nikt z Kalgańczyków nie był wszakże tak głupi, by zajmować się zbyt długo lub zbyt wnikliwie kwestią prawowitości tej czy innej władzy. Takie rzeczy jak zmiana władcy zdarzają się i najlepiej jest pogodzić się z nimi.

Mimo iż ta swoista odmiana ewolucji drogą doboru naturalnego premiowała krwiożerczość i brak skrupułów, umożliwiała ona również niekiedy przetrwanie i wspięcie się na wyższy szczebel osobnikom zdolnym. Stettin, obecny władca Kalgana, był wystarczająco zdolny i samodzielny. Dla pewnych osób nawet zbyt samodzielny.

Zbyt samodzielny dla Pierwszego Ministra, który z taką samą, absolutnie doskonałą bezstronnością służył zarówno poprzedniemu, jak i obecnemu władcy, i który — gdyby tego dożył — służyłby równie wiernie następnemu panu.

Zbyt samodzielny dla lady Callii, która była kimś więcej niż przyjaciółką, lecz mniej niż żoną Stettina.

Tego wieczoru cała trójka znajdowała się w prywatnych apartamentach Stettina. Pierwszy Obywatel, potężny mężczyzna w lśniącym mundurze admirała, który sobie szczególnie upodobał, siedział z chmurną miną na zwykłym, twardym krześle, w pozycji równie sztywnej jak tworzywo, z którego wykonano ów mebel. Pierwszy Minister, Lev Meirus, stał przed nim z doskonale obojętnym wyrazem twarzy, gładząc długimi; nerwowymi palcami głęboką bruzdę ciągnącą się od haczykowatego nosa, przez zapadnięty policzek, niemal aż po koniec ozdobionego siwą bródką oblicza. Lady Callia ułożyła się z gracją na pokrytej gęstym futrem piankowej kanapie. Miała lekko nadąsaną minę, gdyż Stettin nie zwracał na nią uwagi.

— Panie — mówił Meirus, używając jedynego tytułu odpowiedniego dla władcy, który mianował się Pierwszym Obywatelem — nie dostrzegasz tego, że historia charakteryzuje się pewną ciągłością wydarzeń. Twe życie pełne było zaskakujących zakrętów, toteż skłonny jesteś uważać, że historia cywilizacji jest równie podatna na nagłe zmiany. Tak jednak nie jest.

— Muł dowiódł, że jest.

— Owszem, ale kto może się z nim równać? Nie zapominaj, panie, że on nie był zwykłym człowiekiem. I nawet jemu nie wszystko się powiodło.

— Misiu — jęknęła nagle żałośnie lady Callia i natychmiast skurczyła się pod wściekłym spojrzeniem Pierwszego Obywatela.

— Nie przeszkadzaj, Callia — rzekł szorstko Stettin. — Meirus, mam już dość bezczynności. Męczy mnie to. Mój poprzednik poświęcił całe życie na to, żeby uczynić z floty bezbłędnie działający mechanizm. Nie ma sobie równej w całej Galaktyce. I co z tego? Umarł, nie wykorzystawszy ani razu tej maszyny. I teraz ja mam robić to samo? Ja — admirał tej floty? Czy dużo trzeba czasu, żeby ta wspaniała maszyna zardzewiała? Na razie ciągnie krocie ze skarbca i nic nie daje w zamian. Oficerowie rwą się do działania, marzą o panowaniu nad przestrzenią, a załogi śnią o łupach. Cały Kalgan pragnie odrodzenia Imperium i sławy. Nie rozumiesz tego?

To tylko słowa, panie. Rozumiem je. Panowanie nad przestrzenią, łupy, sława — to wszystko jest bardzo przyjemne, kiedy się już to ma, ale osiągnięcie tego jest bardzo ryzykowne i zawsze nieprzyjemne. Sukcesy mogą się kiedyś skończyć. A historia dowodzi, że zaatakowanie ‚Fundacji nigdy jeszcze nie było mądrym posunięciem. Nawet dla Muła lepiej by było, gdyby się od tego powstrzymał…

W błękitnych, naiwnych oczach lady Callii pojawiły się łzy. Ostatnio Misio prawie jej nie zauważał, a kiedy wreszcie przyrzekł, że spędzi z nią wieczór, wtargnął tu ten wstrętny, siwy chudzielec, który zawsze zdawał się patrzeć przez nią zamiast na nią. I Misio nie wyrzucił go. Nie śmiała się odezwać, przestraszyło ją nawet łkanie, które mimo wysiłków wyrwało się jej z piersi.

Misio mówił teraz w sposób, którego nie cierpiała — twardym, nieustępliwym głosem.

— Myślisz według starych schematów. Fundacja przewyższa nas obszarem i liczbą ludności, ale jej poszczególne części są ze sobą luźno powiązane i rozpadną się od jednego ciosu. Tylko inercją trzyma je w kupie, a ja jestem wystarczająco silny, żeby poradzić sobie z inercją. Przesłania ci spojrzenie pamięć o odległych czasach, kiedy tylko Fundacja dysponowała energią jądrową. Udało im się uniknąć potężnego uderzenia, na które zdobyło się pod koniec swoich dni rozkładające się Imperium, a potem za jedynych przeciwników mieli już tylko wojowniczych, ale ograniczonych i skłóconych ze sobą królików, którzy atomowym statkom Fundacji mogli przeciwstawić tylko sypiące się wraki.

Ale Muł, mój drogi, zmienił ten stan rzeczy. Wiedzę, której Fundacja zazdrośnie strzegła dla siebie, upowszechnił w całej Galaktyce i skończył się ich monopol ha naukę. Teraz nie jesteśmy od nich gorsi.

— A Druga Fundacja? — spytał chłodno Meirus.

— Druga Fundacja? — powtórzył równie zimno Stettin. — Może znasz ich zamiary, co? Potrzebowali dziesięciu lat, żeby powstrzymać Muła, jeśli — w co niektórzy wątpią — zrobili to istotnie. Nie wiesz o tym, że znakomita większość psychologów i socjologów w Fundacji jest zdania, że Muł zupełnie zniweczył Plan Seldona? Jeśli Plan upadł, to powstała próżnia, którą równie dobrze mogę ja wypełnić.

— Za mało wiemy na ten temat, żeby ryzykować taką grę.

— My może wiemy za mało, ale mamy tu akurat gościa z Fundacji. Nie wiedziałeś p tym? Niejaki Homir Munn, który, z tego co wiem, pisze artykuły o Mule i który jest dokładnie tego zdania, że Plan Seldona upadł.

Pierwszy Minister pokiwał głową.

— Słyszałem o nim, a przynajmniej o tym, co pisze. Czego on tu szuka?

— Prosi o zezwolenie na wstęp do pałacu Muła.

— Ach tak? Najmądrzej byłoby mu odmówić.

Nie jest dobrze postępować wbrew przesądom, w które wierzy cała planeta.

— Zastanowię się nad tym i porozmawiamy jeszcze raz.

Meirus złożył głęboki ukłon i wyszedł. Lady Callia spytała płaczliwym głosem:

— Gniewasz się na mnie, Misiu?

Stettin odwrócił się do niej ze złością.

— Ile razy ci mówiłem, żebyś nie używała tego idiotycznego imienia w obecności innych osób?

— Dawniej lubiłeś, kiedy cię tak nazywałam.

— Ale już nie lubię i żeby się to nigdy więcej nie powtórzyło!

Patrzył na nią posępnie. Dziwił się sam sobie, że jeszcze ją toleruje. Była łagodnym, głupiutkim stworzeniem, miała przyjemne ciało i darzyła go bojaźliwą miłością, która przyjemnie urozmaicała surowe życie żołnierza. Ale ta miłość zaczynała już być uciążliwa. Marzyła o małżeństwie, o tym, że zostanie pierwszą damą w państwie! Zabawne!

Wszystko było w porządku, dopóki był tylko admirałem, ale teraz, jako zdobywca i Pierwszy Admirał, miał większe ambicje. Potrzebował potomków, którzy mogliby zjednoczyć jego przyszłe państwo, potrzebne mu było to, czego nie miał i nie mógł mieć Muł, czego brak spowodował, że nowe imperium nie przetrwało swego założyciela. Jemu, Stettinowi, potrzebna była kobieta pochodząca z któregoś z wielkich historycznych rodów Fundacji, kobieta, z którą mógłby założyć dynastię.

Pomyślał, że właściwie mógłby się pozbyć Callii już teraz. Nie byłoby z tym żadnego kłopotu. Trochę by pojęczała… Odegnał tę

myśl. Miała jednak pewne zalety i doceniał je od czasu do czasu.

Callia poweselała. Podniosła się jednym płynnym ruchem i ulegle przytuliła do niego.

— Nie będziesz na mnie krzyczał, prawda?

— Nie — pogładził ją bezwiednie. — Posiedź chwilę cicho, dobrze? Muszę pomyśleć.

— O tym człowieku z Fundacji?

— Tak.

— Misiu… — w jej głosie była prośba.

— Co?

— Misiu, mówiłeś, że ten człowiek jest z jakąś dziewczynką. Pamiętasz? Czy mogłabym się z nią zobaczyć, kiedy przyjdzie? Ja nigdy…

— Co ty sobie myślisz? Myślisz, że ja chcę, żeby mi tu przyciągnął dzieciaka? Czy moja sala audiencjonalna to szkółka? Dość tych bzdur, Callia.

— Ale ja się nią zajmę, Misiu. Nie musisz się nią przejmować. Po prostu ja prawie nigdy nie widuję dzieci, a wiesz, jak je kocham.

Spojrzał na nią ironicznie. Chyba nigdy jej się nie sprzykrzą te podchody. Kocha dzieci, to znaczy — jego dzieci, to znaczy — jego dzieci z prawego łoża, to znaczy — małżeństwo z nim. Roześmiał się.

Ten konkretny maluch — rzekł — to czternaste — czy piętnastoletnia dziewczyna. Pewnie jest równie duża jak ty.

Callia wyglądała na zdruzgotaną.

— Ale i tak chciałabym ją zobaczyć. Mogę? Ona mogłaby opowiedzieć mi o Fundacji. Zawsze chciałam tam polecieć, wiesz o tym. Mój dziadek pochodził z Fundacji. Zabierzesz mnie tam kiedy, Misiu?

Stettin uśmiechnął się. Może zabierze — jako zdobywca. Dobry nastrój, w jaki wprawiła go ta myśl, wyraził się w słowach:

— Tak, tak. Możesz się spotkać z tą dziewczyną i gadać z nią do woli o Fundacji. Tylko nie przy mnie, pamiętaj.

— Daję słowo, że nie będę ci przeszkadzała. Zaprowadzę ją do siebie.

Znowu była szczęśliwa. Nieczęsto się ostatnio zdarzało, że mogła robić to, na co miała ochotę. Zarzuciła mu ręce na szyję i poczuła, jak po pewnym wahaniu jego mięśnie rozluźniają się i ciężka głowa opiera się na jej ramieniu.

13. LADY CALLIA

Arkadia triumfowała. Ileż się zmieniło od czasu, kiedy Pelleas Anthor wetknął swą durną głowę w okno jej pokoju — a wszystko stało się dzięki temu, że miała wyobraźnię i odwagę, żeby zrobić to, co trzeba było zrobić.

I oto jest na Kalganie. Była w Teatrze Głównym — największym w Galaktyce — i widziała na własne oczy wielkie gwiazdy piosenki, słynne nawet w odległej Fundacji. Wybrała się sama na zakupy w Aleję Kwiatów, centrum mody najweselszego świata w przestrzeni. I sama sobie wszystko wybrała, bo Homir Munn nie miał najmniejszego pojęcia o tych sprawach. Sprzedawczynie nie miały nic przeciw temu, że kupuje długie, lśniące suknie z pionowymi fałdami, które dodawały jej wzrostu — a przyczyniła się do tego waluta Fundacji. Homir dał jej dziesięciokredytowy banknot i kiedy wymieniła go na miejscowe kalganidy, zrobił się z tego bardzo gruby plik pieniędzy.

Była nawet u fryzjera i zmieniła uczesanie — z tyłu włosy raczej krótko podcięte, a na skroniach dwa lśniące loki. I w ogóle tak je umyto, że nigdy jeszcze nie były tak złociste — po prostu aż się świeciły.

Ale to, co teraz nastąpiło, było najlepsze ze wszystkiego. Z pewnością pałac władcy, Stettina, nie był tak wspaniały i tak bogato zdobiony jak teatry ani tak tajemniczy i historyczny jak stary pałac Muła, którego wieże widziała jak dotąd tylko z daleka, podczas przelotu nad planetą, ale — wyobraźcie sobie — była u prawdziwego władcy! Upajała się tą myślą.

A to jeszcze nie wszystko. Siedziała jakby nigdy nic sam na sam z jego Metresą. Arkadia wymawiała w myśli to słowo z dużej litery, ponieważ wiedziała, jaką rolę odgrywają takie kobiety w historii, znała ich czar i potęgę. Prawdę mówiąc, często wyobrażała sobie, że sama zostanie taką wpływową i błyszczącą na salonach kobietą, ale jakoś metresy nie były w modzie w Fundacji, a poza tym, gdyby doszło do czegoś, jej ojciec prawdopodobnie nie zgodziłby się na to.

Oczywiście lady Callia niezupełnie odpowiadała wyobrażeniom Arkadii o tym typie kobiet. Przede wszystkim, była raczej pulchna, a poza tym wcale nie wyglądała na osobę groźną i podstępną. Taka jakaś wyblakła, i do tego, zdaje się. krótkowidz. Głos też miała wysoki, a nie gardłowy i…

— Może chcesz jeszcze herbaty, dziecko? — spytała Callia.

— Proszę jeszcze jedną filiżankę, wasza dostojność (a może trzeba powiedzieć „wasza wysokość”? — pomyślała zaraz).

— Śliczne masz perły, pani — mówiła dalej Arkadia ze swobodą konesera sztuki (właściwie „pani” jest chyba najlepsze — pomyślała).

— Och, naprawdę? — wyglądało na to, że ta uwaga sprawiła Callii przyjemność. Zdjęła naszyjnik i bawiła się nim. — Podobają ci się? Jeśli tak, to mogę ci je dać.

— O rany… Pani naprawdę myśli… — perły znalazły się w jej dłoni, ale zaraz oddała je z wyraźnym żalem. — To by się nie podobało ojcu.

— Nie podobałyby mii się? Dlaczego? Są naprawdę ładne.

— Chciałam powiedzieć, że nie podobałoby mu się, gdybym je przyjęła. On zawsze powtarza: „Nie wolno ci przyjmować drogich prezentów od obcych ludzi".

— Nie wolno? Ale… to znaczy, to jest prezent od Mi… od Pierwszego Obywatela. Myślisz, że źle zrobiłam, przyjmując je?

Arkadia poczerwieniała.

— Nie miałam na myśli…

Ale Callii znudził się już ten temat. Naszyjnik zsunął się na podłogę, lecz nie schyliła się nawet, by go podnieść.

— Miałaś mi opowiedzieć o Fundacji. Zacznij, proszę.

Arkadia znalazła się nagle w rozterce. Co tu można powiedzieć o tak rozpaczliwie nudnym i bezbarwnym świecie! Dla niej Fundacja sprowadzała się do wygodnego domu na przedmieściu, nudnego obowiązku nauki i monotonnego rytuału spokojnych, codziennych zajęć. Powiedziała niepewnie:

— Myślę, że jest akurat tak, jak w książkach na taśmie.

— Ach, oglądasz książki na taśmie? Ja nie mogę, bo zaraz dostaję bólu głowy. Ale wiesz, bardzo lubię historie video o waszych Handlarzach, takich prawdziwych, silnych mężczyznach. To naprawdę podniecające. Czy twój przyjaciel, pan Munn, jest Handlarzem? Niezupełnie wygląda na takiego silnego mężczyznę. Handlarze przeważnie mają brody i mówią basem, i tyranizują kobiety — prawda? Arkadia uśmiechnęła się. — To część naszej historii, pani. To znaczy, w początkach istnienia Handlarze byli pionierami. Poszerzali nasze granice i cywilizowali resztę Galaktyki. Uczyliśmy się o tym w szkole. Ale te czasy minęły. Nie ma już Handlarzy, tylko korporacje i takie tam rzeczy.

— Naprawdę? Jaka szkoda. To czym się zajmuje pan Munn? To znaczy, co robi, skoro nie jest Handlarzem?

— Wujek Homir jest bibliotekarzem.

Callia zakryła usta ręką i zachichotała.

— Chcesz powiedzieć, że pilnuje książek? Ojej! Żeby dorosły mężczyzna zajmował się takimi głupstwami!

— To bardzo dobry bibliotekarz, pani. Bibliotekarz to zawód bardzo poważany w Fundacji. — Odstawiła na wykonany z mlecznego metalu stolik małą opalizującą filiżankę.

Lady Callia zaniepokoiła się.

— Ależ, drogie dziecko, nie chciałam cię urazić. To na pewno bardzo inteligentny człowiek. Zauważyłam to w jego oczach, kiedy tylko na niego spojrzałam. Były takie… takie inteligentne. A poza tym musi być odważny, skoro chce obejrzeć pałac Muła.

— Odważny? — Arkadia sprężyła się wewnętrznie. To było to, na co czekała. Intryga! Intryga! Spytała z doskonałą obojętnością, oglądając z zainteresowaniem swe paznokcie: — A dlaczego trzeba być odważnym, żeby obejrzeć pałac Muła?

— Nie wiesz? — oczy Callii zrobiły się okrągłe ze zdziwienia. Zniżyła głos: — Ciąży na nim klątwa. Na łożu śmierci Muł nakazał, aby nikt nie ośmielił się wejść do pałacu, zanim powstanie Imperium Galaktyczne. Nikt na Kalganie nie odważy się nawet pomyśleć, że mógłby tam wejść.

Arkadia przyjęła to spokojnie.

— Ależ to zabobon! — rzekła.

Nie mów tak — Callia była wyraźnie przygnębiona. — Misio też tak zawsze mówi. Chociaż mówi też, że nie trzeba tego głośno powtarzać, bo ta wiara pomaga mu trzymać ludzi w posłuszeństwie. Ale zauważyłam, że sam też tam nigdy nie był. Ani Thallos, który był Pierwszym Obywatelem przed Misiem. — Przyszło jej nagle coś do głowy, bo znowu spytała z ciekawością: — Ale dlaczego pan Munnchce obejrzeć ten pałac?

To był właśnie moment, w którym Arkadia mogła zacząć realizować swój dokładnie obmyślony plan. Wiedziała doskonałe z książek, że metresa władcy jest osobą, która faktycznie sprawuje rządy, że wywiera przemożny wpływ na wszystkie jego decyzje. Dlatego, jeśli wujek Homir nie wskóra nic u Stettina — a była pewna, że tak się stanie — ona musi naprawić to niepowodzenie przy pomocy lady Callii. Co prawda, lady Callia była zagadkową postacią. Wydawała się zupełnie tępa. No, ale z drugiej strony historia dowodzi…

— Jest pewien powód, pani — rzekła — ale czy zachowasz to w sekrecie?

— Jak pragnę szczęścia! — odparła Callia, robiąc przy tym odpowiedni gest nad białymi, falującymi piersiami.

Arkadia wiedziała z góry, że taka będzie odpowiedź.

— Wujek Homir jest wielkim autorytetem w sprawach Muła. Napisał o tym całą masę książek. Otóż on uważa, że z chwilą kiedy Muł podbił Fundację, zmieniła się cała historia Galaktyki.

— Ojej!

— On uważa, że Plan Seldona…

Callia z rozradowaną miną klasnęła w ręce, — Słyszałam o Planie Seldona! W każdym videofilmie o Handlarzach mówi się o tym. Podobno ten plan był tak zrobiony, żeby Fundacja zawsze zwyciężyła.

To ma coś wspólnego z nauką, chociaż nigdy nie mogłam się zorientować co. Zawsze się denerwuję, kiedy mam słuchać wyjaśnień. Ale mów dalej, kochanie. Ty wyjaśniasz zupełnie inaczej. Wszystko wydaje się takie proste.

— No więc sama widzisz, pani — podjęła na nowo Arkadia — że kiedy Fundacja została pobita przez Muła, Plan Seldona zawiódł i od tamtej pory już się nie liczy. I kto teraz utworzy Drugie Imperium?

— Drugie Imperium?

Tak, pewnego dnia musi ono powstać, ale jak? To właśnie jest problem. No i jest jeszcze Druga Fundacja.

— Druga Fundacja? — lady Callia była zupełnie zdezorientowana.

Tak, oni planują bieg wydarzeń, są następcami Seldona. Powstrzymali Muła, ponieważ jego działanie było przedwczesne, ale teraz mogą popierać Kalgan.

— Dlaczego?

— Dlatego, że teraz Kalgan ma najwięcej danych, żeby stać się zalążkiem nowego imperium.

Wyglądało na to, że lady Callia zaczyna powoli rozumieć.

— Chcesz powiedzieć, że Misio ma stworzyć nowe imperium?

Tego nie można stwierdzić na pewno. Tak myśli wujek Homir, ale żeby się upewnić, musi przejrzeć archiwum Muła.

— To wszystko jest takie skomplikowane — rzekła lady Callia niepewnym głosem.

Arkadia poddała się. Zrobiła wszystko, co mogła.

Pierwszy Obywatel Stettin był w złym humorze. Spotkanie z tym niewydarzonym fajtłapą z Fundacji było zupełnie bezproduktywne. A nawet gorzej — było irytujące. Być absolutnym władcą dwudziestu siedmiu światów, dysponować największą w Galaktyce siłą militarną, mieć najbardziej w całym wszechświecie wybujałą ambicję i rozmawiać o jakichś bzdurach z antykwariuszem! Niech to szlag trafi.

Miał pogwałcić zwyczaje obowiązujące na Kalganie, tak? Miał pozwolić na to, żeby przewrócono do góry nogami pałac Muła, i to tylko po to, żeby jakiś dureń mógł napisać kolejną książkę? Poszukiwania naukowe! Autorytet wiedzy! Czy ten wymoczek wyobrażał sobie, że on poważnie weźmie takie frazesy? A poza tym — ścierpła mu lekko skóra, gdy to pomyślał — była jeszcze sprawa klątwy Muła. Nie wierzył w to — nikt inteligentny nie mógł wierzyć w takie brednie. Ale jeśli już miał się przeciwstawić ostatniej woli Muła, to z ważniejszych powodów niż te, które przedstawił ten dureń.

— A ty czego tu chcesz? — warknął i lady Callia, która właśnie pokazała się w drzwiach, aż się skurczyła ze strachu.

— Jesteś zajęty?

— Tak. Jestem zajęty.

— Ale nie ma tu nikogo, Misiu. Nie mogę z tobą porozmawiać

nawet przez chwilę?

— Na Galaktykę! Czego chcesz? Mów szybko.

— Ta dziewczynka — zaczęła, jąkając się — powiedziała mi, że wybierają się do pałacu Muła. Pomyślałam, że mogłabym z nimi iść. Tam, w środku, musi być wspaniale.

— Powiedziała ci tak? A ja ci mówię, że ani oni się tam nie wybierają, ani my. Teraz wracaj do swoich. spraw. Mam cię już prawie powyżej uszu.

— Ależ, Misiu, dlaczego się nie wybierają? Nie chcesz im pozwolić? Ta dziewczynka mówiła, że ty stworzysz imperium!

— Nie obchodzi mnie, co mówiła… Zaraz, co powiedziałaś? — Podszedł szybko do Callii i chwycił ją tak mocno za ramię, że jego palce wpiły się w. jej ciało. — Co ci mówiła?

— Boli mnie. Nie mogę sobie przypomnieć, co mówiła, kiedy się tak na mnie patrzysz.

Puścił ją. Przez chwilę masowała ramię, na którym wyraźnie widać było czerwone ślady jego palców. Potem rzekła płaczliwie.

— Musiałam jej obiecać, że ci nie powiem.

— To źle. Mów! I to zaraz.

— Mówiła, że Plan Seldona został zmieniony i że gdzieś tam jest inna Fundacja, która stara się, żebyś stworzył nowe imperium. To wszystko. Aha, i mówiła, że pan Munn to ważny uczony i że potwierdzenie tego wszystkiego można znaleźć w pałacu Muła. To dokładnie wszystko, co powiedziała. Gniewasz się?

Ale Stettin nic nie odpowiedział. Wyszedł spiesznie z pokoju, zostawiając Callię w niepewności. Spoglądała za nim żałośnie swymi wielkimi jak u krowy oczami. Nie minęła godzina, jak zostały wysłane dwa rozkazy opatrzone urzędową pieczęcią Pierwszego Obywatela. Skutkiem jednego z nich pięćset liniowców wzniosło się w przestrzeń na, jak to oficjalnie określono, ćwiczenia operacyjne. Drugi natomiast dotyczył tylko jednego człowieka i wprawił go w wielką konfuzję.

Homir Munn skończył właśnie przygotowania do odlotu, kiedy dotarł do niego drugi ze wspomnianych rozkazów Stettina. Był to, oczywiście, nie tyle rozkaz, ile oficjalne pozwolenie na wstęp do pałacu Muła. Munn czytał je kilka razy, ale jakoś nie czuł z tego powodu wielkiej radości.

Za to Arkadia była uszczęśliwiona. Wiedziała, co się stało. A w każdym razie myślała, że wie.

14. TRWOGA

Poli stawiała śniadanie na stole, patrząc jednym okiem na telewizor wyrzucający z siebie spokojnie najnowsze wiadomości. Można było bez obawy zastawiać stół, a jednocześnie zerkać w inną stronę. Wszystkie składniki śniadania znajdowały się w sterylnych pojemnikach jednorazowego użytku, w których się je od razu podgrzewało, więc przyrządzenie śniadania sprowadzało się dla niej do sporządzenia menu, ustawienia pojemników na stole i uprzątnięcia ich po posiłku.

Naraz zamarła w bezruchu, a potem jęknęła:

— Och, jacy ludzie się niegodziwi — a Darell mruknął coś pod nosem w odpowiedzi.

Jej głos wzniósł się do poziomu przenikliwego jazgotu, w który zawsze automatycznie wpadała, kiedy zaczynała lamentować nad nikczemnością świata.

— No i niech pan teraz powie, czemu ci okropni Kalgańczycy — mocno zaakcentowała drugą sylabę, przeciągając „a” — tak postępują? Wszyscy już myśleli,. że wreszcie dadzą spokój. Ale nie — cały czas tylko mącą i mącą.

Niech pan tylko spojrzy na ten tytuł „Zamieszki przed konsulatem Fundacji”. No, ja bym im coś powiedziała, gdyby to zależało ode mnie. Cały kłopot z ludźmi, że mają krótką pamięć. Zapominają, i już — zupełnie jakby w ogóle byli bez pamięci. Niech pan, doktorze, pomyśli o tej ostatniej wojnie, jak umarł Muł — oczywiście byłam wtedy jeszcze mała — nic, tylko zmartwienia i kłopoty. Zabili mojego rodzonego wuja, miał dopiero dwadzieścia parę lat i zostawił młodą żonę — dopiero dwa lata po ślubie — z małym dzieckiem. Nawet go pamiętam — miał jasne włosy i taki dołek w brodzie. Mam gdzieś jego trójwymiarowe zdjęcie… A teraz to jego dziecko — to była dziewczynka — ma już dorosłego syna, i też służy we flocie i wszystko się może zdarzyć… No więc nasi latali na patrole, i wszyscy dorośli zmieniali się tylko stale w obronie stratosferycznej… wyobrażam sobie, co by zrobili, gdyby Kalgańczycy posunęli się tak daleko. Mama opowiadała nam, że racjonowano wtedy jedzenie, i jakie były ceny i podatki. Człowiek ledwo wiązał koniec z końcem.

Człowiek sobie myśli, że jak by naród miał trochę rozumu, to za nic by nie chciał zaczynać na nowo, tylko by się trzymał od tego jak najdalej. I po mojemu, to nie ludzie to robią — taki Kalgańczyk to też by wolał siedzieć z żoną w domu, a nie tłuc się statkiem gdzieś po przestrzeni, żeby go w końcu zabili. To ten straszny typ, Stettin. Aż dziw bierze, że tacy ludzie jeszcze żyją. Zabił tego poprzedniego — jak mu tam — aha, Thallos, i teraz rozrabia, bo chce być szefem

wszystkiego.

Ale dlaczego zaczyna z nami, to już naprawdę nie wiem. Musi przegrać, jak zawsze. Może to wszystko jest w Planie, ale czasem sobie myślę, że to musi być zły plan — tyle wojen i zabijania, chociaż oczywiście nie powiem nic złego o Seldonie, bo on na pewno wie lepiej niż ja i może jestem za głupia, żeby się go czepiać. A ta inna Fundacja też jest dobra. Mogli przecież teraz ich zatrzymać i wszystko by było dobrze. Pewnie i tak to w końcu zrobią i człowiek ma nadzieję, że zdążą, zanim zacznie być naprawdę źle.

Doktor Darell podniósł głowę znad śniadania.

— Mówiłaś coś, Poli?

Poli otworzyła szeroko oczy ze zdumienia, a potem zmrużyła je ze złością.

— Nic, doktorze, w ogóle nic. Ja tu nie mam nic do gadania. Człowiek prędzej skona, niż można coś powiedzieć w tym domu. Tylko skocz tu, skocz tam, ale spróbuj coś powiedzieć… — I odeszła, kipiąc ze złości i mrucząc coś pod nosem.

Jej wyjście nie zrobiło na Darellu większego wrażenia niż jej gadanie.

Kalgan! Bzdura! Zwykły fizyczny przeciwnik! Tacy już nieraz dostawali łupnia.

Mimo to, nie mógł się trzymać z dala od tego głupiego kryzysu. Tydzień wcześniej burmistrz zaproponował mu stanowisko Pełnomocnika do Spraw Badań i Postępu Naukowego. Obiecał dać odpowiedź dzisiaj.

No, cóż…

Wiercił się niespokojnie na krześle. Że też akurat jemu musiano to zaproponować. Ale czy mógł odmówić? Wyglądałoby to dziwnie, a tego wolał nie ryzykować. W końcu, co go obchodzi Kalgan! Dla niego był tylko jeden wróg. Zawsze ten sam.

Dopóki żyła żona, cieszył się, że ma powód, by się sam przed sobą usprawiedliwiać z wymigiwania się od obowiązku. Krył się. Te długie, spokojne dni spędzone na Trantorze, wśród zabytkowych ruin! Cisza zrujnowanego świata i zapomnienie!

Ale żona zmarła. To wszystko trwało zaledwie pięć lat, a kiedy się skończyło, wiedział, że może żyć tylko w jeden sposób — walcząc z tym nieuchwytnym, ale groźnym wrogiem, który, rządząc jego przeznaczeniem, pozbawiał go ludzkiej godności, który czynił jego życie nędznym pełznięciem do z — góry określonego celu, który rozgrywał losy wszechświata jak jakąś wstrętną i nieubłaganie planową partię szachów.

Można to nazwać sublimacją — on sam tak to określał — ale ta walka nadała sens jego życiu.

Najpierw podjął pracę na Uniwersytecie Santańskim, u profesora

Kleisego. Dobrze wykorzystał te pięć lat.

Ale Kleise był tylko zbieraczem danych. Nie mogło mu się powieść w osiągnięciu prawdziwego celu i kiedy Darell uświadomił to sobie z całą ostrością, uznał, że pora odejść.

Cóż z tego, że Kleise otaczał swoje badania tajemnicą, kiedy musiał mieć ludzi, którzy pracowali z nim i dla niego. Miał osoby, których mózgi sondował. I miał uniwersytet, który go finansował. To wszystko były słabości.

Kleise nie potrafił tego zrozumieć, a on, Darell, nie był w stanie mu tego wytłumaczyć. Rozstali się jak wrogowie. I dobrze się stało — musieli się tak rozstać. Musiał zrezygnować z pracy w uniwersytecie z powodu braku wyników — na wypadek, gdyby go ktoś obserwował.

Kleise pracował nad wykresami, Darell nad formułami matematycznymi, których nigdzie nie zapisywał i które krył w zakamarkach swego mózgu. Kleise pracował z wieloosobowym zespołem, Darell — sam. Kleise na uniwersytecie, Darell w zaciszu swego domu na przedmieściu.

I już prawie osiągnął swój cel.

Jeśli wziąć pod uwagę mózg, członek Drugiej Fundacji nie jest człowiekiem w normalnym znaczeniu tego słowa, Najbystrzejszy fizjolog czy najbardziej doświadczony neurochemik mogą nic nie wykryć, ale musi być jakaś różnica. A ponieważ różnica ta dotyczy mózgu, tam właśnie należy jej szukać.

Weźmy człowieka takiego jak Muł — a nie ma wątpliwości, że mieszkańcy Drugiej Fundacji posiadają identyczne jak on zdolności, bez względu na to, czy są one wrodzone czy nabyte — z umiejętnością odkrywania i manipulowania ludzkimi uczuciami, wydedukujmy stąd potrzebny obwód elektroniczny, a z tego z kolei niezbędne szczegóły budowy encefalografu, przed którym ukrycie takiej umiejętności będzie już niemożliwe.

I teraz w jego życiu znowu pojawia się Kleise, w osobie swego żarliwego młodego ucznia, Anthora.

Przecież to szaleństwo! Zjawia się tu z tymi swoimi wykresami i encefalogramami osób, do których dobrała się Druga Fundacja. On, Darell, nauczył się wykrywać takie zmiany w mózgu już wiele lat temu, ale jaki z tego pożytek? Chciał znaleźć sprawcę, nie narzędzie. Mimo to był zmuszony zgodzić się na współpracę z Anthorem, gdyż dawało to większą szansę ukrycia się.

Tak samo teraz zostanie Pełnomocnikiem do Spraw Badań i Postępu Naukowego. To również daje większą szansę ukrycia się! I tak stworzył konspirację w konspiracji.

Pomyślał o Arkadii i zdenerwował się, ale szybko się otrząsnął. Gdyby pozostawiono go samego, nigdy by się to nie wydarzyło. Gdyby pozostawiono go samego, niebezpieczeństwo nie groziłoby nikomu

oprócz niego. Gdyby pozostawiono go samego…

Poczuł, że wzbiera w nim gniew, gniew na nieżyjącego Kleisego, na żyjącego Anthora, na tych wszystkich pełnych dobrych intencji głupców…

No cóż, powinna dać sobie radę. Jak na swój wiek, była bardzo dojrzała. Powinna dać sobie radę! Było to jego pobożne życzenie…

Ale czy dawała sobie radę?

W chwili, kiedy doktor Darell powtarzał, sobie ponuro, że powinna dać sobie radę, Arkadia siedziała w zimnym, surowym przedpokoju Urzędu Pierwszego Obywatela Galaktyki, przenosząc wzrok z jednej ściany na drugą. Siedziała tam już dobre pół godziny. Kiedy przekroczyła, wraz z Homirem Munnem próg Urzędu, zauważyła przy drzwiach dwóch uzbrojonych wartowników. Poprzednim razem nie było ich.

Była teraz sama, ale wyczuwała czającą się w budynku wrogość. Nawet urządzenie tego wnętrza wydawało się nieprzyjazne. Po raz pierwszy. Co to mogło być?

Homir był u Stettina. A zatem co było nie tak?

Doprowadzało ją to do wściekłości. W książkofilmach i na video bohater w podobnej sytuacji przewidywał, co się stanie, i był na to z góry przygotowany, a tymczasem ona… ona siedziała i nic. Wszystko mogło się zdarzyć. Dosłownie wszystko! A ona siedziała i nic.

Zaraz, bez nerwów. Trzeba to wszystko przemyśleć od początku. Może nasunie się jakieś wyjaśnienie.

Przez dwa tygodnie Homir prawie nie wychodził z pałacu Muła. Zabrał ją raz ze sobą, za zgodą Stettina. Była to potężna i ponura budowla, pogrążona — zdało się — we wspomnieniach przeszłości. W opustoszałych salach głucho dźwięczały ich kroki. Arkadii zdecydowanie się to nie podobało. Wolała szerokie, gwarne i wesołe ulice stolicy, teatry i przedstawienia, którym nie było końca na tym świecie, zdecydowanie uboższym od Fundacji, ale nie szczerzącym pieniędzy na pokazanie się.

Homir wracał wieczorami przejęty…

— Dla mnie to świat z bajki — mówił szeptem. — Gdybym tylko mógł rozebrać ten pałac i kamień po kamieniu, warstwa po warstwie gąbki aluminiowej, przenieść go na Terminusa… Jakież by to było muzeum!

Jego dawne ociąganie się i niechęć do tego, co mu przyszło robić, zniknęły bez śladu. Teraz wręcz płonął chęcią działania. Nieomylnym tego znakiem, który oczywiście nie uszedł uwadze Arkadii, był fakt, że przez cały ten okres praktycznie ani razu się nie zająknął.

Pewnego razu powiedział:

— Są tam streszczenia notatek generała Pritchera…

— Słyszałam o nim. Pochodził z Fundacji, ale był zdrajcą i

przeczesywał całą przestrzeń w poszukiwaniu Drugiej Fundacji, prawda?

— Niezupełnie zdrajcą, Arkady. Muł odmienił go.

— To na jedno wychodzi.

— To przeczesywanie, jak to nazwałaś, było absolutnie beznadziejnym przedsięwzięciem. Oryginalny zapis Konferencji Seldonowskiej na której pięćset lat temu powzięto decyzję o założeniu obu Fundacji, tylko napomyka o Drugiej Fundacji. Pisze tam, że znajduje się ona „na drugim końcu Galaktyki, na Krańcu Gwiazdy". To wszystko, na czym mogli się oprzeć Muł i Pritcher. Nie dysponowali żadną metodą rozpoznania Drugiej Fundacji, nawet gdyby ją znaleźli. Cóż za szaleństwo!

— Sporządzili notatki — mówił teraz sam do siebie, ale Arkadia pilnie słuchała — dotyczące prawie tysiąca światów, a tymczasem liczba światów, które trzeba brać pod uwagę w tej sprawie, musi być bliska miliona. My też nie jesteśmy w lepszej sytuacji…

Arkadia przerwała mu z lękiem:

— Ćśśś!

Homir zdrętwiał i doszedł do siebie dopiero po dłuższej chwili. — Lepiej przestańmy rozmawiać — wymamrotał.

A teraz Homir był u Stettina, a Arkadia czekała sama w przedpokoju i zupełnie bez powodu czuła, jak krew zamiera jej w żyłach. I to było najbardziej przerażające. Fakt, że wydawało się nie być ku temu żadnego powodu.

Znajdujący się po drugiej stronie drzwi Homir też czuł dziwną miękkość w kolanach. Starał się z całej siły powstrzymać jąkanie, ale oczywiście skutek tego był taki, że mógł wymówić czysto nie więcej niż dwa słowa naraz.

Stettin — sześć stóp i sześć cali wzrostu, wydatna szczęka i zdecydowane spojrzenie — był w pełnym umundurowaniu. Mówił, machając rytmicznie potężną, zaciśniętą w pięść dłonią:

— Miał pan dwa tygodnie czasu, a teraz przychodzi pan do mnie z pustym gadaniem. No, śmiało, chcę wiedzieć, co mnie czeka, i nie obawiam się najgorszych wiadomości. Czyżby moja flota miała zostać rozbita w puch? Czyżbym miał walczyć nie tylko z ludźmi z Pierwszej, ale także z widmem Drugiej Fundacji?

— Po… powtarzam, panie, że nie jestem p… prorokiem. Z… zupełnie nie n… nie wiem.

— Ale może chce pan wrócić i ostrzec swoich rodaków? Na głęboką Przestrzeń, dosyć tego udawania! Albo powie mi pan prawdę, albo sam ją z pana wyciągnę, razem z flakami.

— M… mówię szczerą p… prawdę i proszę p… panie, żebyś n… nie zapominał, że jestem obywatelem Fundacji. Jeśli m… mi się coś stanie, to możesz, p… panie, p… później tego żałować.

Władca Kalgana roześmiał się gromko:

— To pogróżki dobre dla dzieci. Może pan to schować dla jakiegoś idioty. No cóż, panie Munn, byłem cierpliwy. Słuchałem przez dwadzieścia minut tych nudnych bredni, których wymyślenie musiało pana kosztować bezsenną noc. Na darmo się pan trudził. Wiem doskonale, że nie przybył pan tu tylko po to, żeby wygrzebać w archiwum Muła jakąś ciekawostkę… Miał pan inny cel, choć nie chce pan się do tego przyznać. Prawda?

W oczach Homira Munna pojawiło się przerażenie. Stettin dostrzegł to i klepnął go w ramię z taką siłą, że zachwiał się nie tylko bibliotekarz, ale i krzesło pod nim.

— Dobrze. A więc porozmawiajmy teraz szczerze. Bada pan Plan Seldona. Wie pan, że jest on już nieaktualny. Wie pan, być może, że teraz ja muszę nieuchronnie wygrać — ja i moi następcy. Czy to ważne, człowieku, kto, stworzy Drugie Imperium? Wystarczy, że zostanie utworzone. Historia nie ma swoich faworytów, prawda? Boi się pan mi powiedzieć? Widzi pan teraz, że znam cel pańskiej misji.

— Czego p… pan chce ode m… mnie? — spytał Munn ochrypłym głosem.

— Pana współpracy. Nie chciałbym popsuć czegoś w Planie przez nadmierną pewność siebie. Pan się zna na tym lepiej niż ja, może pan wykryć jakieś drobne usterki, których ja nic zauważę. Dobrze pana wynagrodzę — dostanie pan swój udział w łupach. Czego pan się spodziewa w Fundacji? Odwrócić bieg wydarzeń? Zapobiec nieuniknionej prawdopodobnie porażce? Przedłużyć wojnę? A może jest pan po prostu patriotą i chce oddać życie za swój kraj?

— J… ja… — zaczął Munn, ale zaciął się na dobre i nie powiedział ani słowa.

— Zostanie pan — rzekł pewnym siebie głosem władca Kalgana. — Nie ma pan wyboru. Chwileczkę… — przypomniał sobie coś. — Mam informację, że pańska bratanica pochodzi z rodu Bayty Darell.

— Tak — zdołał wykrztusić Homir. W tej chwili nie czuł się na siłach, aby mówić coś poza szczerą prawdą.

— Czy to znacząca rodzina w Fundacji?

Homir skinął głową i rzekł:

— Taka, że na pewno n»e z… zniosą, żeby im się s… stała jakaś k… krzywda.

— Krzywda? Niech pan nie będzie idiotą. Myślę o czymś zupełnie przeciwnym. Ile ona ma lat?

— Czternaście.

— Ach tak! No, ale nawet Druga Fundacja czy sam Hari Seldon nie są w stanie przeszkodzić temu, żeby dziewczynka po pewnym czasie stała się kobietą.

Powiedziawszy to, obrócił się na pięcie i szybko podszedł do

ukrytych za kotarą drzwi, które otworzył jednym szarpnięciem. — Po jaką przestrzeń przyciągnęłaś tu swoje trzęsące się zwłoki? — ryknął.

Lady Callia zamrugała powiekami i rzekła cichutko:

— Nie wiedziałam, że jest ktoś u ciebie.

— Jest. Pomówimy o tym później, a teraz zabieraj się stąd, i to szybko.

Dobiegający z korytarza tupot świadczył, że lady Callia oddaliła się biegiem. Stettin wrócił na swoje miejsce.

— Ona to epizod, który trwa już zbyt długo. To się wkrótce skończy. Czternaście lat, powiada pan?

Homir spojrzał na niego z przerażeniem.

Arkadia poderwała się spłoszona, chwytając kątem oka jakiś ruch. Bezszelestnie otworzyły się drzwi. Ukazał się zza nich zakrzywiony palec, dający gwałtownie znaki, żeby podeszła. Przez długą chwilę trwała w miejscu, a potem, jakby sam ten widok zmusił ją do takiej ostrożności, zbliżyła się na palcach do drzwi.

Ich kroki brzmiały w korytarzu niczym zduszony szept. Była to oczywiście lady Callia. Ściskała rękę Arkadii tak mocno, że aż bolało. Arkadia jakoś nie miała nic przeciw temu, żeby iść za nią. Lady Callii przynajmniej się nie bała.

Ale co to wszystko miało znaczyć?

Znalazły się w jej buduarze. Wszystko tam było różowe, miękkie i puszyste. Lady Callia przycisnęła się plecami do drzwi.

— To było przejście do mnie… wiesz, do mojego pokoju, z jego gabinetu. Z jego, wiesz… — powiedziała, wskazując za siebie kciukiem, jak gdyby sama myśl o nim napełniała jej serce śmiertelną trwogą.

— Całe szczęście… całe szczęście… — jej źrenice tak się rozszerzyły, że wydawało się, iż błękit jej oczu pokrywa się czernią.

— Czy możesz mi, pani, powiedzieć… zaczęła nieśmiało Arkadia.

Callia podskoczyła gwałtownie.

— Nie, dziecko, nie teraz. Nie mam czasu. Zdejmij ubranie. Proszę cię. Proszę. Dam ci więcej, niż masz i nie rozpoznają cię.

Zanurzyła się w szafie, wyrzucając na podłogę sterty przeróżnych, bezużytecznych teraz szmatek i szukając gorączkowo czegoś, w czym mogłaby się pokazać dziewczynka, nie wzbudzając w nikim niezdrowych emocji.

— O, weź to. To powinno być dobre. Masz pieniądze? Bierz — weź wszystkie, i to, i to — ściągała klejnoty z palców i kolczyki z uszu. — Leć do domu… leć do domu, do Fundacji.

— Ale Homir… wujek — protestowała bez przekonania, podczas gdy lady Callia wciągała na nią przez głowę pachnącą perfumami luksusową suknię z metalicznej przędzy.

— On nie odleci stąd. Misio zatrzyma go tu na zawsze, ale ty nie możesz zostać. Ojej, nie rozumiesz, kochanie?

— Nie — Arkadia nie ruszała się z miejsca. — Nie rozumiem.

Lady Callia splotła ciasno dłonie.

— Musisz wracać, żeby ostrzec swój kraj, że będzie wojna. Chyba to jasne? — Paradoksalne, wydawało się, że przerażenie nadało jej myślom i słowom niezwykłą u niej jasność. — Teraz chodź!

Wyszły innymi drzwiami. Mijały oficerów, którzy oglądali się za nimi, ale nie widzieli powodu, aby zatrzymywać kogoś, kogo tylko władca Kalgana mógł bezkarnie zatrzymać. Kiedy przechodziły przez drzwi, strażnicy prężyli się i prezentowali broń.

Arkadia nie śmiała głębiej odetchnąć. Wydawało się jej, że ta wędrówka po korytarzach pałacu trwała całe wieki, a przecież od chwili kiedy w drzwiach przedpokoju, w którym czekała na Munna, ukazał się kiwający na nią palec lady Callii, do czasu, kiedy wreszcie znalazła się za bramą pałacu, minęło tylko dwadzieścia pięć minut.

Obejrzała się z trwogą.

— Nie… nie wiem, pani, dlaczego to robisz, ale dziękuję ci… A co będzie z wujkiem Homirem?

— Nie wiem — jęknęła lady Callia. — Na co czekasz? Jedź prosto na kosmodrom. Nie zwlekaj. On może już cię szuka.

Ale Arkadia ociągała się. Miała zostawić Homira i teraz, kiedy poczuła się swobodna, obudziła się w niej podejrzliwość.

— A jeśli tak jest, to dlaczego martwi cię to, pani? — spytała.

Lady Callia zagryzła wargi i wybąkała:

— Nie mogę ci tego powiedzieć. Jesteś jeszcze za mała. To by było nieprzyzwoite. No, wiesz, dorastasz, a ja… ja poznałam Misia, kiedy miałam szesnaście lat. Nie chcę, żebyś tu była — w jej oczach pojawiła się wrogość i zażenowanie.

Arkadia zrozumiała, co jej groziło, i zdrętwiała z przerażenia.

— A co się stanie z tobą, pani, kiedy on się o tym dowie? — wyszeptała.

— Nie wiem — odparła płaczliwym tonem lady Callia i zasłoniwszy ręką twarz, odwróciła się i pobiegła szeroką drogą wiodącą do rezydencji władcy Kalgana.

Ale Arkadia stała w miejscu jak zamurowana, bo w ostatniej chwili, zanim lady Callia odwróciła się, coś dostrzegła. W tych wielkich, przerażonych oczach pojawił się na ułamek sekundy błysk zimnej satysfakcji. Zimnej, nieludzkiej satysfakcji.

Mimo iż trwało to krócej niż mrugnięcie, Arkadia nie miała wątpliwości, że się nie przewidziała.

Puściła się pędem, szukając wolnej budki, z której przez naciśnięcie guzika mogła przywołać taksówkę.

Nie uciekała przed Stettinem. Nie uciekała przed nim ani przed

jego zgrają. , która może już deptała jej po piętach. Nie straszne jej już było jego dwadzieścia siedem światów, pędzących niby jeden wielki pies gończy jej tropem.

Uciekała jak najdalej od słabej kobiety, która pomogła jej wydostać się z pałacu. Od kobiety, która obsypała ją klejnotami i pieniędzmi, która ryzykowała własnym życiem, aby ją ocalić. Od istoty, która należała do Drugiej Fundacji.

Przed budką zatrzymała się z lekkim trzaskiem taksówka powietrzna. Wzbudzony przez nią po wiew omiótł twarz Arkadii i wzburzył włosy pod darowanym jej przez Callię kapturem z miękkiego futra.

— Dokąd jedziemy, proszę pani?

Starała się usilnie, aby jej głos zabrzmiał jak najbardziej dorośle.

— Ile tu jest kosmodromów?

— Dwa. Na który chce pani lecieć?

— A który jest bliżej? Taksówkarz spojrzał na nią.

— Kalgan Centralny, proszę pani.

— To na ten drugi. Mam pieniądze — trzymała w ręku dwudziestokalganidowy banknot. Jego nominał nie miał dla niej żadnego znaczenia, ale taksówkarz uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Gdzie tylko pani sobie życzy. Taksówką powietrzną może pani się dostać wszędzie.

Przytuliła rozpalony policzek do chłodnego, z lekka pachnącego stęchlizną oparcia. W dole przesuwały się wolno światła miasta.

Co teraz robić? Co teraz robić?

W tej chwili poczuła się małą, głupiutką dziewczynką. Ojciec był daleko i bała się. Do oczu napłynęły jej łzy. Czuła nieznośny ucisk w gardle, jakby miała wybuchnąć głośnym płaczem.

Nie bala się, że złapie ją Stettin. Lady Callia zadba, żeby do tego nie doszło. Lady Callia!

Stara, głupia, tłusta krowa, ale jakoś udawało się jej zatrzymać przy sobie Stettina. O, teraz to było zupełnie jasne. Wszystko było jasne.

Ta herbatka u Callii, na której starała się być taka chytra i inteligentna. Mądra, mała Arkadia! Nienawidziła się w tej chwili. Pokierowano nią podczas tej rozmowy i prawdopodobnie potem pokierowano Stettinem, żeby mimo wszystko pozwolił Homirowi na wstęp do pałacu. Chciała tego ona, ta pozornie głupawa Callia, i tak wszystko zaaranżowała, że Arkadia sama dostarczyła wiarygodnej wymówki, takiej, która nie wzbudziła żadnego podejrzenia u ofiar i nie wymagała bezpośredniej interwencji Callii.

Ale wobec tego dlaczego była wolna? Homir, oczywiście, był więźniem… Chyba że… Chyba że ma wrócić do Fundacji jako przynęta… jako przynęta dla reszty… żeby wpadli w łapy Drugiej

Fundacji.

A więc nie może wrócić do Fundacji…

— Kosmodrom, proszę pani — taksówka stała. Dziwne. Nawet nie spostrzegła, kiedy się zatrzymali.

Zupełnie jak we śnie.

— Dziękuję — podała banknot nie widząc niczego, niezdarnie wygramoliła się z pojazdu i puściła się biegiem przez elastyczny chodnik.

Światła. Obojętni mężczyźni i kobiety. Wielkie tablice z pojawiającymi się na nich informacjami o przylatujących i odlatujących statkach.

Dokąd lecieć? Nie dbała o to. Wiedziała tylko tyle, że nie poleci na Fundację. Dokądkolwiek, byle nie tam.

Dzięki Seldonowi, że Callia zapomniała się na chwilę, że na ułamek sekundy, będąc już znużona ciągłym udawaniem i nie obawiając się, że może to dostrzec takie dziecko, pozwoliła sobie na odprężenie się.

I wtedy Arkadia uświadomiła sobie coś innego, coś, co niejasno przeczuwała cały czas, od chwili, kiedy zaczęła się ta ucieczka, coś, co sprawiło, że nagle przestała być już dzieckiem.

I wiedziała już, że musi uciec. To było ważniejsze niż wszystko inne. Nawet gdyby odkryto wszystkich konspiratorów na Fundacji, nawet gdyby schwytano jej własnego ojca, nie mogła — nie wolno jej było ryzykować, ostrzegając ich. Nie mogła, nawet w najmniejszym stopniu, ryzy kować swego życia. Nawet za cenę całego Terminusa. Była teraz najważniejszą osobą w całej Galaktyce. Była jedyną ważną osobą w Galaktyce.

Wiedziała o tym, stojąc przed automatem biletowym i zastanawiając się, dokąd lecieć. W całej Galaktyce ona i tylko ona, z wyjątkiem ich samych, wiedziała, gdzie znajduje się Druga Fundacja.

15. PRZEZ SIEĆ

TRANTOR — W połowie okresu bezkrólewia Trantor w niczym nie przypominał dawnej, świetnej metropolii. Pośród ruin gigantycznych budowli żyła niewielka społeczność rolników…

Encyklopedia Galaktyczna

Nie ma i nigdy nie było niczego, co dałoby się porównać z ruchliwym portem kosmicznym znajdującym się na obrzeżu stolicy gęsto zaludnionej planety. Potężne maszyny spoczywają w swych łożach. Przypadkowy widz, który znajdzie się tam w odpowiedniej porze, może ujrzeć zapierający dech w piersi widok osiadającego na ziemi, kolosa lub dostarczający większych jeszcze emocji start statku, gigantycznej stalowej bryły niknącej wkrótce w przestworzach niczym bańka mydlana. Wszystko to odbywa się prawie bezgłośnie. Siłą napędową jest bowiem cicha fala nukleonów zmieniających układ na bardziej zwarty…

Dotyczy to dziewięćdziesięciu pięciu procent terenu portu. Dziesiątki mil kwadratowych przeznaczone są dla maszyn, ludzi, którzy je obsługują oraz ośrodków obliczeniowych służących zarówno ludziom jak i maszynom. Tylko pięć procent obszaru zajmowanego przez port kosmi czny przeznaczone jest dla tłumów, dla których port jest bramą do wszystkich gwiazd Galaktyki. Na pewno tylko nieliczni spośród przelewających się codziennie przez port tłumów pasażerów zadają sobie trud, aby zatrzymać się na chwilę i zastanowić się nad skomplikowanym systemem urządzeń łączących ze sobą szlaki komunikacyjne. Być może ten i ów poczułby się nieco nieswojo, gdyby pomyślał o tych tysiącach ton stali unoszących się w powietrzu. Mogłoby się przecież zdarzyć, że któryś z tych kolosów zgubiłby naprowadzające go na właściwą drogę pasmo radiowe i rozbił się o pół mili od wyznaczonego lądowiska — padając na przykład na ogromny budynek poczekalni — tak że po tysiącach ludzi zostałyby tylko kłęby organicznej pary i nieco sproszkowanych fosforanów.

Nowoczesne środki bezpieczeństwa gwarantowały wszakże, że nigdy do tego nie dojdzie i trzeba by zaiste być bardzo znerwicowanym, żeby zaprzątać sobie głowę tą sprawą dłużej niż przez chwilę.

O czym zatem myślą ci wszyscy ludzie? Otóż trzeba pamiętać, że nie jest to zwykły tłum. To tłum, który ma pewien cel. Wyczuwa się to

w atmosferze tego miejsca. Tworzą się i przesuwają kolejki, rodzice zgarniają dzieci, bagażowi układają paczki i walizy w sterty, krótko mówiąc — każdy dokądś zmierza.

Wyobraźmy sobie teraz stan psychicznej izolacji, w jakim znajduje się tkwiący w tym ogromnym tłumie. człowiek, który nie wie, gdzie ma się udać, a jednocześnie bardziej niż którakolwiek z otaczających go osób pragnie się stąd wydostać, który chce się udać dokądkolwiek, byle dalej od tego miejsca.

Nie trzeba się uciekać do telepatii ani żadnych innych metod bezpośredniego kontaktu umysłowego, by zorientować się w stanie psychicznym takiego człowieka, by wyczuć ów nastrój zagubienia, zagrożenia i bezradności, który prowadzi do rozpaczy.

Arkadia Darell stojąca pośród tych tłumów w cudzym ubraniu, rzucona na obcą planetę, w obcą sytuację, która zdawała się jej być zdarzeniem z życia innej osoby, pragnęła w tej chwili znaleźć się na powrót w bezpiecznym łonie matki. Nie zdawała sobie sprawy, że właśnie tego podświadomie pragnie. Wiedziała tylko jedno — że świat wokół niej, otwarta przestrzeń, jest niebezpieczny i wrogi. Marzyła o cichym, bezpiecznym schronieniu gdzieś daleko od tego miejsca, w jakimś niezbadanym jeszcze zakamarku wszechświata, gdzie nikt by nigdy nie zajrzał. Niedawno skończyła czternaście lat, a była znużona życiem, jakby miała lat osiemdziesiąt z okładem i przestraszona, jakby jeszcze nie miała pięciu.

Czy ktoś spośród setek ludzi ocierających się nią w tym tłoku nie jest członkiem Drugiej Fundacji? Czy jakiś nieznajomy nie uśmierci jej zaraz, kiedy zorientuje się, że ona wie to, czego nikt wiedzieć nie może, że wie, gdzie jest Druga Fundacja?

Rozmyślania te przerwał nagle głos, który zabrzmiał jej w uszach niczym grzmot i zmroził krew w żyłach.

— No więc jak, panienko, kupujesz bilet czy tylko stoisz tutaj?

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że stoi przed automatem biletowym. Wkłada się banknot o wysokim nominale do odpowiedniego otworu, naciska się żółty guzik znajdujący się pod tabliczką z nazwą odpowiedniej planety w innym otworze pojawia się bilet z dokładnie odliczoną resztą. Nie zdarza się nigdy, żeby elektroniczne urządzenie sterujące automatem popełniło błąd, więc nie ma potrzeby, żeby ktoś sterczał tam przez dobre pięć minut.

Arkadia włożyła w otwór banknot dwustukredytowy i w tym samym momencie przykuł jej uwagę guzik pod tabliczką z napisem „Trantor". Trantor — była stolica nieistniejącego od dawna Imperium, planeta, na której się urodziła. Nacisnęła guzik jak we śnie. I nic — pojawiły się tylko w okienku czerwone, migocące cyfry „172, 18172, 18172, 18…" Tyle jeszcze musiała dopłacić. Wrzuciła jeszcze jeden banknot dwustukredytowy. Automat wypluł bilet. Kiedy go wzięła do

ręki, z otworu wysypała się reszta.

Zgarnęła bilon. Czuła, że stojący za nią mężczyzna niecierpliwie pcha się na nią, żeby wreszcie dostać się do automatu, ale nie oglądając się nawet na niego, puściła się biegiem.

Zaraz się jednak zatrzymała. Nie miała dokąd uciec. Zewsząd otaczali ją wrogowie.

Pochłonięta własnymi myślami, nie bardzo zdawała sobie sprawę z tego, że patrzy na wielkie napisy zapalające się w górze — Steffani, Anacreon, Fermus… Pojawił się napis „Terminus". Całym sercem pragnęła wrócić tam, ale nie śmiała tego zrobić…

Za niewielką sumę mogłaby wypożyczyć przypominacz, który można było nastawić na dowolny kurs, i który — umieszczony w torebce — zasygnalizowałby jej w odpowiednim momencie, głosem, który tylko ona by słyszała, że jest już tylko piętnaście minut do odlotu, ale takie udogodnienia są dobre dla ludzi, którzy czują się bezpiecznie. Nikt w jej sytuacji nie pomyślałby nawet o tym.

Usiłując patrzeć w dwie strony równocześnie, uderzyła znienacka głową w czyjś miękki brzuch. Usłyszała zduszony okrzyk, a potem niepewne chrząknięcie i poczuła na ramieniu dłoń. Skurczyła się z przerażenia i chciała krzyknąć, ale głos nie przeszedł jej przez ściśnięte gardło.

Ten, kto ją schwytał, trzymał ją mocno i czekał. Powoli nachylił się nad nią i mogła mu się przyjrzeć. Był dosyć niski i tęgi. Jego siwe, lecz gęste włosy były zaczesane do tyłu, tworząc nad czołem wielką falę, nieco pretensjonalną i zupełnie nie pasującą do rumianej, czerstwej twarzy, która z miejsca zdradzała wieśniaka.

— Co się stało? — spytał w końcu z dobrodusznym uśmiechem. — Wyglądasz na przestraszoną.

— Przepraszam — wymamrotała Arkadia, trzęsąc się jak w febrze. — Spieszę się. Proszę się nie gniewać.

Mężczyzna puścił to mimo uszu. — Uważaj, dziecko — powiedział. — Zgubisz bilet — wyjął bilet z jej bezsilnych, zbielałych palców i przyjrzał mu się. Na jego twarzy odmalowało się wyraźne zadowolenie.

— Tak myślałem — rzekł i ryknął niczym bawół: — Matkaaa!

W tej samej chwili pojawiła się przy nim kobieta, nieco niższa, tęższa i bardziej rumiana. Okręciła wokół palca kosmyk siwych włosów, który wymknął się spod jej staromodnego kapelusza i usiłowała schować go na powrót.

— Jestem, ojciec. Czemu się tak wydzierasz? — spytała z wyrzutem. — Ludzie patrzą na ciebie jak na wariata. Nie jesteśmy u siebie na wsi.

Uśmiechnęła się promiennie do milczącej Arkadii i dodała:

— Maniery ma jak niedźwiedź. — A potem rzuciła ostro: — Puść

tę dziewczynkę, ojciec. Co ty wyprawiasz?

„Ojciec" w odpowiedzi pomachał jej przed nosem biletem.

— Patrz — powiedział — ona leci na Trantor. Twarz „Matki" znowu się rozjaśniła.

— Jesteś z Trantora? Ojciec, puść ją, mówię — położyła na podłodze wypchaną walizę i łagodnym, ale stanowczym ruchem zmusiła Arkadię, żeby na niej usiadła. — Usiądź — rzekła — i rozprostuj nogi. Statek będzie nie wcześniej jak za godzinę, a ławki są zapchane przez różnych śpiących próżniaków. Jesteś z Trantora?

Arkadia poddała się. Zaczerpnęła głęboko powietrza i powiedziała matowym głosem:

— Urodziłam się tam. „Matka" klasnęła z radości w ręce.

— No popatrz, jesteśmy tu od miesiąca, i do tej pory nie spotkaliśmy nikogo od nas. To wspaniale. Twoi rodzice… — rozejrzała się wokół.

— Nie jestem tu z rodzicami — rzekła ostrożnie Arkadia.

— Zupełnie sama? Taka dziewczynka i zupełnie sama? — w głosie „Matki" czuło się oburzenie zmieszane ze współczuciem. — Jak to się stało?

— Matka — „Ojciec" pociągnął ją za rękaw — poczekaj… Coś ci powiem. Coś tu jest nie tak. Zdaje mi się, że ona się boi — w swoim mniemaniu mówił pewnie szeptem, ale jego głos wyraźnie docierał do Arkadii.

— Ona biegła… przyglądałem się jej… i nie patrzyła gdzie biegnie. Wpadła na mnie, zanim zdążyłem zejść jej z drogi. Wiesz, co myślę? Zdaje mi się, że wpakowała się w jakieś tarapaty.

No to zamknij buzię, Ojciec. Na ciebie każdy by wpadł.

Usiadła na walizie, która zatrzeszczała pod jej ciężarem i otoczyła Arkadię ramieniem.

— Uciekasz przed kimś, kochanie? Powiedz mi, nie bój się. Pomogę ci.

Arkadia spojrzała w dobre, szare oczy kobiety i poczuła, że drżą jej usta. Jakiś wewnętrzny głos mówił jej, że oto ma tu, obok siebie, ludzi z Trantora, z którymi może lecieć, którzy pomogą jej urządzić się na tej planecie, dopóki nie zdecyduje, co dalej robić, gdzie lecieć. Inny, wiele silniejszy głos mówił nieskładnie, że nie pamięta nawet swej matki, że śmiertelnie boi się walki z wszechświatem, że pragnie tylko wtulić się w silne, przyjazne ramiona, i że gdyby żyła. jej matka, to mogłaby… mogłaby…

I po raz pierwszy tego wieczoru rozpłakała się. Płakała jak małe dziecko i sprawiało jej to ulgę. Wtuliła twarz w staromodną sukienkę i zlewała ją obficie łzami, czując, jak obejmuje ją mocne ramię kobiety, a jej dłoń gładzi łagodnie jej włosy.

"Ojciec" stał bezradnie, przyglądając się siedzącej na walizie

parze i bezskutecznie szukał chusteczki. Gdy ją wreszcie znalazł, „Matka” wyrwała ją z jego rąk. Wzrokiem nakazała mu milczenie. Przechodzący obok ludzie nie zwracali na nich najmniejszej uwagi, zachowując doskonałą obojętność anonimowego tłumu. Choć znajdowali się w tłoku, byli naprawdę samotni.

W końcu szlochanie ustało i Arkadia uśmiechnęła się słabo, wycierając czerwone oczy pożyczoną chusteczką.

— O rany! — wyszeptała. — Ja…

— Ćśśś! Nic nie mów — rzekła szybko „Matka”. — Siedź i odpoczywaj. Jak dojdziesz do siebie, powiesz nam co się stało, zajmiemy się tym wszystko będzie dobrze.

Arkadia z trudem pozbierała to, co zostało z jej zmysłów. Nie mogła powiedzieć im prawdy. Nikomu nie mogła powiedzieć prawdy… Ale była w 211 zbyt wyczerpana, żeby zmyślić na poczekaniu wiarygodne kłamstwo.

— Czuję się już lepiej — rzekła cicho.

— Dobrze — odparła „Matka”. — A teraz powiedz mi, dlaczego masz kłopoty. Nie zrobiłaś chyba nic złego? Oczywiście pomożemy ci, choć byś nie wiem co zrobiła, ale powiedz nam prawdę.

— Dla przyjaciela z Trantora wszystko — dodał kordialnie „Ojciec” — co, Matka?

— Och, cicho bądź — rzekła ze złością „Matka”.

Arkadia szukała czegoś w torebce. Przynajmniej torebka była jej własna. Zachowała ją mimo pośpiesznej zmiany ubrania w apartamentach lady Callii. Wreszcie znalazła to, czego szukała i wręczyła „Matce”.

— To mój dowód — powiedziała nieśmiało. Był to duży, ozdobny dokument, wykonany ze sztucznego, lśniącego pergaminu. Wydał go jej w dniu przybycia ambasador Fundacji, a opatrzył wizą odpowiedni urzędnik kalgański. „Matka” popatrzyła na niego bezradnie, a potem podała „Ojcu”, który zapoznał się z jego treścią, robiąc przy tym ważną minę.

— Jesteś z Fundacji? — spytał.

— Tak. Ale urodziłam się na Trantorze. Jest tam napisane…

— Mhm. Wydaje mi się w porządku. Masz na imię Arkadia, tak? To stare trantorskie imię. Ale gdzie jest twój wuj? Tu pisze, że podróżujesz w towarzystwie Homira Munna, swego wuja.

— Został aresztowany — rzekła posępnie Arkadia.

— Aresztowany! — oboje krzyknęli jednocześnie. — Za co? — spytała „Matka”? — Zrobił coś?

Arkadia potrząsnęła głową.

— Nie wiem. Byliśmy tu z wizytą. Wuj Homir miał jakieś interesy ze Stettinem, ale… — nie potrzebowała udawać, wzdrygnęła się

naprawdę.

”Ojciec” był pod wrażeniem tego, co powiedziała.

— Interesy ze Stettinem. No, no, twój wuj to musi być nie byle kto.

— Nie wiem o co tam chodziło, ale Stettin chciał, żebym została… — starała się przypomnieć sobie ostatnie słowa lady Callii, która odegrała dla niej tę scenę. Ponieważ Callia, jak dobrze wiedziała, była w tych sprawach ekspertem, jej opowieść może po raz drugi odnieść skutek.

Przerwała na chwilę i „Matka” zapytała z zaciekawieniem:

— A dlaczego chciał, żebyś została?

— Nie wiem. Chciał, żebym zjadła kolację tylko z nim, ale powiedziałam „nie”, bo chciałam, żeby był z nami wujek Homir. On wtedy spojrzał na mnie tak dziwnie i dalej trzymał mnie za rękę.

”Ojciec” otworzył usta, a „Matka” nagle zrobiła się ze złości czerwona na twarzy.

— Ile masz lat, Arkadio?

— Prawie czternaście, i pół.

”Matka” wzięła głęboki oddech i powiedziała:

— Że też tacy ludzie chodzą po świecie! Psy na ulicy są lepsze. To przed nim uciekasz, kochanie, tak?

Arkadia skinęła głową.

— „Ojciec”, pędź do Informacji i dowiedz się dokładnie, kiedy podstawią statek na Trantora. Szybko! — rzekła „Matka”.

”Ojciec” zrobił jeden krok i zatrzymał się. Nad głowami rozległy się ostre, metaliczne słowa i pięć tysięcy par oczu spojrzało w popłochu do góry.

— Pasażerowie! — grzmiał surowy głos. — Poszukuje się niebezpiecznego zbiega. Port jest otoczony przez policję. Nie można wchodzić ani wychodzić. Poszukiwania zostaną jednak szybko zakończone, a przez ten czas nie wyląduje ani nie odleci żaden statek, więc nikt się nie spóźni na swój lot. Zostanie opuszczona krata. Niech nikt nie wychodzi ze swego kwadratu przed podniesieniem kraty. W przeciwnym wypadku będziemy zmuszeni użyć elektronicznych bieży.

Przez ten krótki ułamek czasu, kiedy potężny głos rozlegał się pod sklepieniem wielkiej hali poczekalni, Arkadia nie mogła ruszyć ręką ni nogą. Nie poruszyłaby się nawet gdyby całe zło Galaktyki skoncentrowało się w jednym miejscu i niczym ogromna kuła runęło na nią.

Bez wątpienia chodziło im o nią. Nie musiała nawet jasno formułować tej myśli. Ale dlaczego…

Jej ucieczkę zaaranżowała Callia. A Callia była z Drugiej Fundacji. Jak więc wytłumaczyć te poszukiwania? Czyżby Callii się nie powiodło? Czy Callii w ogóle mogło się nie powieść? A może było

to częścią planu, którego szczegółów nie potrafiła rozeznać?

Przez chwilę miała ochotę poderwać się i krzyknąć, że się poddaje, żeby ją wzięli, żeby… żeby…

W tym momencie poczuła na dłoni mocny uścisk ręki „Matki” — Szybko! Pójdziemy do toalety, zanim zaczną. Pośpiesz się!

Arkadia nie rozumiała o co jej chodzi, ale podniosła się i posłusznie poszła za nią. Szybko przeszły przez tłum, lawirując między znieruchomiałymi grupami ludzi. Pod sklepieniem rozbrzmiewały ostatnie słowa spikera.

Zaczęła się wolno opuszczać krata. „Ojciec” gapił się na to z otwartymi ustami. Słyszał o tym i czytał, ale jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się doznać tego na własnej skórze. Była to po prostu siatka krzyżujących się promieni, w których ostrym, choć nieszkodliwym świetle jarzyło sit powietrze.

Przeprowadzano to zawsze w taki sposób, aby krata zsuwała się powoli, przypominając opadającą sieć, z wszystkimi psychologicznymi konsekwencjami tego widoku.

Znajdowała się teraz na poziomie pasa. Krzyżujące się promienie tworzyły kwadraty, każdy o boku dziesięciu stóp. W kwadracie, w którym znalazł się „Ojciec”, nie było nikogo oprócz niego, ale w sąsiednim było tłoczno. Czuł się nieprzyjemnie odizolowany, ale wiedział, że każda próba przesunięcia się do którejkolwiek dającej większą anonimowość grupy oznaczała przekroczenie świetlnej linii, alarm i uderzenie biczem elektronowym.

Czekał więc. Ponad głowami pogrążonego w niesamowitej w tym miejscu ciszy i bezruchu tłumu widział odległe falowanie zwiastujące zbliżających się i sprawdzających kwadrat po kwadracie policjantów.

Upłynęło dużo czasu, zanim do jego kwadratu wszedł mężczyzna w mundurze i dokładnie zapisał współrzędne kwadratu w notesie.

— Dokumenty!

”Ojciec” podał je. Policjant wprawnie je przejrzał.

— Preem Palver, zamieszkały na Trantorze, miesięczny pobyt na Kalganie, wraca na Trantor. Proszę odpowiadać „tak” lub „nie”.

— Tak, tak.

— Co pan robił na Kalganie?

— Jestem przedstawicielem handlowym spółdzielni rolniczej. Omawiałem kontrakt w Departamencie Rolnictwa na Kalganie.

— Hmm. Jest pan z żoną? Gdzie ona? Jest wpisana do papierów.

— Żona jest w… — wskazał palcem.

— Hanto! — ryknął policjant. Podszedł jeszcze jeden człowiek w mundurze.

Pierwszy rzekł sucho:

— Jeszcze jedna dama w kiblu. Musi się tam od nich gotować. Zapisz jej nazwisko — wskazał odpowiednie miejsce w dokumencie.

— Jest z panem ktoś jeszcze?

— Bratanica.

— Nie jest wymieniona w papierach.

— Przyleciała oddzielnie.

— Gdzie jest? W porządku, domyślam się. Hanto, zapisz też nazwisko bratanicy. Jak się nazywa? Arkadia Palyer? Zapisz, Hanto. Niech pan tu zostanie, Palver. Zaopiekujemy się kobietami, zanim wyjdziemy.

”Ojciec” czekał bez końca. Wreszcie, po długim, długim czasie zobaczył „Matkę” maszerującą w jego stronę i trzymającą mocno za rękę Arkadię.

Za nimi kroczyło dwóch policjantów.

Weszli do kwadratu „Ojca” i jeden z nich spytał:

— Ta hałaśliwa kobieta to pana żona?

— Tak jest — odparł „Ojciec” ugodowo.

— No to niech pan jej powie, że jeśli nie chce mieć kłopotów, to niech się w ten sposób nie odzywa do policji Pierwszego Obywatela. — Wyprostował ze złością ramiona. — A to jest pana bratanica?

— Tak jest.

— Chcę zobaczyć jej papiery.

Patrząc prosto na męża, „Matka” lekko, ale stanowczo pokręciła głową.

Zapanowało krótkie milczenie, po czym „Ojciec” rzekł z bladym uśmiechem:

— Nie wydaje mi się, żebym mógł to zrobić.

— Co to znaczy, że pan nie może tego zrobić? — Policjant wyciągnął rękę. — Proszę mi pokazać jej papiery.

— Immunitet dyplomatyczny — rzekł miękko „Ojciec”.

— Jak mam to rozumieć?

— Powiedziałem już, że jestem przedstawicielem handlowym spółdzielni rolniczej. Jestem akredytowany przy rządzie kalgańskim jako oficjalny przedstawiciel zagranicznej firmy i potwierdza to mój dokument. Pokazywałem go już panu i nie życzę sobie, żeby mnie dłużej niepokojono.

Policjant na chwilę zapomniał języka w gębie.

— Muszę obejrzeć pańskie papiery — rzekł w końcu. — Spełniam tylko rozkazy.

— Zabieraj się stąd — wtrąciła się nagle „Matka”. — Jak będziemy potrzebowali, to poślemy po ciebie, ty… ty próżniaku.

Policjant zagryzł usta.

— Trzymaj ich na oku, Hanto. Zawołam porucznika.

— Połam nogi! — krzyknęła za nim „Matka”. Ktoś zachichotał, lecz zaraz ucichł.

Poszukiwania zbliżały się do końca. Tłum zaczął niebezpiecznie

falować. Od czasu kiedy opadła krata minęło czterdzieści pięć minut, a to za dużo, żeby mogło przynieść dobry skutek. Dlatego porucznik Dirige zmierzał szybkimi krokami w stronę Palverów.

— To ta dziewczyna? — spytał znużonym głosem. Popatrzył na nią. Pasowała jak ulał do opisu. I to wszystko po to» żeby złapać takie dziecko.

— Może pan pozwoli jej dokumenty — rzekł.

— Wyjaśniłem już… — zaczął „Ojciec".

— Wiem, co pan wyjaśniał — odparł porucznik. — Bardzo mi przykro, ale muszę wykonywać \ t polecenia. Nic na to nie mogę poradzić. Jeśli chce/ pan złożyć skargę, to proszę bardzo, ale potem. A teraz, jeśli będzie to konieczne, użyję siły.

Zapadło milczenie. Porucznik cierpliwie czekał.

Wreszcie „Ojciec" rzekł ochrypłym głosem:

— Daj mi swoje papiery, Arkadio. Arkadia z przerażeniem potrząsnęła głową, ale „Ojciec" powiedział uspokajająco:

— Nie bój się. Daj mi je.

Popatrzyła na niego bezradnie i podała mu dowód. „Ojciec" otworzył go, przejrzał uważnie i podał porucznikowi. Ten przejrzał go równie dokładnie. Przez długą chwilę przyglądał się Arkadii, a potem energicznie zamknął dowód.

— Wszystko w porządku — powiedział. — Idziemy, chłopcy.

Po dwu minutach, może trochę później, krata zniknęła i znowu rozległ się z góry głos, oznajmiający tym razem, że poszukiwania skończone. Gwar nagle oswobodzonego tłumu wzbił się aż pod sklepienie.

— Jak… jak… — jąkając się, zaczęła Arkadia, ale „Ojciec" nie pozwolił jej skończyć.

— Ćśśś — powiedział. — Nic nie mów. Chodźmy lepiej na statek. Niedługo będzie na stanowisku.

Byli już na statku. Mieli osobną, luksusową kabinę i stół w jadalni tylko dla siebie. Od Kalgana dzieliły ich już dwa lata świetlne i Arkadia w końcu ośmieliła się wrócić do sprawy.

— Ale przecież t. o mnie oni szukali, panie Palver — powiedziała — i musieli mieć mój — rysopis i wszystkie szczegóły. Dlaczego mnie nie zatrzymali?

"Ojciec" podniósł szeroko uśmiechniętą twarz znad talerza z rostbefem.

— Widzisz, Arkadio, to było łatwe. Jeśli się cały czas ma do czynienia z kupcami, agentami i konkurencyjnymi spółdzielniami, to można się nauczyć paru sztuczek. Miałem dwadzieścia lat, a może nawet więcej na tę naukę. Widzisz, dziecko, kiedy ten porucznik otworzył twój dowód, znalazł w środku ładnie złożony banknot pięćsetkredytowy. Proste, nie?

— Zwrócę to panu… Naprawdę, mam mnóstwo pieniędzy.

— Nie — „Ojciec” pomachał przecząco ręką, uśmiechając się z zakłopotaniem. — Dla rodaczki…

Wobec jego oporu Arkadia dała spokój.

— A gdyby wziął pieniądze i mimo to zgarnął mnie? I oskarżył o próbę przekupstwa?

— I oddał pięćset kredytów? Dziewczynę, znam tych ludzi lepiej niż ty.

Ale Arkadia wiedziała, że nie zna tych ludzi lepiej. Nie tych ludzi. Tej nocy, leżąc w łóżku, długo nad tym myślała i doszła do wniosku, że żadna łapówka nie powstrzymałaby porucznika policji przed ujęciem jej, gdyby nie było to wcześniej zaplanowane. Po prostu nie chcieli jej złapać, chociaż zrobili wszystko, żeby to tak wyglądało.

Dlaczego? Dlatego, żeby mieć pewność,, że odleciała? I to na Trantora? Czyżby to proste, choć dobroduszne małżeństwo było tylko parą narzędzi w rękach Drugiej Fundacji? Czyżby byli równie bezradni jak ona?

Na pewno!

A może oni byli…

To wszystko było daremne. Nie jej mierzyć się z nimi! Cokolwiek zrobi, będzie to właśnie to, czego chcą ci przerażający, wszechmocni panowie wszechświata.

A jednak musi ich przechytrzyć. Musi! Musi! Musi!

16. POCZĄTEK WOJNY

Z powodów nieznanych mieszkańcom Galaktyki w czasach, o których tu piszemy, Międzygalaktyczny Czas Standardowy definiuje swą podstawową jednostkę, sekundę, jako czas, w którym światło przebywa 199 776 kilometrów. Według arbitralnych ustaleń 86400 sekund równa się jednemu Międzygalaktycznemu Dniu Standardowemu, a 165 takich dni tworzy jeden Międzygalaktyczny Rok Standardowy.

Dlaczego akurat 199 776 kilometrów? Czy 86400 sekund? Czy 165 dni? To tradycja — powiadają historycy, ucinając dalszą dyskusję. To z powodu pewnych tajemniczych związków między liczbami — twierdzą mistycy, metafizycy, numerologiści i inni miłośnicy nauk tajemnych. Jest tak dlatego że planeta, z której wywodzi się rodzaj ludzki, miała pewne naturalne okresy obrotu wokół własnej osi i krążenia wokół swego słońca, z których można było wyprowadzić owe liczby i zależności — powiadają nieliczni. Nikt jednak nie wie, jak było naprawdę.

Tak czy inaczej, dzień, w którym krążownik Fundacji „Hober Mallow" natknął się w przestrzeni na eskadrę statków kalgańskich prowadzoną przez „Nieustraszonego" i odmówiwszy wpuszczenia na pokład oddziału szperaczy zmieniony został w wypalony wrak, nosił datę 185; 11962 e. g. To znaczy, był to 185 dzień ery galaktycznej, która rozpoczęła się wraz ze wstąpieniem na tron pierwszego imperatora z dynastii Kamblów. Był to, według innej rachuby czasu, dzień 185; 419 p. S. — licząc od daty narodzin Seldona — lub 185; 348 r. f. — licząc od założenia Fundacji. Na Kalganie był dzień 185; 56 p. o. , czyli 185 dzień pięćdziesiątego szóstego roku od chwili ustanowienia przez Muła godności i urzędu Pierwszego Obywatela. Oczywiście, dla wygody w każdym przypadku rok zaczynał się w ten sposób, by data dzienna była taka sama w każdym kalendarzu, niezależnie od tego, którego dnia faktycznie rozpoczęła się dana era.

W dodatku każdy z milionów światów Galaktyki miał swój czas lokalny, oparty na ruchach sąsiednich ciał niebieskich.

Bez względu jednak na to, którą datę się wybrało — 185; 11 692 czy 419, czy 348, czy 56 — był to dzień, na który późniejszy historycy wskazywali jako na początek wojny stettiniańskiej.

Wszakże dla doktora Darella nie był to dzień takiej czy innej ery. Był to po prostu dokładnie trzydziesty drugi dzień od odlotu Arkadii z Terminusa. Niewiele osób wiedziało, ile wysiłku kosztowało doktora Darella zachowanie pozorów spokoju. Jednym z tych, którzy się tego domyślali, był Elvett Sernic. Był już w podeszłym wieku i zdawał się czerpać osobliwą przyjemność z komunikowania innym, że otoczki

jego nerwów zwapniały już w stopniu uniemożliwiającym poprawne myślenie. Chętnie przyjmował krytyczne uwagi na temat swoich utraconych zdolności, ba — nawet zdawał się cieszyć, kiedy je słyszał i sam śmiał się ze swoich rzekomych potknięć. Ale w rzeczywistości jego oczy, mimo iż wyblakłe, wcale nie widziały gorzej, a jego umysł, choć już nie tak przenikliwy, nie był mniej sprawny niż dawniej.

Skrzywił swe wąskie wargi i spytał:

— Dlaczego nie zrobisz nic w tej sprawie?

Darell aż się skurczył. Głos Sernica zabrzmiał w jego uszach jak przykry zgrzyt. — Gdzie skończyliśmy? — spytał opryskliwie.

Sernic spoglądał na niego poważnym wzrokiem. — Lepiej zrób coś w sprawie córki. — W rozchylonych ustach widać było jego rzadkie, pożółkłe zęby.

Darell rzekł chłodno:

— Pytanie brzmi: czy możesz nastawić rezonator Symesa Molffa na odpowiednie pasmo?

— No przecież mówiłem, że mogę, ale nie słuchałeś…

— Przepraszam, Elvett. Sprawa wygląda tak, że to, nad czym teraz pracujemy, jest ważniejsze dla mieszkańców Galaktyki niż bezpieczeństwo Arkadii. A przynajmniej ważniejsze dla wszystkich, z wyjątkiem Arkadii i mnie, i chcę się zająć tym, co jest ważniejsze dla większości. Jak duży jest ten rezonator?

Sernic zrobił niepewną minę.

— Nie wiem. Można to znaleźć w katalogach.

— Mniej więcej. Taki jak blok? Ile waży? Tonę? Funt?

— Skądże! Myślałem, że pytasz o dokładne wymiary. To mały przyrząd. Mniej więcej tej wielkości wskazał na pierwszy człon kciuka. W porządku, możesz zrobić coś takiego? — szybko naszkicował coś na kartce, a potem podał ją staremu fizykowi, który przyjrzał się krytycznie rysunkowi, a potem zachichotał.

— No wiesz, mózg wapnieje, kiedy jest się w moim wieku. Co chcesz zrobić?

Darell zawahał się. W tej chwili niczego nie pragnął tak bardzo jak posiadania wiedzy fizycznej zamkniętej w mózgu Sernica. Wówczas nie musiałby swych myśli przyoblekać w słowa. Ale pragnienie to było nieziszczalne, więc wyjaśnił o co mu chodzi.

Samic pokręcił głową.

— Musiałbyś mieć przekaźniki nadprzestrzenne. Tylko one pracują dostatecznie szybko. Cholernie dużo przekaźników.

— Ale czy można to zbudować?

— Oczywiście.

— Możesz dostać wszystkie części? To znaczy, bez wzbudzania zainteresowania. Tak jakby potrzebne ci były do normalnej pracy.

Sernic uniósł górną wargę.

— Pięćdziesiąt nadprzekaźników? W całej swojej karierze nie zużyłem tylu.

— Pracujemy teraz nad systemem obrony. Możesz wymyślić jakieś urządzenie, do którego byłyby niby potrzebne? Mamy pieniądze.

— Hmm. Może by się dało coś wymyślić.

— Ten przyrząd powinien być jak najmniejszy. Da się to zrobić?

— Można dostać zminiaturyzowane nadprzekaźniki… przewody… elektronówki… Na Przestrzeń, przecież tam jest dobrych parę setek obwodów!

— Wiem. No więc jak?

Sernic pokazał rozmiar rękami.

— Za duży — rzekł Darell. — Muszę to mieć u pasa.

Wolno zmiął kartkę z rysunkiem. Kiedy stała się żółtą, twardą, papierową kulką, rzucił ją na popielniczkę, gdzie momentalnie zniknęła w białym blasku dezintegracji atomowej.

— Kto tam stoi pod twoimi drzwiami? — spytał.

Sernic przechylił się przez biurko i spojrzał na mały mleczny ekran umieszczony nad dzwonkiem. — To ten Anthor — powiedział. — Jest z nim ktoś jeszcze.

Darell odsunął swoje krzesło od krzesła Sernica.

— Na razie nie mów o tym nikomu. Jeśli oni to odkryją, to każdemu, kto wie, grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Wystarczy, że my dwaj ryzykujemy.

Pelleas Anthor wniósł ożywienie do gabinetu Sernica, który, w jakiś niewytłumaczony sposób wydawał się równie zgrzybiały jak jego właściciel. W stężałej atmosferze zacisznego pokoju luźne rękawy letniej tuniki Anthora powiewały jak chorągwie na wietrze.

— Doktor Darell, doktor Sernic — Orum Dirjge — powiedział.

Towarzysz Anthora był postawnym mężczyzną. Długi, prosty nos nadawał jego pociągłej twarzy ponury wygląd. Doktor Darell wyciągnął rękę.

Anthor uśmiechnął się lekko. — Porucznik policji Dirige — przedstawił dokładniej gościa. — Z Kalgana — dodał znacząco.

Darell odwrócił się w stronę Anthora i przyjrzał mu się bacznie. — Porucznik policji Dirige z Kalgana — powtórzył wolno. — I sprowadza go pan tutaj. Dlaczego?

— Dlatego, że on był ostatnim człowiekiem na Kalganie, który widział pana córkę. Stój, człowieku!

Wyraz triumfu w oczach Anthora ustąpił nagle miejsca zaniepokojeniu. Skoczył między Darella i Dirige. Po krótkiej szamotaninie posadził przemocą doktora na krześle.

— Co pan wyprawia? — Anthor odgarnął z czoła kosmyk włosów, przysiadł na brzegu biurka i huśtając nogą powiedział: — Myślałem,

że przynoszę panu dobre nowiny.

Darell zwrócił się bezpośrednio do policjanta.

— Co on miał na myśli, mówiąc, że był pan ostatnim człowiekiem, który widział moją córkę? Czy ona nie żyje? Proszę mi powiedzieć bez żadnych wstępów. — Twarz miał białą jak papier.

Porucznik Dirige rzekł: — Powiedział „ostatnim cz|owiekiem na Kalganie". — Jego twarz była bez wyrazu. — Już jej tam nie ma. Nie wiem nic poza tym.

— Zaraz — wtrącił się Anthor. — Pozwoli pan, panie Darell, że ja to wyjaśnię. Przepraszam, że wyszło to trochę zbyt dramatycznie. Zachowuje się pan tak obojętnie, że zapomniałem, że może pan mieć uczucia. Po pierwsze, porucznik Dirige jest jednym z nas. Urodził się na Kalganie, ale jego ojciec pochodził z Fundacji i znalazł się tam w służbie Muła. Ręczę własną głową, że Dirige jest wierny Fundacji. Otóż skontaktowałem się z nim dzień potem, jak przestaliśmy dostawać codzienne raporty od Munna…

— Dlaczego? — przerwał mu ze złością Darell. — Myślałem, że ustaliliśmy, żeby nie robić nic w tej sprawie. Ryzykował pan swoim życiem i naszym.

— Dlatego — odparł również ze złością Anthor — że biorę udział w tej grze dłużej niż wy. Dlatego, że wiem o pewnych kontaktach na Kalganie, o których wy nic nie wiecie. Dlatego, że wiem więcej, zrozumiał pan?

— Pan chyba oszalał.

— Może najpierw da mi pan skończyć? Nastała chwila ciszy. Darell spuścił wzrok. Anthor skrzywił usta w lekkim uśmiechu.

— W porządku, doktorku. To zajmie tylko parę minut. Powiedz mu, Dirige.

— O ile wiem, doktorze Darell — zaczął swobodnym tonem Dirige — pańska córka jest na Trantorze. W każdym razie, kiedy ją widziałem na Kosmodromie Wschodnim, miała bilet na Trantora. Była z jakimś przedstawicielem handlowym z tej planety, który utrzymywał, że to jego siostrzenica. Pańska córka zdaje się mieć dziwną kolekcję krewnych. To był już drugi wujek w przeciągu dwóch tygodni, co? Ten Trantorczyk chciał mnie nawet przekupić… pewnie myśli, że dlatego ich puściłem — uśmiechnął się ponuro.

— W jakim była stanie?

— Cała i zdrowa, o ile się orientuję. Ale przestraszona. Nie dziwi mnie to. Szukał jej cały wydział. Dotąd nie wiem dlaczego.

Darell po raz pierwszy od wielu minut odetchnął głębiej. Zdawał sobie sprawę z tego, że drżą mu ręce. Z trudem udało mu się zapanować nad nimi.

— Wobec tego nic jej nie jest. A ten handlowiec — co to za jeden? Wróćmy do niego. Jaka jest jego rola w tym wszystkim?

— Nie wiem. Wie pan coś o Trantorze?

— Kiedyś tam mieszkałem.

— Teraz to świat rolniczy. Eksportują głównie pasze i zboże. Wysokiej jakości! Sprzedają to w całej Galaktyce. Jest tam tuzin czy dwa spółdzielni rolniczych i każda ma za granicą swych przedstawicieli. To bystre dranie… Przeglądałem kartotekę tego, który był z pana córką. Przylatywał już wcześniej na Kalgan, zwykle z żoną. Jest absolutnie uczciwy i zupełnie niegroźny.

— Hmm — rzekł Anthor. — Arkadia urodziła się na Trantorze, prawda?

Darell skinął głową, — No to wszystko pasuje. Chciała się stamtąd szybko wydostać i uciec jak najdalej. Od razu przyszedł jej do głowy Trantor. Nie uważa pan, że tak mogło być?

— A dlaczego nie Terminus? — rzekł Darell.

— Może była ścigana i uważała, że musi zmylić pogoń?

Doktor Darell nie miał odwagi pytać dalej. No cóż, niech siedzi bezpiecznie na Trantorze, jeśli w ogóle może być bezpiecznie w jakimkolwiek miejscu tej mrocznej i strasznej Galaktyki. Podszedł jak we śnie do drzwi. Poczuł na ramieniu lekki dotyk czyjejś ręki i zatrzymał się, ale nie odwrócił.

— Nie ma pan nic przeciwko temu, że odprowadzę pana do domu? — spytał Anthor.

— Proszę bardzo — odparł machinalnie Darell.

Kiedy nadszedł wieczór, doktor Darell zdołał już zapanować przynajmniej nad tą częścią swej osoby, która była wystawiona na kontakt z innymi ludźmi. Nie siadł do kolacji, lecz zamiast tego zabrał się na nowo do żmudnej analizy encefalograficznej. Wgryzał się z uporem w jej. zawiłości, tworząc skomplikowane konstrukcje matematyczne.

Była już niemal północ, gdy wszedł do salonu.

Siedział tam jeszcze Pelleas Anthor, manipulując pokrętłami aparatury video. Słysząc odgłos kroków, spojrzał przez ramię.

— Cześć! Nie jest pan jeszcze w łóżku? Siedzę już dobrych parę godzin przy video i próbuję złapać coś innego niż komunikaty. Zdaje się, że „F. S. Hober Mallow” nie wrócił z kursu i stracono z nim łączność.

— Naprawdę? Podejrzewają coś?

— A jak pan myśli? Podejrzewają, że to sprawka Kalgańczyków. Raporty donoszą, że widziano statki kalgańskie w sektorze przestrzeni, w którym był „Hober Mallow”, zanim urwała się z nim łączność.

Darell wzruszył ramionami, a Anthor potarł czoło i spojrzał na niego niepewnie.

— A może — powiedział — poleciałby pan jednak na Trantor?

— A dlaczego miałbym tam lecieć?

— Dlatego, że nie mamy tu z pana żadnego pożytku. Nie jest pan sobą. l nic w tym dziwnego. Zresztą przydałoby się, żeby pan tam poleciał. W starej Bibliotece Imperialnej są kompletne materiały Komisji Seldona…

— Nie! Biblioteka została dokładnie przeszukana i to, co tam znaleziono, nie pomogło nikomu.

— Pomogło Eblingowi Misowi.

— Skąd pan wie? Rzeczywiście, powiedział, że znalazł Drugą Fundację i pięć sekund później zabiła go moja matka, bo był to jedyny sposób, żeby uniemożliwić mu przekazanie tej informacji Mułowi. Ale chyba rozumie pan, że tym samym przekreśliła wszelką możliwość dowiedzenia się, czy Mis naprawdę odkrył położenie Drugiej Fundacji. W końcu nikomu więcej nie udało się wydedukować czegokolwiek na ten temat z materiałów, które się tam znajdują.

— Ebling Mis, jeśli pan pamięta, działał pod silną presją psychiczną Muła.

— Owszem, wiem o tym, ale z tego samego powodu jego umysł znajdował się w nienormalnym stanie. Czy pan albo ja wiemy cokolwiek o właściwościach mózgu znajdującego się we władzy emocjonalnej innej osoby, o jego możliwościach i ograniczeniach? W każdym razie nie polecę na Trantor.

Anthor zmarszczył czoło.

— W porządku, ale dlaczego zaraz tak się pan unosi? Po prostu chciałem panu zasugerować to jako… nie, na Przestrzeń, nie rozumiem pana. Wygląda pan, jakby mu przybyło dziesięć lat. Na pewno męczy to pana diabelnie. Nie robi pan znowu tutaj nic aż tak bardzo ważnego. Gdybym był na pana miejscu, to natychmiast bym tam poleciał i zabrał dziewczynę.

— Jasne! Niczego tak nie pragnę, jak lecieć tam. I właśnie dlatego nie polecę. Niech pan posłucha, Anthor, i spróbuje mnie zrozumieć. Prowadzi pan rozgrywkę — obaj ją prowadzimy — z kimś, kogo nie ma pan szans pokonać. Jeśli się pan nad tym zastanowi na zimno, to przyzna mi pan rację, bez względu na to, co pan wygaduje w chwilach zaślepienia.

Od pięćdziesięciu lat wiemy, że Druga Fundacja jest rzeczywistą spadkobierczynią i uczennicą Seldona. A znaczy to, jak sam pan dobrze wie, że nie ma takiego ważnego wydarzenia w Galaktyce, które nie byłoby uwzględnione w ich obliczeniach. Dla nas życie jest ciągiem przypadkowych zdarzeń, które zmuszają nas do improwizacji. Dla nich jest to proces celowy, który powinien być poprzedzony odpowiednimi wyliczeniami.

Ale mają też jeden słaby punkt. Opierają się na danych statystycznych, w związku z którymi można niezawodnie przewidzieć

jedynie działanie dużych mas ludności. Otóż nie wiem, jaka jest moja rola, jako jednostki, w przewidywanym biegu wydarzeń. Może nie mam żadnej określonej roli, jako że Plan pozostawia jednostkom wolną wolę i swobodę działania. Jednak jestem dla nich ważny i mogli przynajmniej przewidzieć moją prawdopodobną reakcję. Dlatego właśnie nie zawierzam impulsom, które mną kierują, pragnieniom i prawdopodobnym reakcjom. Dlatego właśnie zareaguję w sposób nieprawdopodobny. Wbrew swoim gorącym pragnieniom, żeby lecieć na Trantor, zostanę tutaj. Nie, zostanę właśnie dlatego, że gorąco pragnę lecieć!

Anthor uśmiechnął się kwaśno.

— Nie zna pan swego własnego umysłu tak dobrze, jak oni mogą znać. Załóżmy, że — znając pana — liczą na tę, jak pan myśli, tylko myśli, nieprawdopodobną reakcję, wiedząc z góry, jaki będzie tok pańskiego rozumowania.

— W takim przypadku sytuacja jest bez wyjścia. Bo jeśli przyjmę linię rozumowania, którą tu z grubsza pan nakreślił, i polecę na Trantor, to może się okazać, że to również przewidzieli. A jeśli postąpię tak, to oni mogą tak, i tak można się zastanawiać bez końca. Ale bez względu na to, jak daleko posunąłbym się w tym tworzeniu hipotez, mogę zrobić tylko jedno z dwojga — lecieć albo zostać. Fakt, że jakimś dziwnym sposobem skłonili moją córkę, żeby leciała gdzieś przez pół Galaktyki, na pewno nie świadczy o tym, że chcieliby, żebym został tutaj, bo stałoby się tak, gdyby nic nie zrobili. To może mieć tylko jeden cel — żebym się stąd ruszył. I dlatego właśnie zostanę. » A poza tym, Anthor, nie we wszystkim Druga Fundacja macza palce, nie każde zdarzenie jest przez nich wyreżyserowane. Mogli nie mieć nic wspólnego z odlotem Arkadii i może jeszcze być tak, że ona będzie zupełnie bezpieczna na Trantorze, kiedy dawno już będzie po nas.

— No nie — rzekł ostro Anthor — teraz już zupełnie się pan pogubił.

— Ma pan inną teorię?

— Mam… jeśli chce pan posłuchać…

— Proszę mówić śmiało. Będę słuchał cierpliwie.

— W porządku. A więc… dobrze zna pan swoją córkę?

— A czy można dobrze znać drugą osobę? Oczywiście, że nie.

— Ja też, nawet mniej niż pan… ale przynajmniej mam świeże spojrzenie. Po pierwsze — to żądna przygód marzycielka, jedyne dziecko naukowca zamkniętego w wieży z kości słoniowej, żyjące w wydumanym świecie fantastycznych filmów video i książek sensacyjnych. Wszędzie widzi intrygi, podstępy i szpiegów. Po drugie — jest przy tym inteligentna, w każdym razie na tyle, żeby nas nabrać. Starannie obmyśliła, jak podsłuchać nasze pierwsze zebranie i

udało się jej to. Starannie obmyśliła, w jaki sposób zabrać się z Munnem na Kalgan, i też jej się udało. Po trzecie — jest nieprawdopodobnie zafascynowana legendarną postacią swojej babki, która pokonała Muła. Myślę, że jak dotąd, zgadza się pan ze mną? W porządku. A teraz proszę słuchać uważnie… w przeciwieństwie do pana, znam pełną relację porucznika Dirige, a w dodatku mam dobre źródła informacji na Kalganie i wszystkie wieści na ten temat pokrywają się ze sobą. Wiemy, na przykład, że Homir Munn nie otrzymał w czasie audiencji u władcy Kalgana pozwolenia na wejście do pałacu Muła i że ta odmowa została nagle cofnięta po rozmowie Arkadii z lady Callią, przyjaciółką Pierwszego Obywatela.

— A skąd pan wie to wszystko? — przerwał Darell.

— Po pierwsze, Munn został przesłuchany przez Dirigego po zniknięciu Arkadii. Naturalnie, mamy dokładny zapis pytań i odpowiedzi. No i weźmy lady Callię. Plotka głosi, że straciła względy Stettina, ale nie znajduje to potwierdzenia w faktach. Mało, że żadna inna kobieta nie zajęła jej miejsca, mało, że potrafiła skłonić Stettina, — żeby zmienił swą decyzję i pozwolił Munnowi ha przeszukanie pałacu, to jeszcze zupełnie otwarcie zorganizowała ucieczkę Arkadii. Widziano je razem ostatniego wieczoru przed zniknięciem Arkadii. Potwierdził to tuzin żołnierzy strzegących rezydencji Stettina. I nie spotkała jej żadna kara, mimo tego, że poszukiwania Arkadii były prowadzone na wielką skalę.

— No i jaki z tego wniosek?

— Że ucieczka Arkadii została zorganizowana.

— Jak mówiłem.

— Z jedną poprawką — że Arkadia musiała wiedzieć, że jej ucieczka jest zorganizowana, że ta bystra dziewczyna, która wszędzie widzi intrygi, dostrzegła też tę intrygę i pomyślała tak samo jak pan. Skoro chcą, żeby wróciła do Fundacji, to poleci na Trantora. Ale dlaczego akurat na Trantor?

— No właśnie, dlaczego?

— Dlatego, że tam właśnie uciekła kiedyś Bayta, jej ubóstwiana babka. Świadomie czy nie, Arkadia poszła jej wzorem. Zastanawiam się, czy nie uciekła przed tym samym wrogiem.

— Przed Mułem? — spytał ironicznie Darell.

— Oczywiście, że nie. Mówiąc „wróg”, mam na myśli ten sam rodzaj umysłu, umysłu, z którym nie mogła walczyć. Uciekała przed Drugą Fundacją, a przynajmniej przed jej wpływem.

— O jakim wpływie pan mówi?

— Myśli pan, że Kalgan oparł się temu powszechnemu zagrożeniu? Niezależnie od siebie doszliśmy do wniosku, że ucieczka Arkadii została zaaranżowana. Prawda? Była poszukiwana i została znaleziona, ale Dirige celowo pozwolił jej wymknąć się. Dirige,

rozumie pan? A dlaczego tak się stało? Dlatego, że jest naszym człowiekiem. Ale skąd oni mogli o tym wiedzieć? Czyżby liczyli na to, że zdradzi Pierwszego Obywatela? Ejże, doktorku!

— Teraz z kolei twierdzi pan, że naprawdę chcieli ją złapać. Słowo daję, zaczyna mnie pan już nudzić, Anthor. Niech pan kończy, bo chcę iść spać.

— Zaraz skończę — Anthor wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kilkanaście fotokopii. Na wszystkich były dobrze znane Darellowi kręte linie encefalogramów. — To wykres fal mózgowych Dirigego — rzekł nonszalancko Anthor zrobiony po jego powrocie.

Darell nie potrzebował suwaka, żeby zorientować się o co chodzi. Kiedy podniósł głowę znad fotokopii, jego twarz była szara — On jest pod ich wpływem — rzekł.

Właśnie. Pozwolił Arkadii uciec nie dlatego, że jest naszym człowiekiem, ale dlatego, że jest człowiekiem Drugiej Fundacji.

Nawet wtedy, kiedy zorientował się, że leci na Trantor, nie na Terminusa.

Anthor wzruszył ramionami.

— Został tak ustawiony, żeby pozwolić jej uciec. Nie mógł tego zmienić w żaden sposób. Był tylko narzędziem, rozumie pan. Po prostu stało się tak, że Arkadia wybrała najmniej prawdopodobny kierunek, dzięki czemu jest bezpieczna. Przynajmniej do czasu, aż Druga Fundacja tak zmodyfikuje swoje plany, by wziąć pod uwagę zmieniony stan rzeczy…

Przerwał. Zauważył, że pali się mała lampka w odbiorniku video podłączona do niezależnego obwodu. Sygnalizowała ona komunikat specjalny. Spostrzegł to również Darell i automatycznym ruchem włączył aparat. Spiker był właśnie w połowie zdania, ale nim skończył, wiedzieli już, że odnaleziono „Hobera Mallowa", a raczej jego wrak, i że po raz pierwszy od blisko pół wieku Fundacji wydano wojnę.

Anthor zacisnął szczęki.

No, doktorku, słyszał pan to. Kalgan zaatakował, a jest pod wpływem Drugiej Fundacji. Może teraz pójdzie pan za przykładem córki i poleci na Trantor?

Nie. Zaryzykuję i zostanę.

— Ha, doktorze Darell, pana córka jest bardziej inteligentna. Zastanawiam się, czy można na panu w ogóle polegać. — Długo mu się przyglądał, a potem wyszedł bez słowa.

Darell został sam ze swymi wątpliwościami. Był bliski rozpaczy. Na ekranie pojawiły się obrazy, którym towarzyszył nerwowy głos spikera, relacjonującego szczegóły pierwszych godzin wojny między Kalganem i Fundacją.

17. WOJNA

Burmistrz Fundacji starał się bezskutecznie przygładzić okalający jego łysą czaszkę wianek sterczących włosów. Westchnął. — Tyle zmarnowanych lat, tyle zaprzepaszczonych szans. Nie obwiniam nikogo, doktorze Darell, ale zasługujemy na to, żeby ponieść klęskę.

— Nie widzę żadnego powodu, żeby nie wierzyć w pomyślny obrót wydarzeń — rzekł spokojnie Darell.

— Nie wierzyć! Nie wierzyć! Na Galaktykę, doktorze Darell, a jakie ma pan podstawy, żeby wierzyć? Niech pan tu podejdzie… — mówiąc to, chwycił Darella za rękę i prawie zaciągnął do przezroczystej bryły o kształcie jaja, spoczywającej na słabym polu siłowym. Pod dotknięciem jego ręki wnętrze bryły zalało światło, ukazując dokładny, trójwymiarowy model podwójnej spirali galaktycznej.

— Kolor żółty — rzekł ze zdenerwowaniem burmistrz — oznacza rejon przestrzeni kontrolowany przez Fundację, czerwony — przez Kalgan.

To, co widział Darell, przypominało purpurową kulę, z zaciskającą się wokół niej żółtą dłonią. Tylko ta część, która skierowana była w stronę środka Galaktyki, nie była jeszcze odgraniczona żółtym kolorem od reszty przestrzeni.

— Największym naszym wrogiem — powiedział burmistrz — jest galaktografia. Nasi admirałowie nie ukrywają, że nasza pozycja strategiczna jest prawie beznadziejna. Niech pan spojrzy. Nieprzyjaciel ma wewnętrzne linie komunikacyjne. Jego siły są skoncentrowane, może z jednakową łatwością uderzyć w każdym kierunku. I może bronić się przy minimalnym wysiłku.

Nasze linie są za bardzo rozciągnięte. Przeciętna odległość między zamieszkałymi systemami w Fundacji jest trzykrotnie większa niż w Kalganie. My, na przykład, musimy pokonać dwa tysiące pięćset parseków, żeby dostać się z Santanni na Locris, a oni, odpowiednio, tylko osiemset parseków…

— Rozumiem to wszystko — rzekł Darell.

— I nie rozumie pan, że to może oznaczać dla nas klęskę?

— W wojnie liczy się nie tylko odległość. Powtarzam, że nie możemy przegrać. To zupełnie niemożliwe.

— Na jakiej podstawie pan tak uważa?

— Na podstawie swojej własnej interpretacji Planu Seldona.

— Och — burmistrz skrzywił się i założył ręce do tyłu — więc pan też wierzy w tę mistyczną pomoc Drugiej Fundacji?

— Nie. Ja tylko wierzę w to, co nieuniknione… oraz w odwagę i wytrwałość.

A jednak, mimo tej zewnętrznej pewności siebie, trapiły. go wątpliwości. A jeśli… a jeśli Anthor miał rację i Kalgan rzeczywiście był narzędziem w rękach tych mistrzów psychologii? Jeśli ich celem było zwyciężenie i zniszczenie Fundacji? Nie, to nie miało sensu!

A jednak…

Uśmiechnął się gorzko. Zawsze to samo. Zawsze to usiłowanie przeniknięcia wzrokiem tej skorupy, która dla niego była niczym granit, a dla wroga przezroczysta jak kryształ.

Galaktograficzny obraz sytuacji nie umknął też uwadze Stettina. Władca Kalgana stał przed modelem Galaktyki, który był bliźniaczą kopią modelu z gabinetu burmistrza Terminusa. Różnica polegała tylko na tym, że gdy burmistrz chmurzył czoło, Stettin uśmiechał się.

Wyglądał imponująco w błyszczącym admiralskim mundurze opinającym jego potężne ciało. Przez pierś, od ramienia do biodra, biegła ukosem purpurowa wstęga Orderu Muła, którym odznaczył go poprzedni Pierwszy Obywatel, usunięty przez niego pół roku później w sposób nieco gwałtowny. Na lewym ramieniu rzucała błyski Srebrna Gwiazda z Podwójnymi Kometami i Mieczami.

Zwracał się właśnie do sześciu członków swego sztabu głównego, których uniformy tylko niewiele ustępowały jego mundurowi, i do Pierwszego Ministra, który wyglądał przy nich jak szara myszka.

— Myślę, że decyzje są jasne. My możemy poczekać. Dla nich każdy dzień zwłoki będzie oznaczał kolejny cios w ich morale. Jeśli postanowią bronić całego obszaru, to rozproszą swoje siły, a wtedy możemy uderzyć równocześnie w dwóch miejscach, tu i tu — wskazał na modelu Galaktyki dwie białe linie, wybiegające z czerwonej kuli, przecinające niby lancety żółtą dłoń, która ją trzymała i odcinające ż dwu stron ciasnym łukiem Terminus od sąsiadujących z nim światów. — W ten sposób rozerwiemy ich flotę na trzy części; z każdą załatwimy się dokładnie. Jeśli skoncentrują swoje siły, to tym samym oddadzą nam dwie trzecie swego terytorium i prawdopodobnie sprowokują rebelię.

W ciszy, która zapadła po słowach Stettina, rozległ się cienki głos Pierwszego Ministra:

— Za pół roku Fundacja będzie silniejsza. Jej zasoby, jak wszyscy wiemy, są większe, flota ma więcej statków, a rezerwy ludzkie prawie niewyczerpane. Może byłoby bezpieczniej uderzyć szybko.

Jego zdanie z pewnością najmniej się liczyło w tym pokoju. Stettin uśmiechnął się i zrobił stanowczy ruch ręką:

— Pół roku — rzekł — czy nawet rok, jeśli trzeba będzie, nic nas nie kosztuje. Ludzie zFundacji nie są w stanie się przygotować, nie są ideologicznie zdolni do tego. Ich filozofia sprowadza się do wiary w to, że pomoże im Druga Fundacja. Ale nie tym razem, co?

Obecni poruszyli się niespokojnie.

— Sądzę, że brak wam wiary we własne siły — rzekł Stettin lodowatym głosem. — Czy muszę jeszcze raz przytaczać raporty naszych agentów w Fundacji albo wyniki odkryć Homira Munna, byłego agenta Fundacji, który teraz jest na naszych… eee… usługach? Kończymy naradę, panowie.

Stettin wrócił do swoich apartamentów z uśmiechem na ustach. Niekiedy zastanawiał go ten Homir Munn. Dziwny facet, mięczak, który nie potwierdził swoich wcześniejszych obietnic. Ale mimo to wiedział mnóstwo interesujących rzeczy, które napełniały otuchą — szczególnie jeśli przy rozmowie obecna była lady Callia.

Uśmiechnął się szerzej. Ta tłusta idiotka przydawała się jednak na coś. Przynajmniej wydostała z Munna swoim przymilaniem się więcej, niż udało się jemu, i miała z tym mniej zachodu. Dlaczego by nie oddać jej Munnowi? Zachmurzył się. Callia. Ona i ta jej idiotyczna zazdrość. Na Przestrzeń! Gdyby miał tu jeszcze tę Darellównę… Dlaczego nie rozwalił jej za to głowy?

Nie potrafił sobie tego dokładnie wytłumaczyć.

Może dlatego, że tak jej dobrze szło z Munnem. A on potrzebował Munna. To właśnie Munn wykazał, że przynajmniej zdaniem Muła nie było żadnej Drugiej Fundacji. Jego admirałowie potrzebowali takiego zapewnienia.

Chciałby udostępnić te dowody społeczeństwu, ale lepiej, żeby Fundacja wierzyła w pomoc, która nigdy nie nadejdzie. Czy to nie Callia właśnie wskazała mu na to? Tak, zgadza się. Powiedziała, że … Bzdura! Nie mogła nie powiedzieć. A jednak…

Potrząsnął głową, aby uwolnić się od tych myśli i poszedł dalej.

18. ZAPOMNIANY ŚWIAT

Trantor był światem, na którym wśród szczątków dawnego rodziło się nowe życie. Osadzony, niczym zmętniały szlachetny kamień, w samym środku oszałamiającej masy gwiazd, śnił na przemian o przeszłości i o przyszłości.

Był czas, kiedy na tej pokrytej metalowym płaszczem planecie zbiegały się niewidoczne nitki władzy, sięgające aż do najdalszych krańców Galaktyki. Trantor był wtedy jednym wielkim miastem, zamieszkanym przez cztery miliardy administratorów, najpotężniejszą stolicą, jaka kiedykolwiek istniała. W końcu rozkład sięgnął jądra. Na sto lat przed opisanymi tu wydarzeniami Imperium samo wymierzyło sobie ostateczny cios — został złupiony Trantor. Pomarszczona i spękana w śmiercionośnym ogniu atomowej zagłady metalowa skorupa planety zdawała się szydzić z jej dawnej świetności. Ci, którzy przetrwali, zrywali metalowe płyty i wymieniali je z sąsiednimi planetami na ziarno i bydło. Spod metalu wyłoniła się na powrót ziemia i tak Trantor wrócił do swych początków. Pokrywający się wciąż nowymi, prymitywnie uprawianymi polami, zapomniał o swej świetnej przeszłości. A raczej — zapomniałby, gdyby nie potężne szkielety wypalonych budowli wznoszące się w ciszy ku niebu.

Arkadia patrzyła z lekkim skurczeni serca na widoczny na horyzoncie pierścień metalowych konstrukcji. Wioska, w której mieszkali Palverowie, wydawała się jej mała i zacofana, ot, kilkanaście rozrzuconych bezładnie zagród. Otaczały ją łany złocistej pszenicy.

Ale tam, w oddali, wciąż wznosiły się pamiętające dawne czasy budowle, których ściany, wykonane z nierdzewnego metalu, lśniły oślepiająco w blaskach słońca Trantora, Mimo że od jej przylotu minęło kilka miesięcy, była tam tylko raz. Szła gładkim chodnikiem, na którym nie było widać śladów spojeń i zaglądała do wnętrza milczących, pokrytych kurzem budowli. Przez dziury i pęknięcia w ścianach wdzierało się światło. Było to niezmiernie przygnębiające. Było to świętokradztwo.

Rzuciła się do ucieczki. Metal dźwięczał pod jej stopami. Zatrzymała się dopiero wtedy, gdy miękki odgłos kroków uświadomił jej, że znajduje się już na gołej ziemi.

Potem mogła już tylko spoglądać z daleka. Nie śmiała zakłócać panującej tam ciszy.

Wiedziała, że urodziła się na tym świecie. Gdzieś w okolicach starej Biblioteki Imperialnej. Biblioteka ta to był najprawdziwszy Trantor. Największa świętość! Było to jedyne miejsce, które oparło się hordom plądrującym planetę i zachowało się w nienaruszonym stanie.

Trwało tak od stu lat, niczym wyzwanie rzucone wszechświatu.

To właśnie tam Hari Seldon z grupą współpracowników utkał swą niewyobrażalną, misterną sieć. To tam Ebling Mis przeniknął jego tajemnicę i siedział oniemiały ze zdziwienia, nim strzał z miotacza nie przerwał jego życia, by tajemnica ta nie wyszła na światło dzienne. To tam, w Bibliotece Imperialnej, jej dziadkowie żyli przez dziesięć lat, aż umarł Muł i mogli wrócić do Fundacji. To tam powrócił ze swą młodą żoną jej ojciec, by poznać sekret Drugiej Fundacji. Nie udało mu się.

Tam urodziła się ona i zmarła jej matka.

Chciała zwiedzić Bibliotekę, ale Preem Palver potrząsnął głową i powiedział:

— To parę tysięcy mil stąd, Arkady, a mamy mnóstwo roboty. Poza tym, niedobrze jest naruszać spokój tego miejsca. To świątynia, rozumiesz…

Ale Arkadia wiedziała, że Palver po prostu nie chce wchodzić do Biblioteki, że to taka sama historia jak z Pałacem Muła na Kalganie. Był to zabobonny lęk, który skarlali współcześni żywili przed pozostałościami z epoki gigantów.

Mimo to, Arkadii nawet nie przyszło na myśl, by mieć o to żal do poczciwego grubasa. Była na Trantorze już trzy miesiące i przez cały ten czas Palver i jego żona byli cudowni…

A jak się im za to odwdzięczyła? Narażając ich na śmierć. Może ostrzegła ich, że grozi jej zagłada? Nic podobnego! Pozwoliła im odgrywać niebezpieczną rolę jej opiekunów…

Dręczyły ją wyrzuty sumienia… ale co mogła zrobić? Nie miała wyboru.

Niechętnie schodziła na śniadanie. Będąc już na schodach, usłyszała dźwięki rozmowy.

Preem Palver, kręcąc grubym karkiem, zatknął serwetę za kołnierz koszuli i z wyrazem nieskrywanego zadowolenia sięgnął po gotowane jajka.

— Byłem wczoraj w mieście, matka — rzekł podnosząc godnie widelec i napychając usta.

— No i co tam słychać dobrego? — siadając do stołu spytała obojętnym głosem „Matka”. Rozejrzała się po stole i ponownie wstała, żeby przynieść sól.

— Raczej niedobrego. Przyleciał statek gdzieś od Kalgana i przywiózł gazety stamtąd. Wybuchła tam wojna.

— Wojna! Coś takiego. A niech tam sobie pourywają głowy, kiedy nie mają w nich dość rozumu. Przyszedł już ten czek z twoim zarobkiem? Ojciec, mówię ci… Powiedz temu staremu Coskerowi, że to nie jest jedyna spółdzielnia na Trantorze. Mało że płacą ci tyle, że aż się wstydzę przyznać znajomym, to jeszcze nie na czas.

— Nie na czas… — mruknął z irytacją „Ojciec”. — Słuchaj, nie

gadaj mi takich głupstw przy śniadaniu, bo się udławię — sięgnął ze złością po grzankę z masłem. — To wojna między Kalganem i Fundacją — dodał już spokojniej — a biją się już od dwóch miesięcy.

Walnął z rozmachem jedną ręką w drugą, naśladując walkę statków w przestrzeni.

— Mhm… No i co?

— Źle z Fundacją. Widziałaś Kalgan — sami żołnierze. Oni byli gotowi, a Fundacja nie, no i… trzask! Nagle „Matka" odłożyła widelec i syknęła: — Dureń!

— Co?

— Pusta pała! Bez przerwy tylko mielesz ozorem.

Pokazała na coś za jego plecami, a kiedy „Ojciec" odwrócił się, zobaczył w drzwiach pobladłą Arkadię.

— W Fundacji jest wojna? — spytała. „Ojciec" spojrzał bezradnie na „Matkę", a potem skinął twierdząco głową.

— I przegrywają?

Znowu skinął głową.

Arkadia poczuła nieznośny skurcz w gardle i wolno podeszła do stołu. — To już koniec? — wyszeptała.

— Koniec? — spytał „Ojciec" ze sztucznym ożywieniem. — A kto mówi, że koniec? W czasie wojny dużo może się wydarzyć. I… i…

— Usiądź, kochanie — powiedziała „Matka" łagodnie. — Nie trzeba rozmawiać przed śniadaniem. Nikt nie czuje się dobrze, kiedy ma pusty żołądek.

Ale Arkadia nie zwracała na nią uwagi. — Czy Kalgańczycy są już na Terminusie? — zapytała.

— Nie — odparł poważnie „Ojciec". — To są wiadomości z ubiegłego tygodnia i wynika z nich, że Terminus nadal walczy. Mówię prawdę. Słowo honoru. A Fundacja jest nadal silna. Chcesz, żebym przyniósł ci te gazety?

— Tak!

Czytała je, zmuszając się do przełknięcia choć paru kęsów. Litery zamazywały się jej przed oczami. Santanni i Korell oddane bez walki. Eskadra floty Fundacji okrążona wśród rzadko rozsianych słońc w sektorze Ifni i zniszczona niemal do ostatniego statku.

I oto Fundacja znowu ograniczała się do Czterech Królestw, obszaru przestrzeni zjednoczonego jeszcze za czasów Sałvora Hardina, pierwszego burmistrza. Nadal jednak walczyła i nadal jeszcze mogła istnieć szansa przetrwania, i bez względu na to, co się może zdarzyć, musi powiadomić ojca. Musi w jakiś sposób przekazać mu tę wiadomość. Po prostu musi! Ale jak? Przecież tam jest wojna.

— Czy wybiera pan się w najbliższym czasie w nową podróż handlową, panie Palver? — spytała „Ojca" po śniadaniu.

Palver siedział na potężnym krześle ustawionym na trawniku

przed domem i wygrzewał się w słońcu. W pulchnych palcach trzymał tlące się cygaro i wyglądał jak zadowolony mops.

— W podróż handlową? — powtórzył leniwie. — Kto wie? Mamy przyjemne wakacje, a urlop jeszcze mi się nie kończy. Po co myśleć o nowych podróżach? Niepokoisz się, Arkady?

— Ja? Nie, podoba mi się tutaj! Jesteście państwo oboje tacy dobrzy dla mnie.

Machnął ręką na znak, że nie chce tego słuchać.

— Myślałam, o wojnie — rzekła Arkadia.

— Nie myśl o tym. Co ty możesz zrobić? Jeśli nie — możesz na to nic poradzić, to po co się zadręczać takimi myślami?

— Ale właśnie myślałam, że Fundacja utraciła większość swoich rolniczych światów. Prawdopodobnie racjonują teraz żywność.

”Ojciec” kręcił się na krześle z niewyraźną miną.

— Nie martw się. Wszystko będzie dobrze — powiedział.

Nie słuchała, co mówi Palver.

— Żebym tak mogła dostarczyć im żywność! Wie pan, kiedy umarł Muł i Fundacja zbuntowała się, Terminus był przez pewien czas osamotniony i generał Han Pritcher, który objął na krótko rządy po Mule, zrobił blokadę. Wyczerpały się zapasy żywności i ojciec mówił, że jego ojciec opowiadał mu, że mieli tylko suche koncentraty kwasu aminowego, które miały okropny smak. Jajko kosztowało dwieście kredytów! Na szczęście w porę przerwali blokadę i zaczęły docierać z Santanni statki z żywnością. To musiały być straszne czasy. Pewnie teraz znowu jest tak samo.

Arkadia przerwała, lecz po chwili podjęła na nowo:

— Wie pan, założę się, że Fundacja zapłaciłaby teraz każdą cenę za żywność. Dwa albo trzy razy więcej niż normalnie. O rany, jakby jakaś spółdzielnia, na przykład, tu, na Trantorze, skorzystała z tej okazji, to może straciłaby parę statków, ale zanim skończyłaby się wojna, wszyscy jej członkowie byliby milionerami. W dawnych czasach na takich interesach zbijali majątki nasi Handlarze. Jak tylko gdzieś wybuchła wojna, zaraz tam lecieli i sprzedawali to, co najbardziej potrzebne. Korzystali z okazji. Ryzykowali, ale zdarzało im się zarobić na jednym kursie dwa miliony kredytów. To był zysk! I to. tylko z jednego statku.

”Ojciec” poprawił się na krześle. Nie zauważył, że zgasło mu cygaro.

— Interes na żywności, tak? Hmm… Ale Fundacja jest tak daleko.

— Ojej, wiem. Myślę, że stąd by się pan tam nie dostał. Gdyby poleciał pan normalnym liniowcem pasażerskim, to pewnie nie dotarłby pan dalej niż do Masseny czy Smushyku. Potem musiałby pan wynająć jakiś mały statek zwiadowczy czy coś takiego, żeby przedostać się przez linię frontu.

”Ojciec” zastanawiał się, drapiąc się w głowę.

Dwa tygodnie później zostały zakończone przygotowania do podróży. „Matka” przez prawie cały ten czas narzekała. Najpierw na to, że „Ojciec” z oślim uporem pcha się na pewną śmierć. Potem na to, że z takim samym uporem odmawia zabrania jej ze sobą.

— Matka, czemu zachowujesz się jak niemądra staruszka? Nie mogę cię wziąć. To zadanie dla mężczyzny. Co ty myślisz, że wojna to zabawa?

— No to dlaczego tam lecisz? Znalazł się mężczyzna, stary dureń… jedną nogą w grobie… Niech leci jakiś młodziak, a nie taki łysek jak ty.

— Nie jestem żaden łysek — odpowiadał „Ojciec” z godnością. — Mam jeszcze dużo włosów. Dlaczego zlecenie ma dostać jakiś młodziak? Słuchaj, przecież na tym można zarobić miliony!

Wiedziała o tym dobrze, więc w końcu przestała nalegać.

Arkadia spotkała go przed odlotem.

— Leci pan na Terminusa? — spytała.

— A dlaczego nie? Sama mówiłaś, że potrzebują chleba i ryżu, i ziemniaków. No to ubiję z nimi interes i dostaną to.

— No tak… aha, jeszcze jedno… skoro leci pan na Terminusa, to może mógłby pan… może mógłby pan zobaczyć się z moim ojcem?

Na twarzy Palvera pojawiło się rozbawienie zmieszane ze współczuciem.

— Myślisz, że miałem zamiar czekać, aż mnie o to poprosisz? Pewnie, że się z nim zobaczę. Powiem mu, że jesteś bezpieczna i wszystko jest w porządku, i że jak tylko skończy się wojna, odwiozę cię.

— Dziękuję. Powiem panu, jak go znaleźć. Nazywa się doktor Darell i mieszka w Stanmark. To pod samą stolicą. Doleci pan tam samolotem podmiejskim. Mieszkamy przy Kanałowej 55.

— Zaczekaj, zapiszę sobie.

— Nie, nie — Arkadia machnęła gwałtownie ręką. — Nie może pan nic zapisywać. Musi pan to zapamiętać i znaleźć go bez niczyjej pomocy.

”Ojciec” był zaskoczony. Potem wzruszył ramionami.

— No dobrze. Ulica Kanałowa 55 w Stanmark, pod Terminusem, i można tam się dostać samolotem podmiejskim. Dobrze?

— I jeszcze jedno.

— Tak?

— Czy mógłby pan przekazać mu coś ode mnie?

— No pewnie.

— Powiem to panu na ucho.

Nachylił ku niej pulchny policzek i Arkadia szybko szepnęła mu

coś.

Oczy „Ojca” zrobiły się okrągłe ze zdziwienia. — To jest to, co mam mu powiedzieć? Przecież to jest bez sensu.

— On to zrozumie. Niech mu pan tylko powie, że prosiłam, żeby to przekazać, i że powiedziałam, że zrozumie co to znaczy. I niech pan powie to dokładnie tak, jak powiedziałam. Nie zapomni pan?

— Ależ skąd. Raptem cztery słowa. Słuchaj…

— Nie, nie Arkadia aż podskakiwała z emocji. — Proszę tego nie powtarzać. Proszę tego nikomu nie powtarzać. Tylko mojemu ojcu. Proszę, niech mi pan to obieca. \ „Ojciec” znowu wzruszył ramionami.

— Obiecuję! W porządku?

— W porządku — powiedziała Arkadia ponuro, a kiedy Palver przechodził na drugą stronę ulicy, gdzie czekała taksówka, która miała zawieźć go na kosmodrom, zastanawiała się, czy nie podpisała na niego wyroku śmierci. Zastanawiała się, czy jeszcze kiedyś go zobaczy.

Ociągała się z pójściem do domu. Nie śmiała spojrzeć w twarz dobrej, życzliwej „Matce”. Może kiedy już się to wszystko skończy, lepiej będzie jeśli się zabije za to, co im zrobiła.

19. KONIEC WOJNY

QUORISTON — … bitwa pod Q. stoczona 9. 17. 377 r. e. f. między siłami Fundacji i armią Stettina, władcy Kalgana. Była to ostatnia z ważnych bitew Okresu Bezkrólewia…

Encyklopedia Galaktyczna

Jole Turbor znalazł się w nowej dla siebie roli korespondenta wojennego. Jego potężne ciało opinał mundur oficera floty, co Turborowi nawet dość się podobało. Cieszył się, że znowu jest na antenie, a owo nieznośne uczucie bezradności i beznadziei, którym napawała go bezowocna walka z Drugą Fundacją, osłabło nieco pod wpływem podniecenia walką innego rodzaju — z materialnymi statkami i zwykłymi ludźmi.

Z pewnością, Fundacja nie mogła się poszczycić zwycięstwami w tej wojnie, ale wciąż można było pozwolić sobie. na pewną dozę optymizmu. Wojna trwała już pół roku, a jądro Fundacji było nadal nietknięte i nadal istniały główne siły floty. Uzupełniona o nowe jednostki, miała ona prawie ten sam stan liczbowy co na początku wojny, a pod względem techniki wyposażenia była nawet silniejsza niż w momencie porażki pod Ifni.

Wzmocniono też systemy obronne planet, wyćwiczono lepiej armię i skłoniono administrację do sprawniejszego działania, gdy tymczasem znaczna część zwycięskiej floty kalgańskiej ulegała rozprzężeniu, będąc zmuszona do okupowania „zdobytych" terytoriów.

Turbor znajdował się właśnie z Trzecią Flotą na obrzeżach sektora anakreońskiego. Zgodnie ze swą zasadą przedstawiania wojny oczyma szeregowca, przeprowadzał akurat wywiad zinżynierem trzeciej kategorii Fennelem Leemorem, który zgłosił się do armii na ochotnika.

— Powiedzcie nam coś o sobie, żołnierzu — rzekł Turbor.

— A co tu mówić — Leemor przestąpił z nogi na nogę i uśmiechnął się z lekkim zakłopotaniem, jak gdyby widział te wszystkie miliony, które w tej chwili patrzyły na niego. — Jestem Lokryjczykiem. Pracowałem w fabryce aerowozów jako kierownik działu i nieźle zarabiałem. Jestem żonaty, mam dwoje dzieci — dwie córki. Może mógłbym coś do nich powiedzieć, co? Na wypadek jeśli słuchają.

— Mówcie śmiało, żołnierzu. Video jest do waszej dyspozycji.

— O rany, dziękuję. Cześć, Milla, jeśli mnie słuchasz. Jak się czuje Sunni? A Tomma? Myślę o was cały czas i może wpadnę do was jak dostanę urlop, kiedy wrócimy do bazy. Dostałem twoją paczkę z jedzeniem, ale odesłałem z powrotem. Mamy tu regularne posiłki, a mówią, że cywile trochę zaciskają pasa. To chyba wszystko.

— Odwiedzę ją następnym razem, jak będę na Locris i sprawdzę, czy nie mają kłopotów z żywnością, dobrze?

Żołnierz uśmiechnął się szeroko i kiwnął głową. — Dziękuję, panie Turbor. Byłbym bardzo wdzięczny.

— W porządku. Może powiecie nam wobec tego… Jesteście ochotnikiem, prawda?

— Jasne, że jestem. Jak ktoś szuka ze mną zaczepki, to nie musi długo czekać. Zaciągnąłem się tego samego dnia, kiedy dowiedziałem się o „Hoberze Mallowie".

— To jest postawa! W ilu byliście akcjach? Widzę, że macie dwie gwiazdy za udział w bitwach.

— Phi! — żołnierz splunął. — To nie były bitwy, tylko pościgi. Kalgańczycy nie podejmują walki, kiedy nie jest ich przynajmniej pięć razy więcej niż nas. Zresztą nawet wtedy starają się uderzyć całą siłą w jedno miejsce i wycofać się, i potem znowu wyłuskują statek po statku. Mój kuzyn był pod Ifni, na tym statku, który wyszedł cało, na „Eblingu Misie". Mówił, że tam było tak samo. Mieli całą swoją główną flotę przeciwko naszemu jednemu dywizjonowi i aż do czasu, kiedy zostało nam tylko pięć statków, podkradali się zamiast walczyć. Wtedy zniszczyliśmy dwa razy tyle statków co oni.

— A więc myślicie, że wygramy wojnę?

— Mogę się założyć, że tak. Teraz już się nie cofamy. Nawet gdyby sytuacja się pogorszyła, to spodziewam się, że wtedy włączyłaby się Druga Fundacja. Nadal mamy Plan Seldona — i oni o tym dobrze wiedzą.

Turbor lekko wykrzywił usta.

— A więc liczycie na Drugą Fundację?

— No, chyba wszyscy na to liczą, nie? — spytał żołnierz ze szczerym zdziwieniem.

Po programie do kabiny Turbora wszedł młodszy oficer Tippellum. Wycelował w korespondenta papieros i zsunął czapkę do tyłu tak, że wydawało się, iż lada moment spadnie mu z głowy.

— Schwytaliśmy jeńca — powiedział.

— Tak?

— Taki niski, zwariowany facet. Mówi, że jest obywatelem neutralnego kraju… powołuje się na immunitet dyplomatyczny, nie byle co. Wydaje mi się, że nie bardzo wiedzą, co z nim zrobić. Nazywa się Palvro, Palver, czy jakoś tak i mówi, że jest z Trantora. Nie wiem, na przestrzeń, co on robi w strefie walk.

Turbor aż usiadł na swej koi. Z miejsca odechciało mu się spać. Dobrze pamiętał ostatnie spotkanie z Darellem, dzień po wybuchu wojny, kiedy szykował się do, podróży. — Preem Palver — powiedział. Było to stwierdzenie faktu.

Tippellum wolno wypuścił dym kącikiem ust. — Tak — powiedział. — Skąd, na Przestrzeń, wie pan o tym?

— Nieważne. Mogę się z nim zobaczyć?

— Mnie pan pyta? Stary trzyma go w swoim pokoju i przesłuchuje. Wszyscy podejrzewają, że to szpieg.

— Powiedz staremu, że znam tego człowieka, jeśli naprawdę jest tym, za kogo się podaje. Biorę za to całkowitą odpowiedzialność.

Na statku flagowym trzeciej floty kapitan Dixyl wpatrywał się niestrudzenie w detektor. Każdy statek, nawet jeśli znajdował się w spoczynku i był tylko bezwładną masą, pozostawał źródłem emisji promieniowania subatomowego i nikt nie mógł na to nic poradzić. W trójwymiarowym, polu detektora widać było każde źródło takiej emisji jako malutką iskierkę.

Teraz, kiedy schwytano tego szpiega, który twierdził, że jest osobą neutralną, sprawdzono położenie wszystkich statków Fundacji. Nie pominięto ani jednej z iskierek wskazywanych przez detektor. Ten obcy statek narobił w pierwszej chwili sporo zamieszania w kajucie kapitana. Mogło się okazać, że trzeba niezwłocznie zmienić taktykę. Tak jednak, jak się sprawy miały…

— Na pewno wszystko jasne? — spytał.

Cenn skinął głową.

— Prowadzę swoją eskadrę przez nadprzestrzeń, punkt docelowy — 10,00 parseków, theta — 268,52 stopnia, phi — 84,15 stopnia. Powrót do punktu wyjścia o 1330. Całkowity czas w nadprzestrzeni 11,83 godziny.

— W porządku. Liczymy, że powrót będzie maksymalnie precyzyjny pod względem czasu i przestrzeni. Zrozumiano?

— Tak jest. — Spojrzał na swój zegarek. — Moje statki będą gotowe o 0140.

— Dobrze — odparł kapitan Dixyl.

W zasięgu detektora nie było jeszcze eskadry kalgańskiej, ale niedługo zjawi się na pewno. Uzyskano na ten temat wiarygodną informację. Bez eskadry Cenna siły Fundacji będą o wiele słabsze, ale kapitan Dixyl czuł się całkiem pewnie. Całkiem pewnie.

Preem Palver powiódł smutnym wzrokiem po otaczających go mężczyznach. Najpierw popatrzył na wysokiego, kościstego admirała, potem na resztę, też w mundurach, wreszcie na tego ostatniego, potężnego chłopa, który rozpiętym kołnierzykiem i brakiem krawata odbijał od pozostałych. To był ten, który chciał z nim porozmawiać.

— Zdaję sobie doskonale sprawę z tego, panie admirale — mówił

Jole Turbor — o jak ważne sprawy tu chodzi, ale mówię panu, że jeśli pozwolicie mi na parę minut rozmowy z tym człowiekiem, to może będę w stanie rozwiać obecne wątpliwości.

— Czy jest jakiś powód, że nie chce pan z nim rozmawiać w mojej obecności?

Turbor zaciął z uporem wargi.

— Panie admirale — rzekł — od czasu jak przydzielono mnie do pańskiego zgrupowania, trzecia flota ma znakomitą prasę. Jeśli pan chce, może pan postawić za drzwiami swoich ludzi, a za S1 pięć minut może pan tu wrócić. Ale na razie niech mi pan wyświadczy tę drobną przysługę, a ręczę panu, że pańska opinia na tym nie ucierpi. Chyba mnie pan rozumie?

Admirał rozumiał doskonale, a więc za chwilę Turbor znalazł się sam na sam z Palverem.

— Jak się nazywa dziewczynka, którą pan Uprowadził? — spytał. — Tylko szybko.

Palver spojrzał na niego oczami okrągłymi ze zdumienia i potrząsnął przecząco głową.

— Bez wygłupów! — rzekł Turbor. — Jeśli pan nie odpowie, to będzie pan uważany za szpiega, a w czasie wojny szpiegów rozwala się bez sądu.

— Arkadia Darell — wysapał Palver.

— No! A więc wszystko w porządku. Jest bezpieczna?

Palver kiwnął głową.

— Niech się pan dobrze zastanowi, bo inaczej może się to źle skończyć dla pana.

— Jest zdrowa i zupełnie bezpieczna — powiedział pobladły Palver.

Wrócił admirał.

— No i… ?

— To nie jest szpieg. Może pan wierzyć w to, co mówi. Ręczę za niego.

— Ach tak? — admirał zmarszczył czoło. — To znaczy, że jest przedstawicielem spółdzielni rolniczej z Trantora, która chce podpisać z Terminusem kontrakt na dostawę zboża i ziemniaków. No dobrze, ale teraz nie możemy go puścić.

— Dlaczego? — spytał szybko Palver.

— Dlatego, że właśnie znaleźliśmy się w centrum bitwy. Kiedy się skończy, to — jeśli będziemy żywi — zabierzemy pana na Terminusa.

Pędząca przez przestrzeń flota kalgańska wykryła statki Fundacji z wielkiej odległości, lecz sama też została wykryta. Obie floty zbliżały się coraz bardziej do siebie w pustce kosmosu, a statki każdej z nich świeciły niczym robaczki świętojańskie w detektorach przeciwnika.

Admirał dowodzący siłami Fundacji zmarszczył się i powiedział:

— To musi być ich decydujące uderzenie. Spójrzcie, ile statków. — A po chwili dodał: — Ale nie uda im się… jeśli Cenn nie zawiedzie.

Komandor Cenn odłączył się już wiele godzin wcześniej — gdy tylko dostrzeżono zbliżającego się nieprzyjaciela. Teraz nie można już było w żaden sposób zmienić planu. Uda się albo nie, ale admirał był zupełnie spokojny. Tak samo oficerowie. Tak samo podległe im załogi.

Statki kalgańskie zbliżały się nieubłaganie, w równym szyku.

Flota Fundacji wolno cofnęła się. Minęło wiele godzin. Statki skręciły nieco w bok, zmuszając nieprzyjaciela do lekkiej zmiany kursu. Potem wykonały jeszcze jeden zwrot.

Zgodnie z planem bitwy, statki kalgańskie musiały znaleźć się w pewnym, ściśle określonym obszarze przestrzeni. Z obszaru tego wycofywały się więc statki Fundacji, ustępując miejsca Kalgańczykom. Te ze statków kalgańskich, które wydostawały się z tego obszaru były natychmiast zaciekle atakowane, tym natomiast, które w nim pozostawały, flota Fundacji dawała spokój.

Cały plan opierał się na założeniu, że statki Stettina nie będą chciały przejąć inicjatywy, że będą wolały pozostać tam, gdzie nikt ich nie atakuje.

— Kapitan Dixyl spojrzał na zegarek. Była 1310: Mamy dwadzieścia minut — rzekł.

Stojący obok niego porucznik kiwnął głową z wyraźnym napięciem.

— Na razie wszystko rozwija się jak trzeba. Wciągnęliśmy dziewięćdziesiąt procent ich statków. Jeśli uda nam się ich tam przytrzymać… Tak. Jeśli nam się uda…

Statki Fundacji znowu, bardzo wolno, przesunęły się do przodu. Na tyle wolno, żeby nie sprowokować Kalgańczyków do odwrotu, ale na tyle szybko, żeby nie zachęcić ich do ataku. Woleli czekać.

Mijały minuty.

O 1325 admirał nacisnął guzik. Siedemdziesiąt pięć statków Fundacji dostało sygnał i ruszyło z maksymalną szybkością w stronę liczącej trzysta jednostek floty kalgańskiej. Rozbłysły ekrany ochronne statków kalgańskich. Wszystkie zwrócone były w kierunku nacierającego wściekle wroga. O 1330 pojawiła się nagle znikąd — jednym skokiem przez nadprzestrzeń w ściśle obliczone miejsce — eskadra komandora Cenna i rzuciła się na niezabezpieczone tyły Kalgańczyków.

Fortel udał się.

Kalgańczycy mieli przewagę liczebną, ale stracili głowy. W pierwszym odruchu rzucili się do ucieczki, a kiedy załamał się ich szyk, flotylla Fundacji miała ułatwione zadanie, tym bardziej że statki kalgańskie wchodziły sobie nawzajem w drogę.

Po chwili bitwa przeistoczyła się w polowanie.

Z trzystu statków, dumy floty kalgańskiej, wróciło na Kalgan niespełna sześćdziesiąt, z tego wiele w stanie nie nadającym się do naprawy. Straty Fundacji wynosiły osiem statków na ogólną liczbę stu dwudziestu pięciu.

Preem Palver wylądował na Terminusie w szczytowym momencie świętowania zwycięstwa. Wszyscy byli prawie nieprzytomni z radości, ale przed odlotem na Trantora Palver zdołał załatwić dwie sprawy i obiecał spełnić jedną prośbę.

Te sprawy to (1) podpisanie porozumienia, na mocy którego spółdzielnia Palvera miała dostarczać przez następny rok dwadzieścia statków artykułów żywnościowych miesięcznie, za cenę jak w warunkach wojennych, ale — dzięki ostatniej bitwie — bez zwykłego w takich warunkach ryzyka, (2) przekazanie doktorowi Darellowi czterech krótkich słów.

Przez chwilę Darell gapił się na niego wybałuszonymi oczami, ale zaraz doszedł do siebie i wyłuszczył swoją prośbę. Sprowadzała się ona do zakomunikowania Arkadii jego odpowiedzi. Odpowiedź ta podobała się Palverowi — była prosta i sensowna. Brzmiała ona: „Wracaj. Nic ci już nie grozi".

Stettin wściekał się. Patrzeć, jak każda broń pęka w ręku, czuć, jak pozornie mocna sieć, którą tworzyły jego statki, rwie się jakby została upleciona ze zbutwiałych nici — nawet flegmatyka v doprowadziłoby to do szału. Był jednak bezsilny i wiedział o tym.

Już od wielu tygodni źle sypiał. Od trzech dni nie golił siej Cofnął wszystkie audiencje. Jego admirałowie byli pozostawieni samym sobie i nikt nie wiedział lepiej niż władca Kalgana, że jeszcze trochę i nie trzeba będzie następnej porażki, by wybuchł bunt.

Pierwszy minister, Lev Meirus, nie kwapił się z pomocą. Stał tam, cichy i nieprzyzwoicie stary, gładząc jak zwykle nerwowo bruzdę ciągnącą się przez twarz od nosa do brody.

— No — krzyknął do niego Stettin — doradź coś! Siedzimy tu pokonani! Pokonani rozumiesz? Ale dlaczego? Nie wiem. Słyszysz — nie wiem. A może ty wiesz dlaczego?

Tak mi się wydaje — odparł spokojnie Meirus.

— Zdrada! — słowo to zabrzmiało dziwnie łagodnie, podobnie następne. — Wiedziałeś, że zostałem zdradzony, ale nic nie mówiłeś. Służyłeś temu durniowi, który był Pierwszym Obywatelem przede mną i myślisz, że będziesz służył jeszcze jakiemuś tłustemu szczurowi, który przyjdzie na moje miejsce. Jeśli się okaże, że wiedziałeś o zdradzie, to wypruję ci kiszki i zanim umrzesz, popatrzysz jeszcze jak się pieką.

Na Meirusie nie wywarło to żadnego wrażenia.

— Niejeden raz próbowałem podzielić się z tobą, panie, swoimi wątpliwościami. Mówiłem tym do znudzenia, ale wolałeś, panie,

słuchać rad innych, bo to bardziej zaspokajało twoje pragnienia. Sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót niż myślałem. Jeśli teraz też nie chcesz, panie, mnie słuchać, to powiedz. Wyjdę stąd niedługo będę radził z twoim następcą, którego pierwszym krokiem będzie bez wątpienia podpisanie traktatu pokojowego.

Stettin patrzył na niego oczyma nabiegłymi krwią, ściskając i rozwierając swe potężne dłonie.

— No więc mów, stary lisie. Mów!

— Panie, mówiłem ci często, że nie jesteś Mułem. Możesz, panie, władać statkami i działami, ale nie panujesz nad umysłami swoich poddanych. Czy zdajesz sobie, panie, sprawę z tego, z kim walczysz? Walczysz z Fundacją, która jest niepokonana, z Fundacją, którą chroni Plan Seldona, ż Fundacją, która ma stworzyć nowe imperium.

— Nie ma już Planu. Tak mówi Munn.

— A zatem Munn się myli. A nawet gdyby miał rację, to co z tego? Ty, panie, i ja to nie lud. Lud Kalgana i podległych mu światów, tak jak wszyscy mieszkańcy tego końca Galaktyki, święcie wierzy w Plan Seldona. Blisko czterysta lat naszych dziejów dowiodło, że Fundacji nie można pokonać. Nie były w stanim dokonać tego ani dawne królestwa, ani potężni władcy udzielni, ani nawet samo Imperium Galaktyczne.

— Ale zrobił to Muł.

— Faktycznie, ale jego Plan nie uwzględniał, a ciebie, panie — tak. Co gorsza, lud o tym wie. A więc załogi twoich statków, panie, przystępując do bitwy, obawiają się, że zostaną pobite w jakiś nieznany sposób. Plan jest niematerialny, ale wisi im nad głowami niczym skała, są więc bardzo ostrożni, rozglądają się, zanim ruszą do ataku i trochę za bardzo się zastanawiają. Z drugiej strony natomiast, ten sam Plan napełnia nieprzyjaciela otuchą, daje mu pewność siebie, usuwa strach i podtrzymuje wiarę w zwycięstwo w chwilach początkowych niepowodzeń. A dlaczego? Dlatego że Fundacja zawsze najpierw ponosiła porażkę, by w końcu zwyciężyć.

A twoje własne morale, panie? Twoje wojska są na terytorium nieprzyjaciela. Twoje własne ziemie nie oglądały najeźdźcy i nadal nie grozi im inwazja. A mimo to jesteś pobity. Nie wierzysz nawet w możliwość zwycięstwa, bo wiesz, że nie ma takiej możliwości.

Ugnij się więc, zanim zostaniesz rzucony na kolana. Ugnij się sam, a może jeszcze coś dla siebie zachowasz. Opierałeś się, panie, na metalu i sile, i trzeba przyznać, że podtrzymywały cię one tak długo, jak długo się dało. Zignorowałeś jednak psychikę i wiarę w zwycięstwo i tego ostatniego ci zabrakło. Przyjmij więc moją radę. Masz wciąż, panie, tego człowieka z Fundacji, Homira Munna. Uwolnij go. Odeślij go na Terminusa, niech powiezie tam twoją propozycję zawarcia pokoju.

Stettin zazgrzyta], zębami i zagryzł pobladłe wargi. Ale czy miał jakiś wybór?

Pierwszego dnia nowego roku Homir Munn opuścił Kalgan. Minęło ponad pół roku od dnia, kiedy wyleciał z Terminusa. W tym czasie zdążyła wybuchnąć i zakończyć się wojna.

Na Kalgan przyleciał sam, ale wracał ze świtą. Przybył jako zwykły turysta, z prywatną wizytą; odlatywał jako — wprawdzie nie mianowany oficjalnie — ale rzeczywisty ambasador pokoju.

A tym, co uległo największej zmianie, były jego dawne obawy przed Drugą Fundacją. Teraz śmiał się, wspominając o tym i wyobrażał sobie dokładnie, jak przedstawia swoje rewelacje doktorowi Darellowi i temu młodemu, energicznemu znawcy, Anthofowi, im wszystkim…

On wiedział. On, Homir Munn, w końcu poznał prawdę.

20. JA WIEM…

Ostatnie dwa miesiące wojny nie dłużyły się Homirowi. W niezwykłej dla siebie roli Mediatora Nadzwyczajnego znalazł się niespodzianie w samym środku spraw międzygwiezdnych i nie można powiedzieć, by nie sprawiało mu to przyjemności.

Walki praktycznie ustały — kilka przypadkowych starć nie liczyło się — i ustalono warunki traktatu pokojowego, które nie wymagały prawie żadnych ustępstw ze strony Fundacji. Stettin zachował swoje stanowisko, ale niewiele ponad to. Jego flota została rozbrojona, a terytoria leżące poza systemem Kalgana zyskały autonomię i prawo decydowania o swej przyszłości. Mogły wybierać między zachowaniem dotychczasowego statusu, pełną niezawisłością i unią z Fundacją.

Formalnie, wojna zakończyła się na asteroidzie należącym do systemu Terminusa, który był najstarszą bazą floty wojennej Fundacji. Z ramienia Kalgana traktat podpisał Lev Meirus. Homir był obserwatorem.

Przez cały ten czas nie widział się z doktorem Darellem ani żadnym z pozostałych konspiratorów. Nie miało to jednak wielkiego znaczenia. Jego wieści sprawią, że… — i, jak zwykle, uśmiechnął się na myśl o tym.

Doktor Darell powrócił na Terminusa kilka tygodni po Dniu Zwycięstwa nad Kalganem. Jeszcze tego samego wieczoru jego dom stał się miejscem spotkania pięciu mężczyzn, którzy dziesięć miesięcy wcześniej obmyślali tam swoje pierwsze plany.

Długo siedzieli przy stole, jedząc kolację, a potem popijając wino, jakby ociągali się z powrotem do starych spraw.

Wreszcie Jole Turbor, spoglądając jednym okiem w puste wnętrze tęczowego kielicha, mruknął raczej, niż powiedział:

— No, Homir, widzę, że teraz jesteś politykiem. Dobrze pokierowałeś tą sprawą.

— Ja? — roześmiał się głośno, z wyraźnym zadowoleniem Munn. Z jakiegoś powodu, od wielu miesięcy już się nie jąkał. — Ja nie miałem z tym nic wspólnego. To Arkadia. A propos, Darell, jak ona się ma? Słyszałem, że wraca z Trantora?

— Dobrze słyszałeś — rzekł spokojnie Darell. — Jej statek powinien wylądować za tydzień. — Spojrzał spod oka na pozostałych, ale niczego nie zauważył. Tylko niewyraźne odgłosy aprobaty.

— A więc to naprawdę już za nami — rzekł Turbor. — Kto mógł się tego spodziewać dziesięć miesięcy temu! Munn był na Kalganie i jest już z powrotem. Arkadia była na Kalganie i na Trantorze i też wraca. Mieliśmy wojnę i, na Przestrzeń, wygraliśmy ją. Powiadają, że

można przewidzieć wielkie wydarzenia historyczne, ale czy nie wydaje się wam, że tego wszystkiego, co się niedawno wydarzyło, wprowadzając prawdziwy zamęt do głów tych z nas, którzy zostali w to wmieszani, raczej nie można było przewidzieć?

— Bzdura — rzekł ostro Anthor. — A w ogóle, czemu się pan tak cieszy? Mówi pan tak, jakbyśmy naprawdę wygrali wojnę, a tymczasem wyszliśmy zwycięsko ze zwykłej awantury, która miała tylko odwrócić naszą uwagę od rzeczywistego wroga.

Zapadła nieprzyjemna cisza, w której lekki uśmiech Homira Munna tworzył pewien dysonans.

Anthor z furią uderzył pięścią w poręcz fotela.

— Tak, myślę o Drugiej Fundacji! Na razie nikt z was nawet nie wspomniał o niej i, jeśli się nie mylę, wszyscy staracie się nie myśleć o tym. Czy to dlatego, że złudny nastrój zwycięstwa, który ogarnął ten świat idiotów, jest tak atrakcyjny, że nie możecie się mu oprzeć? No to już, fikajcie koziołki, skaczcie po ścianach, właźcie sobie na głowy i rzucajcie confetti z okien! Róbcie, co wam się podoba, tylko wyszumcie się do końca. A kiedy już skończycie i będziecie na powrót sobą, przedyskutujmy problem, który dziś jest taki sam jak dziesięć miesięcy temu, kiedy siedzieliście tu, rozglądając się trwożliwie na boki. Naprawdę myślicie, że skoro pokonaliście jakiegoś głupiego watażkę, który posiadał ileś tam statków, możecie się nie bać Drugiej Fundacji? Przerwał. Miał czerwoną ze wzburzenia twarz i ciężko dyszał.

— Może teraz pozwoli mi pan coś powiedzieć, panie Anthor? — spytał spokojnie Munn. — A może woli pan dalej perorować jak przystało na zdeklarowanego konspiratora?

— Mów, Homir — rzekł Darell — ale proponuję, żebyśmy powstrzymali się od kwiecistych sformułowań. To jest dobre, ale w innym miejscu. Powiem szczerze, że mam tego dosyć.

Homir Munn poprawił się w fotelu i, wziąwszy karafkę stojącą obok łokcia, napełnił starannie swój kielich.

— Zostałem wysłany na Kalgan — powiedział — aby znaleźć ile się da w zapiskach zgromadzonych w Pałacu Muła. Poświęciłem na to wiele miesięcy. Nie mówię tego dlatego, żebym oczekiwał słów uznania. Jak już powiedziałem, pozwolenie na wejście do pałacu uzyskałem tylko dzięki sprytowi Arkadii. Niemniej jednak pozostaje faktem, że wzbogaciłem swoją wiedzę o życiu Muła i jego czasach, która — raczcie łaskawie zauważyć — nie była znów taka skromna, o wyniki mrówczej pracy nad materiałem źródłowym, do którego nikt wcześniej nie miał dostępu.

Dlatego też jestem w stanie rzeczywiście ocenić, jakie niebezpieczeństwo grozi nam ze strony Drugiej Fundacji, i to o wiele dokładniej niż zbytnio ekscytujący się tym nasz młody przyjaciel.

— No i — rzekł zgrzytając zębami Anthor — jaka jest pana ocena?

— Zero.

Zapadła cisza. Po chwili odezwał się Sernic, z nutą niedowierzania w głosie:

— Chce pan przez to powiedzieć, że niebezpieczeństwo równa się zeru?

— Oczywiście. Przyjaciele, nie ma żadnej Drugiej Fundacji.

Anthor zmrużył oczy, ale nie rzekł nic. Twarz miał bladą i bez wyrazu.

Munn mówił dalej. Był w centrum uwagi i podobało mu się to.

— A co więcej, nigdy jej nie było.

— A na czym to — spytał Darell — opierasz swój zaskakujący wniosek?

— O, przepraszam — rzekł Munn. — Nie jest zaskakujący. Wszyscy wiecie, że Muł szukał Drugiej Fundacji. Ale cóż możecie wiedzieć tym, z jakim to czynił uporem i nakładem środków! Miał do swej dyspozycji siły, o jakich wam się nie śniło. Znalezienie Drugiej Fundacji było jego obsesją — a mimo to nie powiodło mu się. Nie znaleziono żadnej Drugiej Fundacji.

Trudno oczekiwać, żeby znaleziono — rzekł Turbor, wiercąc się niespokojnie. — Miała przecież środki przeciw zbyt dociekliwym umysłom.

— Nawet przeciw takim umysłom jak Muła? Nie sądzę. No, ale przecież nie oczekujecie chyba, że przedstawię wam istotę tego, co zawarłem w pięćdziesięciu tomach raportu, w ciągu pięciu minut. Wszystko to, na mocy postanowień traktatu pokojowego, znajdzie się w Muzeum Seldona będziecie, panowie, mogli przeanalizować to równie spokojnie i bez pośpiechu jak ja. Tak czy inaczej, będziecie mogli zapoznać się z jego ostatecznym, jasno sformułowanym wnioskiem, który już tu przedstawiłem. Nie ma i nigdy nie było żadnej Drugiej Fundacji.

— No to co wobec tego powstrzymało Muła? — spytał Sernic.

— O Wielka Galaktyko, a jak pan myśli? To, co powstrzyma każdego z nas — śmierć. Największym zabobonem naszych czasów jest przekonanie, że kres podbojom Muła położyło coś, co było potężniejsze nawet od niego. Oto skutek patrzenia na wszystko pod niewłaściwym kątem. Na pewno nie ma w całej Galaktyce nikogo, kto by nie wiedział, że Muł nie tylko psychicznie, ale też fizycznie był odmieńcem. Umarł mając trzydzieści parę lat, ponieważ jego nieprzystosowany organizm nie był już w stanie podtrzymywać funkcji życiowych. Już na wiele lat przed śmiercią stał się zupełnym inwalidą. Stan, w którym cieszył się najlepszym zdrowiem, byłby dla normalnego człowieka stanem słabości. No i wszystko odbyło się tak,

jak musiało. Podbijał Galaktykę i, zgodnie z odwiecznym porządkiem natury, zmierzał ku śmierci. To cud, że żył tak długo i tyle osiągnął. Przyjaciele, to wszystko jest zapisane czarno na białym. Musicie tylko okazać trochę cierpliwości. Musicie tylko spojrzeć na te sprawy z właściwego punktu widzenia.

— No dobrze, postaramy się, Munn — rzekł z namysłem doktor Darell. — Będzie to interesujące i, w najgorszym razie, pobudzi nas do myślenia. Ale ci ludzie pod psychiczną kontrolą, których zapisy przywiózł nam Anthor prawie rok temu — co z nimi? Pomóż nam spojrzeć na tę sprawę z tego właściwego punktu widzenia.

— Proszę bardzo. Ile lat liczy sobie analiza encefalograficzna? Albo ujmijmy to w inny sposób — jak bardzo zaawansowane są studia nad neuronowymi drogami przekazu informacji?

— W tym względzie znajdujemy się w powijakach. To pewne — rzekł Darell.

— Dobrze. Jaką wobec tego możemy mieć pewność, że nasza interpretacja tego, co Anthor nazwał „płaską przekształcenia", jest właściwa? Macie pewne teorie, ale czy macie pewność? Czy jesteście pewni, że jest to wystarczający dowodna istnienie potężnej siły, mimo iż przeczą temu wszystkie pozostałe dane? Bardzo łatwo wyjaśnić to, co nieznane, przez odwołanie się do nadludzkiej, arbitralnej woli. To normalna ludzka reakcja. Można znaleźć wiele takich przypadków w historii Galaktyki. Systemy planetarne, które zostały pozbawione kontaktu z innymi systemami, wracały na ogół do okresu pierwotnego. I co się tam działo? Otóż w każdym przypadku te dzikusy przypisywały działanie niezrozumiałych dla nich sił natury istotom inteligentnym, potężniejszym od nich i nieobliczalnym. Nazywa się to, zdaje mi się, antropomorflzmem.

Otóż w tym względzie niczym się nie różnimy od tych dzikusów. Wiemy bardzo mało o psychologii i wszystko, czego nie jesteśmy w stanie zrozumieć, przypisujemy nadludziom, w tym przypadku Drugiej Fundacji, opierając się na niejasnej wzmiance Seldona.

— Ach, więc jednak pamięta pan o Seldonie! — wtrącił zgryźliwie Anthor. — Myślałem już, że pan o nim zapomniał. Przecież Seldon wyraźnie powiedział, że istnieje Druga Fundacja. Niech pan to pogodzi z tym nowym punktem widzenia.

— A pan zapewne doskonale zna wszystkie zamiary Seldona, co? Zna pan wszystkie przeszkody, które Seldon musiał uwzględnić w swych obliczeniach? Może Druga Fundacja miała być czymś w rodzaju straszaka i tyle. Jak, na przykład, udało się nam pokonać Kalgan? Co o tym pisałeś w ostatnim cyklu artykułów. Turbor?

Turbor poruszył się w fotelu.

— Tak, rozumiem, do czego zmierzasz. Słuchaj, Darell, byłem na Kalganie pod koniec wojny i widziałem, że mieszkańcy planety w

ogóle nie mają ochoty do walki, bo nie wierzą w zwycięstwo. Przeglądałem ich gazety — i wiecie co? Spodziewali się, że zostaną pobici. Zupełnie obezwładniło ich przekonanie, że w końcu do wojny przystąpi Druga Fundacja, po stronie Pierwszej, naturalnie.

— Zgadza się — rzekł Munn. — Byłem tam przez całą wojnę. Powiedziałem Stettinowi,że nie ma żadnej Drugiej Fundacji. Uwierzył mi. Był całkowicie pewny siebie. Ale nie było sposobu, żeby lud przestał nagle wierzyć w to, w co cały czas dotąd wierzył. Tak więc ten mit o istnieniu Drugiej Fundacji spełnił określoną, pożyteczną rolę w kosmicznej partii szachów rozgrywanej przez Seldona.

Anthor otworzył nagle oczy i utkwił wzrok w obliczu Munna. — A ja mówię, że pan kłamie — rzekł dobitnie.

Homir zbladł.

— Wypraszam sobie takie uwagi i nie widzę powodu, żeby z panem dyskutować.

— Nie miałem najmniejszego zamiaru obrażać pana. Nic pan nie może poradzić na to, że pan kłamie. Nawet nie zdaje pan sobie sprawy z tego, że pan kłamie. Tym niemniej fakt pozostaje faktem — kłamie pan.

Sernic położył pomarszczoną dłoń na ramieniu Anthora.

— Pohamuj się trochę, młodzieńcze. Anthor niezbyt delikatnie strząsnął rękę Sernica i powiedział:

— Wyprowadziliście mnie wszyscy z cierpliwości. Rozmawiałem z tym człowiekiem tylko parę razy, a przecież doskonale widzę, jak się zmienił. Wy znacie go od lat, a mimo to przeszliście nad tym do porządku. To może człowieka naprawdę doprowadzić do szaleństwa. Czy człowiek, który tu do was mówi, to Homir Munn? To nie jest ten Homir Munn, którego ja znałem.

Zapanowało zamieszanie, ponad które wzbił się głos Munna.

— Uważa pan, że jestem oszustem?

— Może nie w tym sensie, w jakim się normalnie używa tego słowa — Anthoi starał się przekrzyczeć wrzawę — ale w każdym razie jest pan oszustem. Proszę o spokój! Domagam się, żebyście mnie wysłuchali!

Uciszyli się, widząc jego wykrzywioną gniewem twarz.

— Czy ktoś z panów pamięta tego Homira Munna, którego ja pamiętam — cichego, zamkniętego w sobie bibliotekarza, który nie potrafił mówić bez skrępowania, który zacinał się co chwila? Czy ten człowiek tutaj mówi w taki sposób? Czy jest zdenerwowany, niepewny, spięty? Nie, mówi płynnie, jest pewny siebie, wygłasza tu różne teorie i — na Przestrzeń — nie zająknął się ani razu! Czy to ten sam człowiek?

Nawet Munn wyglądał na zmieszanego. Tymczasem Pelleas Anthor mówił dalej:

— Proponuję, żebyśmy go sprawdzili. Co panowie na to?

— Jak? — spytał Darell.

— I to pan o to pyta? W oczywisty sposób. Ma pan jego zapis encefalograficzny sprzed dziesięciu miesięcy, prawda? Niech pan zrobi teraz nowy i porówna je.

Wskazał na marszczącego czoło bibliotekarza i rzekł gwałtownie:

— Niech no tylko spróbuje odmówić poddania się badaniu!

— Nie mam nic przeciwko temu — rzekł Munn wyzywająco. — Jestem taki sam jak zawsze.

— A skąd pan może o tym wiedzieć? — spytał pogardliwie Anthor. — Powiem więcej. Nie ufam nikomu z obecnych. Chcę, żeby każdy z was poddał się badaniu. Była wojna. Munn był na Kalganie, Turbor znajdował się na pokładzie statku w strefie objętej działaniami wojennymi. Darell i Sernic też gdzieś się podziewali… nie mam pojęcia gdzie. Tylko ja byłem przez cały ten czas tutaj — samotny i bezpieczny i dlatego nie ufam już żadnemu z was. Żeby było uczciwie, ja też poddam się badaniu. A więc zgoda? Czy może mam was opuścić i iść swoją drogą?

Turbor wzruszył ramionami i powiedział:

— Nie zgłaszam sprzeciwu.

— Już powiedziałem, że się nie sprzeciwiam — rzekł Munn.

Sernic skinął dłonią na znak, że się zgadza i Anthor czekał tylko na Darella. W końcu Darell skinął głową…

— Zacznijcie ode mnie — powiedział Anthor.

Pisaki encefalografu kreśliły swój skomplikowany wzór, a młody neurolog siedział nieruchomo, z zamkniętymi oczami, w fotelu z odchylanym oparciem. Darell wyjął z kartoteki teczkę z poprzednim encefalogramem Anthora. Pokazał go Anthorowi.

— To pana własnoręczny podpis, zgadza się?

— Tak, tak. To mój zapis. Niech je pan porówna.

Skanner rzucił obraz starego i nowego encefalogramu na ekran. Widać było wyraźnie wszystkie sześć krzywych z każdego z encefalogramów. W ciemności rozległ się ostry głos Munna:

— O, spójrzcie tu! Jest zmiana.

— To główne fale płata czołowego. Rzecz bez znaczenia, Homir. Te dodatkowe linie, na które wskazujesz, oznaczają po prostu gniew. Liczą się inne linie.

Dotknął centralnego guzika urządzenia i sześć par linii połączyło się razem. Stary i nowy wykres zachodziły na siebie prawie całkowicie. Tylko amplituda głównych fal hyła podwójna.

— W porządku? — spytał Anthor.

Darell lekko skinął głową i sam zajął miejsce Anthora. Potem przyszła kolej na Sernica, a za nim na Turbora. Encefalogramy zostały wykonane i porównane ze starymi w zupełnej ciszy.

Ostatni usiadł na fotelu Munn. Zawahał się chwilę, a potem z nutą desperacji w głosie powiedział:

— Słuchajcie, jestem ostatni i denerwuję się. Liczę na to, że weźmiecie to pod uwagę.

— Na pewno — uspokoił go Darell. — Emocje, które sobie uświadamiasz, wpływają jedynie na obraz fal głównych, a te są nieistotne.

W zupełnej ciszy, która zaległa potem, czas zdawał się płynąć wolniej.

Nagle ciszę przerwał ochrypły głos Anthora:

— No, proszę, to tylko kompleks. Czy nie tak właśnie powiedział? Nie ma żadnego manipulowania, to tylko idiotyczny antropomorfizm… o tu, proszę! Przypadkowa zbieżność, co?

— O co chodzi? — wrzasnął Munn. Darell położył mu rękę na ramieniu.

— Zachowaj spokój, Munn. Jesteś manipulowany… oni cię przestroili.

Zapaliło się światło. Munn rozejrzał się niepewnie, bezskutecznie usiłując się uśmiechnąć.

— Na pewno nie mówicie tego poważnie. Jest w tym jakiś cel. Wypróbowujecie mnie.

Darell tylko potrząsnął głową.

— Niestety, Homir, to prawda.

W oczach bibliotekarza pojawiły się nagle łzy.

— Ależ ja nie czuję się inaczej. Nie wierzę w to. — Przerwał na chwilę, a potem krzyknął z rozpaczą: — Zmówiliście się wszyscy przeciw mnie! To intryga.

Darell wyciągnął rękę w uspokajającym geście, ale Munn odtrącił ją.

— Chcecie mnie zabić — warknął. — Na Przestrzeń, chcecie mnie zabić.

Anthor skoczył na niego. Rozległ się głuchy odgłos uderzenia i Homir legł bezwładnie na podłodze z zastygłym grymasem przerażenia na twarzy.

Anthor podniósł się chwiejnie.

— Lepiej związmy go i zakneblujmy. Potem możemy zastanowić się, co z nim zrobić — powiedział odgarniając do tyłu swe długie włosy.

— Jak pan wpadł na to, że coś z nim jest nie w porządku? — spytał Turbor.

Anthor spojrzał na niego ironicznie.

To nie było trudne. Widzi pan, tak. się składa, że ja wiem, gdzie naprawdę znajduje się Druga Fundacja.

Kiedy po jednym wstrząsie następuje drugi, to nie działa już tak

silnie jak pierwszy. Dlatego spokój w głosie Sernica nie był udawany.

— Jest pan tego pewien? — spytał. — Chcę przez to powiedzieć, że przed chwilą coś takiego słyszeliśmy już od Munna…

— To niezupełnie to samo — odparł Anthor. — Darell, tego dnia, kiedy zaczęła się wojna, rozmawiałem z panem zupełnie poważnie. Próbowałem namówić. pana, żeby opuścił pan Terminus. Gdybym mógł wówczas całkowicie zaufać panu, to powiedziałbym to, co teraz powiem.

— Chce pan przez to powiedzieć, że już od pół roku zna pan odpowiedź? — uśmiechnął się Darell.

— Znam ją od chwili, kiedy dowiedziałem się, że Arkadia uciekła na Trantor.

Darell poderwał się na równe nogi.

— A co ma z tym wspólnego Arkadia? — rzekł z nagłym zmieszaniem. — Co pan tu sugeruje?

— Absolutnie nic, poza tym, co jasno wynika z faktów, które tak dobrze znamy. Arkadia leci na Kalgan i zamiast wrócić do domu ucieka z przerażeniem do samego centrum Galaktyki. Porucznik Dirige, nasz najlepszy agent na Kalganie, jest sterowany emocjonalnie. Homir Munn leci na Kalgan i też staje się obiektem manipulacji. Muł podbił Galaktykę, ale, o dziwo, kwaterę główną założył na Kalganie. Zastanawiam się, czy był naprawdę zdobywcą, czy może raczej narzędziem. Na każdym kroku natykamy się na Kalgan. Wszędzie nic, tylko Kalgan — świat, który jakimś cudem przez ponad sto lat wychodził nietknięty z walk, które toczyli między sobą wojowniczy władcy.

— A zatem jaki wniosek?

— Oczywisty — oczy Anthora rozbłysły. — Druga Fundacja znajduje się na Kalganie.

— Byłem na Kalganie, Anthor — przerwał mu Turbor. — Byłem tam w ubiegłym tygodniu. Jeśli tam znajduje się Druga Fundacja, to znaczy, że ja zwariowałem. Myślę jednak, że to pan zwariował.

Anthor naskoczył na niego gwałtownie.

— No to jest pan durniem. Jak pan sobie wyobraża Drugą Fundację? Jako szkółkę? Może myśli pan, że zainstalują przy szlakach kosmicznych prowadzących na Kalgan pola radiacyjne, które będą tworzyć kolorowe napisy „Druga Fundacja”? Proszę mnie posłuchać, Turbor. Bez względu na to, gdzie się znajdują, tworzą ściśle zamkniętą oligarchię. Muszą być równie dobrze ukryci na świecie, na którym żyją, jak ten świat w Galaktyce.

Turbor zacisnął szczęki. — Nie podoba mi się pana nastawienie, Anthor — rzekł.

— Bardzo nad tym boleję — odparł szyderczo Anthor. — Niech pan się rozejrzy wokół siebie, tu, na Terminusie. Znajdujemy się w

samym środku, w sercu Pierwszej Fundacji, z całą jej wiedzą na temat fizyki. Jaka część ludności zajmuje się tą nauką? Czy pan potrafi obsługiwać energetyczną stację przekaźnikową? Co pan wie o działaniu silnika hiperatomowego? Co? Prawdziwi naukowcy na Terminusie — nawet na Terminusie — nie stanowią nawet jednego procenta jego ludności. Czego zatem można spodziewać się po Drugiej Fundacji, gdzie obowiązuje pełna tajemnica? Tam liczba osób posiadających wiedzę musi być jeszcze niższa, a poza tym muszą pozostawać nieznani nawet dla mieszkańców swego własnego świata.

— Posłuchaj, młody człowieku — rzekł ostrożnie Sernic. — Dopiero co daliśmy Kalgariowi łupnia…

— A jakże — rzekł drwiącym głosem Anthor. — I jak świętujemy to zwycięstwo! Wciąż nowe iluminacje, pokazy ogni sztucznych, wrzawa w telewizorach i przed telewizorami. Ale teraz wyobraźmy sobie, że jeszcze raz zaczną się poszukiwania Drugiej Fundacji. Na jakie miejsce zwrócimy uwagę w ostatniej kolejności? Gdzie nikomu nie przyjdzie do głowy szukać Drugiej Fundacji? Ależ tak — na Kalganie!

Tak naprawdę, to nic im nie zrobiliśmy. Zniszczyliśmy trochę statków, zabiliśmy parę tysięcy żołnierzy, oderwaliśmy podbite terytoria i osłabiliśmy częściowo ich gospodarkę i handel, ale to wszystko nie ma żadnego znaczenia. Założę się, że nikt z tych, którzy naprawdę rządzą. Kalganem, nie przejął się tym ani trochę. Przeciwnie, teraz dopiero czują się bezpiecznie, bo przestali być obiektem zainteresowania. Ale nie mojego zainteresowania. Co pan na to powie. Darell?

Darell wzruszył ramionami.

— To ciekawe. Próbuję to jakoś dopasować do wiadomości, którą otrzymałem kilka miesięcy temu od Arkadii.

— Ach tak? — spytał Anthor. — A cóż to za wiadomość?

— Trudno powiedzieć. Cztery krótkie słowa. Ale to ciekawe.

— Słuchajcie — wtrącił się Sernic — jest tu coś, czego nie rozumiem.

— Co takiego?

Sernic milczał przez chwilę, szukając odpowiednich słów, wreszcie zaczął mówić, unosząc przy każdym słowie górną wargę, jakby nie był pewny czy to jest właśnie to, co chce powiedzieć:

— Otóż, zaledwie kilkanaście minut temu Homir Munn mówił, że Hari Seldon celowo zmyślał twierdząc, że założył Drugą Fundację. Teraz mówicie, że tak nie było, że Seldon nie zmyślał, tak?

— Zgadza się, nie zmyślał. Seldon powiedział, że założył Drugą Fundację i rzeczywiście ją założył.

— No dobrze, ale powiedział coś jeszcze. Że założył dwie Fundacje na przeciwnych końcach Galaktyki. Otóż, wytłumacz mi,

młodzieńcze, czy w tym miejscu zmyślał czy nie? Bo Kalgan nie leży na przeciwnym końcu Galaktyki.

Anthor wyglądał na poirytowanego.

— To detal. W tym akurat miejscu mógł zmyślać, żeby ich osłonić przed ewentualnym niebezpieczeństwem. No bo pomyślcie tylko… Czemu właściwie miałoby służyć umieszczenie tych mistrzów psychomanipulacji na przeciwnym końcu Galaktyki? Jaka jest ich funkcja? Mają pomagać w zachowaniu Planu. A kto jest jego głównym wykonawcą? My, Pierwsza Fundacja. Skąd mogą więc najlepiej nas obserwować? Gdzie mogą najlepiej realizować swoje własne cele? Na przeciwnym końcu Galaktyki? To bezsensowne! W rzeczywistości są nie dalej niż pięćdziesiąt parseków stąd, co jest o wiele bardziej sensowne.

— Podoba mi się ten argument — rzekł Darell. — Jest rozsądny. Ale słuchajcie, Munn już jakiś czas temu odzyskał przytomność i proponuję, żeby go rozwiązać. Zapewniam was, że w niczym nie może nam przeszkodzić.

Anthor żachnął się, ale Munn energicznie pokiwał głową. Pięć sekund później równie energicznie rozcierał nadgarstki.

— Jak się czujesz? — spytał Darell.

— Podle — odparł Munn posępnie — ale mniejsza z tym. Chcę o coś spytać tego bystrego młodzieńca. Słyszałem, co miał do powiedzenia i chciałbym, żebyście mi pozwolili spytać, co mamy robić dalej.

Zapadła niezręczna cisza.

Munn uśmiechnął się gorzko.

— No więc załóżmy, że Kalgan to Druga Fundacja. Kim oni są na Kalganie? Jak chcecie ich znaleźć? Jak chcecie się do nich zabrać, jeśli ich znajdziecie, co?

— Ha — rzekł Darell — może się to wydać dziwnym, ale ja potrafię odpowiedzieć na te pytania. Mam wam powiedzieć co Sernic i ja robiliśmy przez te ostatnie pół rokż? Przy okazji, Anthor, pozna pan jeszcze jeden powód, dla którego tak bardzo chciałem być przez cały ten czas na Terminusie.

Po pierwsze — ciągnął Darell — moja praca nad analizą encefalograficzną dała o wiele lepsze rezultaty, niż ktokolwiek z was mógłby się spodziewać. Wykrycie mózgu należącego do członka Drugiej Fundacji jest nieco bardziej skomplikowane niż znalezienie po prostu płaskiej przekształcenia — i nie mogę powiedzieć, żeby mi się to całkowicie udało. Ale i to, co osiągnąłem, wystarczy.

Czy ktoś z was wie, jaka jest zasada działania psychomanipulacji? To ulubiony temat pisarzy od czasów Muła, i napisano, powiedziano i nagrano o tym masę bzdur. Przeważnie przedstawia się

to jako coś w rodzaju wiedzy tajemnej, niemal magicznej. Oczywiście to nieprawda. O tym, że mózg jest źródłem milionów mikroskopijnych pól elektromagnetycznych, wie każdy. Każda emocja, każde, nawet ulotne uczucie zmienia w mniej lub bardziej skomplikowany sposób układ tych pól, i to też każdy powinien wiedzieć.

Otóż można sobie wyobrazić umysł, który potrafi wyczuwać te zmieniające się pola i nawet dostroić się do nich. To znaczy, może istnieć specjalny organ mózgu, który jest w stanie wytworzyć model każdego pola, jakie tylko wykryje. Jak to konkretnie się odbywa, nie mam absolutnie pojęcia, ale to nieistotne. Gdybym, na przykład, był niewidomy, to potrafiłbym zrozumieć co to foton i kwant energii i mógłbym zgodzić się, że absorbcja fotonu takiej energii może wywołać w jakimś narządzie należącym do naszego ciała zmiany chemiczne, które spowodują, że istnienie tego fotonu stanie się wykrywalne. Ale, oczywiście, nie byłbym dzięki temu w stanie zrozumieć co to kolor.

Czy to dla wszystkich zrozumiałe?

Anthor zdecydowanie skinął głową, pozostali również skinęli głowami, ale niezbyt pewnie.

Taki to właśnie hipotetyczny, dostrajający się do innego mózgu organ mógłby wykonywać funkcję, którą potocznie określa się mianem odczytywania emocji czy nawet czytania w myślach, co w istocie jest czymś nawet bardziej skomplikowanym. Stąd już tylko krok do tego, by wyobrazić sobie podobny organ, który byłby w stanie wymusić na innym mózgu, by dostroił się do jego pola. Ukierunkowałby on, za pomocą swego silnego pola, słabsze pole wytwarzane przez inny mózg w taki sam sposób, w jaki silny magnes ukierunkowuje atomowe dipole w sztabce stali, która odtąd jest już namagnesowana.

Rozszyfrowałem matematyczną zasadę działania Drugiej Fundacji w tym sensie, że wyprowadziłem funkcję, która pozwalałaby określić, jaka kombinacja połączeń neuronowych jest niezbędna do tego, by doszło do utworzenia się takiego organu, jak przed chwilą opisałem. Niestety, funkcja ta jest zbyt skomplikowana, by można ją było rozwiązać za pomocą obecnie znanych narzędzi matematycznych. To źle, gdyż znaczy to, że nigdy nie będę w stanie wykryć psycho-manipulatora wyłącznie na podstawie wzoru jego encefalogramu.

Mogłem jednak zrobić coś innego. Udało mi się, z pomocą Sernica, skonstruować urządzenie, które można określić mianem wytwornicy statycznego pola fal mózgowych. W obecnym stadium nauki nie jest bynajmniej niemożliwe zbudowanie źródła energii, które dublowałoby pole elektromagnetyczne typu encefalograficznego. Co więcej, można tę wytwornicę tak wyregulować, by wytwarzane przez nią pole przemieszczało się losowo, powodując powstawanie w zakresie percepcji owego hipotetycznego szóstego zmysłu coś w

rodzaju „szmerów” czy „obszaru statycznego”, który chroni inne mózgi przed jego ingerencją. Czy mnie dobrze rozumiecie?

Sernic zachichotał. Darell nie powiedział mu, jaki jest cel ich pracy, ale Sernic domyślał się, i to — jak się teraz okazało — trafnie. Miał jeszcze swoje sposoby…

— Myślę, że rozumiem — powiedział Anthor.

— To urządzenie — podjął znów Darell — jest proste w produkcji, a przy tym dysponowałem wszystkimi zasobami Fundacji, jako że umieściłem to w programie badań wojskowych. W efekcie urząd burmistrza i budynki ciał ustawodawczych chronione są teraz przez wytwornice pola statycznego. Tak samo kluczowe zakłady przemysłowe i wreszcie budynek, w którym się teraz znajdujemy. W ten sposób możemy zabezpieczyć dowolne miejsce przed działaniem Drugiej Fundacji czy jakiegoś nowego Muła. I to tyle — zakończył, podkreślając to płaskim ruchem dłoni.

Turbor patrzył osłupiałym wzrokiem.

— A więc wszystko już za nami — rzekł. — O Wielki Seldonie, wszystko już za nami.

— No, niezupełnie — rzekł Darell.

— Jak to, niezupełnie? Jest jeszcze coś do zrobienia?

— Tak. Jeszcze nie zlokalizowaliśmy Drugiej Fundacji!

— Co!? — ryknął Anthor. — Chce pan powiedzieć…

Tak. Kalgan nie jest Drugą Fundacją.

— A skąd pan wie?

— To proste — chrząknął Darell. — Widzi pan, tak się Mada, że ja wiem, gdzie naprawdę znajduje się Druga Fundacja.

21. ODPOWIEDŹ, KTÓRA WYSTARCZYŁA

Turbor nagle wybuchnął gromkim śmiechem. Śmiał się tak, że aż echo odbijało się od ścian. Potrząsnął lekko głową i rzekł:

— No nie, na Wielką Galaktykę, to będzie trwało całą noc! Wyciągacie tu, jeden po drugim, swoje teorie, które potem walą się jak domki z kart. Mamy niezłą zabawę, ale w ten sposób daleko nie zajdziemy. Na Przestrzeń! Druga Fundacja może istnieć na wszystkich planetach. i Mogą nie mieć żadnej planety, tylko odpowiednich ludzi rozmieszczonych na wszystkich planetach. Ale jakie to ma znaczenie, jeśli Darell powiada, że dysponujemy doskonałą osłoną?

Darell uśmiechnął się niewesoło.

— Ta doskonała osłona nie wystarczy, Turbor. Moja wytwornica pola statycznego to urządzenie, które chroni nas tak długo, jak długo pozostajemy w jednym miejscu. Nie możemy siedzieć z zaciśniętymi pięściami, rozglądając się nerwowo na wszystkie strony, czy nie nadciąga nieznany wróg. Musimy wiedzieć nie tylko, jak wygrać, ale także kogo pokonać. A istnieje pewien określony świat, na którym żyje nasz wróg.

— Niech pan przejdzie do rzeczy — rzekł Anthor znużonym głosem. — Jakie pan ma informacje?

— Arkadia — powiedział Darell — przysłała wiadomość, która otworzyła mi oczy na pewien oczywisty fakt, którego przedtem jakoś nie potrafiłem dostrzec. Prawdopodobnie nigdy bym ,go nie dostrzegł, gdyby nie ta wiadomość. A była ona prosta: „Koło nie ma końca". Rozumiecie?

— Nie — odparł stanowczo Anthor i było oczywiste, że mówi za wszystkich.

— Koło nie ma końca — powtórzył z zadumą Munn i zmarszczył czoło.

— No cóż — rzekł niecierpliwie Darell — dla mnie to było jasne… Jaki jest jedyny znany nam niepodważalny fakt dotyczący Drugiej Fundacji, co? Powiem wam! Wiemy, że Hari Seldon założył ją na przeciwnym końcu Galaktyki. Homir Munn wygłosił tu teorię, zgodnie z którą Seldon zmyślał, mówiąc o istnieniu Drugiej Fundacji. Zdaniem Pelleasa Anthora, Seldon mówił prawdę w tym względzie, natomiast podał nieprawdziwe dane o położeniu tej Fundacji. Ja natomiast mówię wam, że Seldon nic nie zełgał — powie dział szczerą prawdę.

Ale gdzie jest ten drugi koniec? Galaktyka jest płaskim obiektem o soczewkowatym kształcie. W przekroju podłużnym jest kołem, a koło — jak rzekła Arkadia — nie ma końca. My, to znaczy Pierwsza Fundacja, znajdujemy się na Terminusie, który leży na obrębie tego

koła. Znajdujemy się, zgodnie z określeniem Seldona, na końcu Galaktyki. Wyprowadźmy teraz linię z punktu, w którym się znajdujemy i poprowadźmy ją po obrębie, a dojdziemy do drugiego końca. Tyle, że nigdzie go nie znajdziemy. Wrócimy po prostu do punktu wyjścia. I właśnie tam jest Druga Fundacja.

— Tam? — powtórzył Anthor, — Chce pan powiedzieć „tutaj”?

— Tak, tutaj! — zawołał Darell. No, a gdzie indziej? Sam pan powiedział, że jeśli Druga Fundacja, jest strażnikiem Planu, to niemożliwe, żeby znajdowała się na tak zwanym drugim końcu Galaktyki, bo byłaby zupełnie odizolowana od reszty. Pana zdaniem, odległość pięćdziesięciu parseków byłaby bardziej odpowiednia. A ja panu mówię, że to też za dużo. Że żadna odległość nie jest bardziej odpowiednia. No i gdzie byliby najbardziej bezpieczni? Kto by wpadł na pomysł, żeby szukać ich tutaj? Mamy tu do czynienia ze starą zasadą, że najmniej podejrzane jest najbardziej widoczne miejsce.

Dlaczego biednego Eblinga Misa tak zaskoczyło odkrycie prawdziwego położenia Drugiej Fundacji? Siedzi tam, wytężając wszystkie siły, by ją znaleźć i ostrzec przed Mułem, aż tu nagle dowiaduje się, że Muł podbił obydwie Fundacje za jednym zamachem. A dlaczego samemu Mułowi nie udało się jej znaleźć? Dlatego, że jeśli szuka się niezwyciężonej dotąd potęgi, to nie pośród nieprzyjaciół, których się już pobiło i podbiło. Tak więc ci panowie umysłów mogli sobie w niczym nie zakłóconym spokoju układać plany, jak powstrzymać Muła i w końcu udało im się to.

To irytująco proste. Bo oto my, z naszymi planami i intrygami, myślimy, że uda nam się zachować nasze działania w tajemnicy, a tymczasem znajdujemy się w samym środku twierdzy wroga. To śmieszne.

Anthor nie wyzbył się swego sceptycyzmu.

— Pan naprawdę w to wierzy, doktorze Darell?

— Naprawdę.

— A więc każdy z naszych sąsiadów, każdy z ludzi, których mijamy na ulicy, może być nadczłowiekiem z Drugiej Fundacji, którego mózg śledzi pana mózg i rejestruje pulsowanie pana myśli?

— Właśnie.

— I mimo to pozwolili nam działać bez przeszkód?

— Bez przeszkód? A kto powiedział, że nam nie próbowano przeszkadzać?… Pan sam wykazał, że Munn stał się obiektem manipulacji. Dlaczego pan myśli, że wysłaliśmy go na Kalgan z własnej, nieprzymuszonej woli, albo że Arkadia podsłuchała nas i poleciała z nim, bo sama tak chciała? Prawdopodobnie cały czas próbują nam przeszkodzić. A zresztą, niby dlaczego mieliby robić coś więcej? Bardziej im odpowiada, żebyśmy skierowali się w złą stronę, niż żebyśmy w ogóle przestali.

Anthor pogrążył się w medytacji i wyłonił się zeń z niezadowoloną miną.

— Hmm, nie podoba mi się to. Pana wytwornica jest niewiele warta. Nie możemy siedzieć tu bez końca, a jak tylko wyjdziemy, to — z tym, co teraz wiemy — będzie już po nas. Chyba że zbudowałby pan taki aparacik dla każdego mieszkańca Galaktyki.

— Racja, ale nie jesteśmy zupełnie bezradni, Anthor. Ludzie z Drugiej Fundacji posiadają specjalny zmysł, którego nam brak. To ich siła, ale też słabość. Czy, na przykład, istnieje jakaś broń, która działałaby skutecznie przeciw normalnie widzącemu człowiekowi, a byłaby bezużyteczna w starciu ze ślepcem?

— Oczywiście — odparł natychmiast Munn. — Snop światła skierowany w oczy.

— Właśnie — rzekł Darell. — Silny, oślepiający snop światła.

— No dobrze, i co z tego? — spytał Turbor.

— Analogia jest przecież jasna. Mam wytwornicę pola statycznego. Wytwarza ona sztuczne pole elektromagnetyczne, które dla mózgu człowieka z Drugiej Fundacji jest tym samym, co oślepiający snop światła dla nas. Ale wytwornica działa jak kalejdoskop. Pole ustawicznie się zmienia, szybciej niż jest to w stanie uchwycić mózg. No więc, wyobraźmy sobie migocące światło, takie, które po pewnym czasie wywołuje ból głowy. Teraz zwiększmy siłę tego światła czy pola elektromagnetycznego aż do punktu, kiedy stanie się oślepiające, a spowodujemy ból, niemożliwy do zniesienia ból. Ale odczują to tylko ci, którzą mają odpowiedni zmysł, reszta nawet nic nie zauważy.

— Naprawdę? — rzekł niemal radośnie Anthor. — Wypróbował pan to?

— A na kim? Oczywiście, że nie wypróbowałem. Ale to działa.

— No to gdzie pan ma urządzenie sterujące polem, które otacza ten dom? Chciałbym je zobaczyć.

— Tutaj — Darell sięgnął do kieszeni marynarki. Był to niewielki przedmiot, który nieznacznie wypychał mu kieszeń. Podał Anthorowi czarny cylindryczny przedmiot z kilkoma gałkami.

Anthor obejrzał go uważnie i wzruszył ramionami.

— Od tego patrzenia wcale nie jestem mądrzejszy. Niech pan powie, Darell, czego nie mogę tu ruszać? Rozumie pan, nie chcę przez przypadek pozbawić domu osłony.

— Niech się pan nie obawia — rzekł Darell obojętnym tonem. — Jest nastawione na stałe i zablokowane. — Nacisnął przełącznik, który nawet nie drgnął.

— A do czego jest ta gałka?

— Ta do regulacji częstotliwości zmiany pola. A ta tutaj — do regulacji stopnia natężenia. To o tym właśnie mówiłem.

— Czy mogę… — spytał Anthor, kładąc palec na pokrętle natężenia. Pozostali skupili się wokół niego.

— A dlaczego nie? — Darell wzruszył ramionami. — Nam to nie zaszkodzi.

Powoli, prawie krzywiąc się z przejęcia, Anthor przekręcił gałkę, najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Turbor zacisnął zęby, a Munn szybko zamrugał powiekami. Wyglądali tak, jakby wytężali wszystkie swoje zmysły, usiłując uchwycić impuls, który nie mógł do nich dotrzeć.

W końcu Anthor wzruszył ramionami i oddał cylinder Darellowi.

— No cóż, myślę, że możemy polegać na pana słowie. Niemniej, jednak trudno sobie wyobrazić, żeby coś się działo, kiedy kręciłem tą gałką.

— Ależ oczywiście, Anthor — powiedział Darell, uśmiechając się cierpko. — To, co panu dałem, to tylko atrapa. Mam tu inny aparacik — mówiąc to, odsunął połę marynarki i chwycił przymocowany do paska od spodni, cylinder będący bliźniaczą kopią tego, który oglądał Anthor.

— Widzi pan — rzekł i nastawił pokrętło natężenia na maksimum.

Pelleas Anthor zawył nieludzko i osunął się na ziemię. Zwijał się z bólu, zaciskając zbielałe dłonie wokół głowy i rwąc włosy.

Munn szybko odsunął nogę, w obawie, by nie dotknęło go wijące się ciało. Jego oczy wyglądały niczym dwie otchłanie przerażenia. Sernic i Turbor, sztywni i bladzi, przypominali parę gipsowych odlewów.

Darell posępnie przesunął, gałkę na zero. Ciałem Anthora wstrząsnął skurcz, potem znieruchomiało. Żył, ale widać było, że nawet oddychanie sprawia mu ból.

— Ułóżcie go na kanapie — powiedział Darell ujmując Anthora za głowę. — Pomóżcie mi.

Turbor ujął za nogi. Ciało było bezwładne jak worek mąki. Upłynęło wiele minut, nim oddech Anthora stał się spokojniejszy. Powieki drgnęły i uniosły się. Twarz miał przeraźliwie bladą, a włosy i ciało mokre od potu. Kiedy się odezwał, głos miał zmieniony nie do poznania i załamujący się.

— Nie — wybełkotał. — Nie! Nie róbcie już tego. Nawet nie wiecie… Nawet nie wiecie… Oooch! — wydał przeciągły jęk.

— Nie zrobimy już tego — rzekł Darell — jeśli powiesz nam prawdę. Jesteś z Drugiej Fundacji?

— Dajcie mi trochę wody — poprosił Anthor.

— Przynieś mu, Turbor — zgodził się Darell. — I weź butelkę whisky.

Powtórzył pytanie po wlaniu w Anthora kieliszka whisky i dwóch

szklanek wody. Wydawało się, że młodzieniec doszedł trochę do siebie.

— Tak — odpowiedział zmęczonym głosem. — Jestem z Drugiej Fundacji.

— Która — pytał dalej Darell — znajduje się tu, na Terminusie?

— Tak, tak. Zgadza się co do joty, doktorze Darell.

— Dobrze. A teraz wyjaśnij nam, co się działo przez ostatnie pół roku. Mów!

— Chce mi się spać — wyszeptał Anthor.

— Później! Teraz mów!

Anthor westchnął przejmująco. Potem zaczął mówić, cicho, lecz pośpiesznie. Nachylili się nad nim, aby lepiej słyszeć.

— Sytuacja stawała się niebezpieczna. Wiedzieliśmy, że naukowcy na Terminusie zaczynają się interesować wzorami fal mózgowych i że w każdej chwili może zostać skonstruowane coś w rodzaju wytwornicy pola statycznego. A nastroje w stosunku do Drugiej Fundacji stawały się coraz bardziej wrogie. Musieliśmy temu zapobiec, nie narażając na zniszczenie Planu Seldona.

Próbowaliśmy… próbowaliśmy pokierować tym ruchem. Staraliśmy się wprowadzić tam swoich ludzi. Odwróciłoby to od nas uwagę. Postaraliśmy się, aby Kalgan wypowiedział wam wojnę, co było kolejną próbą odwrócenia waszej uwagi. To właśnie dlatego wysłałem Munna na Kalgan. Rzekoma kochanka Stettina była jedną z nas. Postarała się, żeby Munn wykonywał odpowiednie posunięcia…

— Callia jest… — krzyknął Munn, ale Darell uciszył go ruchem ręki.

Anthor ciągnął dalej, nie zauważywszy nawet, że ktoś mu przerywa:

— Z Munnem poleciała Arkadia. Nie uwzględniliśmy tego w naszych planach… nie można wszystkiego przewidzieć… więc Callia tak nią pokierowała, żeby poleciała na Trantor i nie przeszkadzała. To wszystko. Pozostaje tylko dodać, że przegraliśmy.

— Próbowałeś mnie nakłonić, żebym poleciał na Trantor, prawda? — spytał Darell.

Anthor kiwnął głową.

— Musieliśmy się pana pozbyć. Narastające uczucie tryumfu w pana mózgu było aż nadto wymowne. Rozwiązał pan problem budowy wytwornicy pola statycznego.

— A dlaczego nie zapanowałeś nad moim mózgiem?

— Nie mogłem… nie mogłem. Musiałem się trzymać poleceń. Działaliśmy zgodnie z Planem. Gdybym zaczął improwizować, wywróciłbym wszystko do góry nogami. Plan przewiduje tylko pewne prawdopodobne wydarzenia… wiecie o tym… jak Plan Seldona — mówił bezładnie, z trudem łykając powietrze. Jego głowa chwiała się

na boki. — Pracowaliśmy nad jednostkami… nie nad grupami… niski procent prawdopodobieństwa… Poza tym… gdybym zapanował nad… pana umysłem… to ktoś inny by to wynalazł… nie było sensu… musiałem działać o wiele… subtelniej… Własny plan Pierwszego Mówcy… nie znam wszystkich aspektów… tylko że… się nie powiódł aaa… — ziewnął przeciągle i zamknął oczy.

Darell potrząsnął nim szorstko.

— Nie możesz jeszcze spać. Ilu was tu jest?

— Ha? Co pan mówi… ach… niewielu… zdziwicie się… pięćdziesięciu… nie trzeba więcej.

— Wszyscy tu, na Terminusie?

— Pięć — sześć osób w przestrzeni… jak Callia… chcę spać…

Otrząsnął się nagle, zdobywając się na wielki wysiłek i zaczął mówić jaśniej. Była to z jego strony ostatnia próba usprawiedliwienia swej porażki.

— Niewiele brakowało i miałbym was w końcu. Wyłączałbym osłonę i dobrał się do was.

”Zobaczylibyśmy, kto jest górą. Ale dal mi pan atrapę przyrządu sterowniczego… podejrzewał mnie pan cały czas…

I zasnął.

— Od jak dawna go podejrzewałeś, Darell? — spytał Turbor głosem przejętym grozą.

— Od chwili, kiedy tu przybył — odparł spokojnie Darell. — Mówił, że przybywa od Kleisego. Ale ja dobrze wiedziałem, jaki był Kleise, i pamiętałem, jak się rozstaliśmy. On miał obsesję na punkcie Drugiej Fundacji, a. ja go opuściłem. Miałem ku temu racjonalne powody, gdyż uważałem, że najlepiej i najbezpieczniej będzie, jeśli sam zajmę się realizacją swoich pomysłów. Ale nie mogłem o tym powiedzieć Kleisemu, zresztą i tak by mnie nie słuchał. Dla niego byłem tchórzem i zdrajcą, może nawet agentem Drugiej Fundacji. Był człowiekiem zawziętym i pamiętliwym i od tamtej pory niemal do dnia jego śmierci nie miałem z nim żadnego kontaktu. I oto nagle, na parę tygodni przed śmiercią, pisze mi, że — jako stary przyjaciel — chciałby mi polecić swego najlepszego i najbardziej obiecującego ucznia, z którym mógłbym podjąć na nowo dawno zarzuconą pracę.

To zupełnie do niego nie pasowało. Czy to możliwe, żeby zrobił to bez niczyjej sugestii, z własnej, nieprzymuszonej woli? I wtedy zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem jedynym powodem napisania tego listu nie był czyjś zamiar skłonienia mnie, bym zaufał prawdziwemu agentowi Drugiej Fundacji. Tak to było… — westchnął i na chwilę przymknął oczy.

— Co z nimi zrobimy… z tymi wszystkimi facetami z Drugiej Fundacji? — spytał niepewnie Sernic.

— Nie wiem — rzekł ze smutkiem Darell. — Myślę, że moglibyśmy ich skazać na wygnanie. Na przykład, na Zoranel. Można by ich tam umieścić i obstawić całą planetę wytwornicami pola statycznego. Kobiety można by oddzielić od mężczyzn albo, jeszcze lepiej, wysterylizować wszystkich, i za pięćdziesiąt lat Druga Fundacja należałaby już do przeszłości. A może byłoby bardziej humanitarnie od razu wszystkich bezboleśnie uśmiercić.

— Myślisz — spytał Turbor — że moglibyśmy się od nich nauczyć posługiwania się tym nowym zmysłem? A może rodzą się z nim, jak Muł?

— Nie wiem. Myślę, że wykształcają te zdolności drogą długich, intensywnych ćwiczeń, gdyż pewne wyniki badań encefalograficznych wskazują, że mózg ludzki jest potencjalnie zdolny do takiego działania. Ale po co nam ten zmysł? Im nie pomógł.

Zmarszczył czoło.

Nie mówił nic, ale w głowie kłębiły mu się niespokojne myśli. To wszystko poszło zbyt łatwo — zbyt łatwo. Ci niezwyciężeni zostali pokonani, pokonani jak książkowy czarny charakter, i to mu się nie podobało.

O Galaktyko! Skąd człowiek może wiedzieć, czy nie jest marionetką, którą sterują inni? Jak może się przekonać, czy nie jest marionetką?

Minął tydzień, potem dwa od jej powrotu do domu, a on wciąż nie mógł się pozbyć tych natrętnych myśli. Czy było to możliwe? W czasie swej nieobecności przeistoczyła się za sprawą jakiejś alchemii z dziecka w młodą kobietę. Była ogniwem, które łączyło go z życiem, które łączyło go ze słodkimi, lecz gorzko zakończonymi latami małżeństwa, co trwało tak krótko.

Wreszcie, pewnego wieczoru spytał, starając się, by zabrzmiało to zupełnie swobodnie:

— Arkadio, co ci podsunęło myśl, że Terminus jest siedzibą obydwu Fundacji?

Byli w teatrze. Mieli najlepsze miejsca, każde z osobnym, trójwymiarowym rzutnikiem. Na tę okazję dostała nową suknię i była szczęśliwa.

Patrzyła na niego przez chwilę szeroko otwartymi ze zdumienia oczami, a potem rzekła bez namysłu:

— Och, nie wiem, tato. Po prostu przyszło mi to do głowy.

Doktor Darell poczuł, że wokół serca tworzy mu się bryła lodu.

— Zastanów się — powiedział z naciskiem. — To ważne. Co ci podsunęło myśl, że obie Fundacje są na Terminusie?

Zmarszczyła lekko czoło.

— Hmm, była tam Lady Callia. Wiedziałam, że ona jest z Drugiej Fundacji. Anthor powiedział to samo.

— Ale ona była na Kalganie — nalegał Darell. — Co ci nasunęło myśl o Terminusie?

Teraz Arkadia nie odpowiedziała od razu. Zastanawiała się. Co jej podsunęło tę myśl? Co to było? Miała nieprzyjemne uczucie, że coś jej się wymyka.

— Ona, to znaczy Lady Callia, orientowała się jak sprawy stoją i musiała otrzymywać informacje z Terminusa. Czy to nie brzmi przekonywająco, tato?

Potrząsnął tylko głową w odpowiedzi.

— Tato! — krzyknęła — wiedziałam. Im więcej myślałam o tym, tym większej nabierałam pewności. To po prostu było logiczne.

— To niedobrze, Arkadio — w oczach ojca pojawił się ten niepokojący wyraz zagubienia. — To niedobrze. W sprawach, które dotyczą Drugiej Fundacji, intuicja jest podejrzana. Rozumiesz mnie, prawda? Mogła to być intuicja… ale mogła to też być obca ingerencja.

— Ingerencja! Chcesz powiedzieć, że mnie odmienili? O nie! Nie mogli tego zrobić! — Odsunęła się od ojca. — Czy Anthor nie powiedział, że miałam rację? Przyznał to. Wszystko wyznał. A czy nie znaleźliście tej całej ich paczki tutaj, na Terminusie? Nie znaleźliście? Nie zna leźliście? — oddychała szybko.

— Wiem o tym, ale… Arkadio, pozwolisz, że zrobię ci encefalogram?

Potrząsnęła gwałtownie głową.

— Nie, nie! Boję się tego!

— Mnie się boisz? Nie masz czego się obawiać. Ale musimy to wiedzieć. Rozumiesz mnie, prawda?

Przerwała mu tylko raz, już po tym. Chwyciła go kurczowo za ramię, zanim zdążył przekręcić ostatnią gałkę.

— A co będzie, jeśli okaże się, że jestem inna? Co będziesz musiał zrobić?

— Niczego nie będę musiał robić, Arkadio. Jeśli okaże się, że jesteś inna, to wyjedziemy stąd. Wrócimy na Trantor i… i nie będzie nas już obchodziła cała Galaktyka.

Nigdy jeszcze analiza encefalogramu nie zajęła Darellowi tyle czasu i tyle go nie kosztowała, a kiedy wreszcie skończył, Arkadia opadła na krzesło, skuliła się i bala się spojrzeć mu w oczy. Raptem usłyszała śmiech ojca i była to zupełnie wystarczająca informacja. Zerwała się i rzuciła mu na szyję.

Ściskając ją, mówił radośnie:

— Dom jest otoczony polem statycznym o maksymalnym natężeniu, a twoje fale mózgowe są normalne. Naprawdę złapaliśmy ich, Arkadio! Teraz możemy wreszcie wrócić do normalnego życia.

— Tato — wysapała — zgodzimy się teraz, żeby nas odznaczyli?

— Jak się dowiedziałaś, że prosiłem, żeby nas z tego wyłączono?

— odsunął ją na chwilę na długość ramienia, a potem znowu się roześmiał.

— Mniejsza z tym — wiesz wszystko. No dobrze, będziesz miała swój medal i przemówienia.

— Tato?

— Tak?

— Czy możesz mnie teraz nazywać „Arkady”?

— Ale… no dobrze, Arkady.

Z wolna uświadamiał sobie, jak wielkie odnieśli zwycięstwo, i czuł, że przepełnia go radość. Fundacja — Pierwsza Fundacja — teraz już jedyna Fundacja — była absolutną panią Galaktyki, Od Drugiego Imperium i ostatecznej realizacji Planu Seldona nie dzieliła ich już żadna przeszkoda.

Wystarczyło tylko sięgnąć po nie…

Dzięki…

22. ODPOWIEDŹ, KTÓRA BYŁA PRAWDZIWA

Oto bliżej nieokreślony pokój na bliżej nieokreślonym świecie. A w nim człowiek, którego plan się powiódł.

Pierwszy Mówca spojrzał na ucznia.

— Pięćdziesięcioro mężczyzn i kobiet — powiedział. — Pięćdziesięcioro męczenników! Wiedzieli, że oznacza to dla nich śmierć lub więzienie, że nie mogą nawet liczyć na psychiczne wsparcie z naszej strony w przypadku, gdyby osłabli, gdyż wsparcie takie mogłoby zostać wykryte. A mimo to, nie załamali się. Wykonali dokładnie plan, gdyż kochali ważniejszy plan.

— Czy nie mogło ich być mniej? — spytał z powątpiewaniem uczeń.

Pierwszy Mówca wolno potrząsnął głową.

— To była dolna granica. Gdyby ich było mniej, to mogłoby to wzbudzić podejrzenia. Prawdę mówiąc, patrząc na to z czysto obiektywnego punktu widzenia i zakładając pewien margines błędu, należało poświęcić siedemdziesiąt pięć osób. Mniejsza z tym. Przestudiowałeś linię działania nakreśloną przez Radę Mówców piętnaście lat temu?

— Tak, Mówco.

— I porównałeś ją z rzeczywistymi wynikami?

— Tak, Mówco — urwał, a po chwili dodał: — Byłem zupełnie zaskoczony.

— Wiem. To zawsze zaskakuje początkujących. Gdybyś wiedział, ilu ludzi pracowało przez wiele miesięcy, a właściwie lat, żeby doprowadzić plan do skrajnej perfekcji, nie byłbyś tak zaskoczony. A teraz opisz mi to, co zaszło, słowami. Chcę usłyszeć twoją interpretację tych wyliczeń.

Tak, Mówco. — Uczeń zebrał myśli. — W głównych zarysach wygląda to tak. Było konieczne, aby ludzie z Pierwszej Fundacji uzyskali całkowitą pewność, że odkryli i zniszczyli Drugą Fundację. W ten sposób wróciliśmy do pierwotnych założeń Planu. Praktycznie biorąc, Terminus znowu nie wiedziałby nic o nas i nie uwzględniałby nas w swoich zamierzeniach i przedsięwzięciach. I tak oto ponownie znaleźliśmy się w bezpiecznym ukryciu — za cenę życia pięćdziesięciu osób.

— A po co była potrzebna wojna z Kalganem?

— Po to, żeby pokazać Pierwszej Fundacji, że potrafią pokonać wroga dysponującego siłą fizyczną. Po to, aby przywrócić im wiarę w siebie, nadszarpniętą przez Muła.

— W tym miejscu twoja analiza ma pewne braki. Pamiętaj o tym, że ludność Terminusa miała w stosunku do nas wyraźnie

ambiwalentne uczucia. Nienawidzili nas i zazdrościli nam naszej rzekomej wyższości, z drugiej strony jednak liczyli na naszą pomoc. Gdybyśmy zostali zniszczeni przed wybuchem wojny z Kalganem, to Fundację ogarnęłaby panika. W tej sytuacji zabrakłoby im odwagi, by stawić czoła Stettinowi, gdyby na nich uderzył, a zrobiłby to na pewno. Żeby ograniczyć do minimum niekorzystne dla Planu skutki „zniszczenia" nas, mogliśmy dopuścić do tego tylko w szczytowym momencie uniesienia spowodowanego zwycięstwem nad Kalganem. Gdybyśmy bowiem odwlekli to choćby o rok, to nastroje mieszkańców Terminusa mogłyby opaść do poziomu, w którym sukces stałby się niepewny.

Uczeń pokiwał głową.

— Rozumiem. A więc teraz historia potoczy się już bez przeszkód w kierunku wytyczonym przez Plan.

— Jeśli nie zdarzy się znowu coś, czego ze. względu na indywidualny charakter zjawiska nie można będzie przewidzieć — zauważył Pierwszy Mówca.

— A przy tym — rzekł uczeń — my wciąż istniejemy. Z tym, że… z tym, że… Niepokoi mnie, Mówco, jeden element obecnego stanu rzeczy. Pierwsza Fundacja dysponuje nadal wytwornicą pola statycznego — potężną bronią przeciw nam. W tym przynajmniej względzie nie jest tak, jak było przedtem.

— Słuszne spostrzeżenie. Ale nie mają jej przeciw komu używać. Teraz jest to już dla nich urządzenie nieprzydatne i bezużyteczne, tak samo jak — bez zagrożenia z naszej strony — stanie się bezużyteczna analiza encefalograficzna. Inne rodzaje nauk będą przynosić ważniejsze i bardziej bezpośrednio odczuwalne korzyści. Tak więc pierwsze w dziejach Pierwszej Fundacji pokolenie naukbwców zajmujących się mózgiem będzie zarazem ostatnim, a za jakieś sto lat wytwornica pola statycznego będzie już tylko prawie zapomnianym zabytkiem przeszłości.

— No, cóż… — uczeń rozważał coś w swojej głowie. — Myślę, że ma pan rację.

— Mając na uwadze twoją przyszłość w Radzie, chciałbym, chłopcze, żebyś sobie szczególnie dobrze uświadomił, ile uwagi poświęciliśmy tym drobnym, zazębiającym się nawzajem uzupełnieniom, które przez ostatnie półtorej dekady musieliśmy wnieść do Planu tylko dlatego, że zajmowaliśmy się jednostkami. Do tych drobiazgów należy sposób, w jaki Anthor miał wzbudzić podejrzenie do swojej osoby, ale tak, by osiągnęło ono punkt kulminacyjny we właściwym czasie. No, to było względnie proste.

Gorsza sprawa była ze znalezieniem metody takiego manipulowania nastrojami na Terminusie, by nikomu nie przyszło za wcześnie do głowy, że to właśnie Terminus jest centrum tego, czego

szukają. Tę wiedzę trzeba było przekazać tej młodej dziewczynie, Arkadii, na którą nie zważałby nikt oprócz jej ojca. Trzeba ją było potem wysłać na Trantor, aby mieć pewność, że nie skontaktuje się z ojcem za wcześnie. Tych dwoje można porównać do dwu biegunów silnika hiperatomowego — każde z nich było nieaktywne bez drugiego. A dźwignię można było przesunąć i doprowadzić do połączenia dopiero we właściwym momencie. Dopilnowałem tego!

Trzeba też było odpowiednio pokierować ostateczną bitwą. Załogi statków Fundacji musiały być pewne zwycięstwa, natomiast flota Kalgana gotowa do ucieczki. Tego też dopilnowałem!

— Wydaje mi się, Mówco — rzekł uczeń — że pan… to znaczy, my wszyscy… liczyliśmy na to, że doktor Darell nie będzie podejrzewał, iż Arkadia jest narzędziem w naszych rękach. Według moich wyliczeń, było gdzieś w trzydziestu procentach prawdopodobne, że będzie ją o to podejrzewał. Co by się wtedy stało?

— Zadbaliśmy o to. Czego cię uczono o płaskiej przekształcenia? Co to jest? Z pewnością nie świadectwo wprowadzenia pewnego nastawienia uczuciowego. To można by zrobić bez obawy, że wykaże to. najczulsza choćby aparatura i najdoskonalsze metody analizy encefalograficznej. Jak wiesz, wynika to z twierdzenia Lefferta. Płaska przekształcenia to wynik usunięcia poprzedniego nastawienia emocjonalnego, a tego nie można ukryć. To musi być widoczne. A Anthor, oczywiście, upewnił się, że Darell wie wszystko na temat płaskiej przekształcenia.

Jednakże… w jaki sposób można zapanować nad czyimś umysłem tak, by nic na to nie wskazywało? W taki sposób, że nie trzeba usuwać poprzedniego nastawienia emocjonalnego. Innymi słowy, wtedy, kiedy ten ktoś jest noworodkiem, z absolutnie nie zapisanym mózgiem. Takim właśnie noworodkiem była tu, na Trantorze, piętnaście lat temu Arkadia Darell. Wtedy właśnie stworzono pierwszą linijkę planu. Nigdy się nie dowie, że była manipulowana, a zresztą wyszło jej to osobiście na dobre, gdyż jednym ze skutków tej manipulacji była stymulacja rozwoju jej intelektu i całej osobowości.

Pierwszy Mówca zaśmiał się.

— W pewnym sensie najbardziej zaskakująca jest ironia naszych dziejów. Od czterystu lat wprowadzają ludzi w błąd słowa Seldona — „drugi koniec Galaktyki”. Traktują je zgodnie ze swoimi ukształtowanymi przez nauki fizyczne pojęciami, próbując odnaleźć ten drugi koniec za pomocą kątomierzy, suwaków i tym podobnych przyrządów i w końcu albo znajdują jakiś punkt na peryferiach, o sto osiemdziesiąt stopni od skraju Galaktyki, albo wracają do punktu wyjścia.

Największe niebezpieczeństwo dla nas stwarzał jednak fakt, że można było rozwiązać ten problem analizując go zgodnie z

ukształtowanymi przez nauki fizyczne schematami myślowymi. Jak wiesz, Galaktyka nie jest po prostu spłaszczonym ciałem o jajowatym kształcie, a jej skraj nie jest zamkniętą linią krzywą. W rzeczywistości, jest ona podwójną spiralą, a przynajmniej osiemdziesiąt procent światów leżących na jej głównym ramieniu jest zamieszkałych. Terminus leży na skrajnym zewnętrznym końcu tego ramienia, a my żyjemy na przeciwnym końcu, bo co jest przeciwnym końcem spirali? Oczywiście jej środek! Ale to jest bez znaczenia. To zwykły przypadek. Rozwiązanie nasunęłoby się od razu, gdyby szukający go pamiętali, że Hari Seldon nie zajmował się fizyką, lecz naukami społecznymi i gdyby w związku z tym odpowiednio zmodyfikowali swój sposób, myślenia. Co „przeciwne końce" mogły znaczyć dla naukowca, zajmującego się procesami społecznymi? Przeciwne końce jakiegoś obszaru na mapie? Oczywiście, że nie. To czysto mechaniczna interpretacja.

Pierwsza Fundacja leżała na peryferiach, gdzie Imperium było najsłabsze, gdzie najmniej widoczny był jego wpływ cywilizacyjny, gdzie niemal nie istniała kultura. A gdzie znajdował się przeciwny biegun społeczny, drugi koniec Galaktyki? Oczywiście tam, gdzie Imperium było najsilniejsze, gdzie jego wpływ cywilizacyjny był najbardziej widoczny, gdzie było jego centrum kulturalne.

A więc tu! Na Trantorze, stolicy Imperium za czasów Seldona.

Rozwiązanie narzucało się nieuchronnie. Hari Seldon zostawił po sobie Drugą Fundację, aby prowadziła dalej jego dzieło. Wiedziano o tym lub domyślano się tego już od pół wieku. A jakie miejsce najlepiej się do tego nadawało? Trantor, gdzie pracował zespół Seldona i gdzie znajdowały się zbiory danych, gromadzonych przez dziesiątki lat. Zadaniem Drugiej Fundacji było chronić Plan przed wrogami. O tym również wiedziano! A gdzie znajdowało się źródło największego niebezpieczeństwa dla Terminusa i dla Planu?

Tutaj! Na Trantorze, gdzie wciąż istniało Imperium, które — mimo iż się kruszyło i rozsypywało — jeszcze przez trzysta lat było w stanie zniszczyć Fundację, gdyby tego chciało.

A potem, kiedy Trantor został pokonany, doszczętnie splądrowany i zniszczony, my byliśmy naturalnie w stanie osłonić naszą bazę, a jedynym miejscem na całej planecie, które pozostało nietknięte, był uniwersytet. To był również fakt znany całej Galaktyce, ale i ten oczywisty znak pozostał niezauważony.

To przecież tu, na Trantorze, odkrył nas Ebling Mis i tu też postaraliśmy się zaraz o to, żeby nie przeżył swego odkrycia. W tym celu trzeba było zaaranżować sytuację, w której normalna dziewczyna z Fundacji pobiłaby obdarzonego niezwykłymi zdolnościami Muła. Oczywiście to wydarzenie mogłoby skierować podejrzenia na planetę, na której miało miejsce… To tu właśnie urodziła się Arkadia Darell i

został zapoczątkowany ciąg wydarzeń, który doprowadził do powrotu do Planu Seldona.

I te wszystkie wyrwy w otaczającym nas murze tajemnicy, te ziejące dziury, pozostały niezauważone tylko dlatego, że Seldon, mówiąc o „drugim końcu", rozumiał to wyrażenie w sposób, który nie przyszedł im do głowy.

Uczeń już dawno poszedł. Pierwszy Mówca stał w oknie, patrząc na niewiarygodnie gęsty rój gwiazd lśniących na firmamencie, na wielką, odtąd już na zawsze bezpieczną Galaktykę i mówił sam do siebie:

— Hari Seldon nazwał Trantor „Kresem Gwiazdy" — szepnął. — A dlaczegóż nie miałoby w tym być trochę poezji? Niegdyś z tej skały kierowano całym wszechświatem, skupiały się tu nici prowadzące do wszystkich gwiazd. „Wszystkie drogi prowadzą na Trantor — powiada stare przysłowie — i to jest kres wszystkich gwiazd".

Przed dziesięcioma miesiącami Pierwszy Mówca spoglądał na ten sam, gęsty — nigdzie indziej nie tak gęsty, jak tu, w samym środku potężnego skupiska materii, które człowiek nazwał Galaktyką — rój gwiazd, owładnięty złymi przeczuciami, ale teraz na okrągłej, rumianej twarzy Preema Palvera — Pierwszego Mówcy — malowało się ponure zadowolenie.